

P. 9786 Chł. Arch.

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 10/277**

**1970**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. ANDRZEJEWSKI : **PRZEMÓWIENIE  
NAD GROBEM PAWŁA JASIEŃCZY**

G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **LENIN - STALIN**

J. CZAPSKI : **ŚMIERĆ MAURIACA**

## SPIS RZECZY

Jerzy Andrzejewski:	<i>Nad grobem Pawła Jasienicy</i> .....	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Lenin-Stalin</i> .....	5
◆		
Andrzej Chciuk:	<i>Dlaczego, rozumiesz Pan, ja w to nie wierzę</i> .....	9
Andrzej Lubelski:	<i>Gdzie rosną poziomki</i> .....	22
W. S.:	<i>Pałeczki</i> .....	30
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Europa Poczdamka</i> .....	37
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i> .....	41
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i> .....	51
SĄSIEDZI		
E. Żagiell:	<i>Polacy na Litwie</i> .....	55
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	61
K R A J		
Roman Jarosławski:	<i>List z kraju</i> .....	67
STRATY KULTURY POLSKIEJ		
Józef Lewandowski:	<i>Paweł Jasienica</i> .....	74
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Andrzej Woźnicki:	<i>W poszukiwaniu księdza polonijnego</i> ..	83
SPRAWY I TROSKI		
—	<i>Kanadyjskie przepisy imigracyjne</i> ....	95
KRONIKA KULTURALNA		
Józef Czapski:	<i>Śmierć Mauriaca</i> .....	97
Józef Czapski:	<i>Matisse i troglodyta</i> .....	99
Alina Grabowska:	<i>Czy w Tel-Awivie powstanie polonistyka?</i>	107
W. W.:	<i>Czy nieznana Dąbrowska?</i> .....	114
—	<i>Fundusz im. Harry A. Jankiewicza</i> ..	115
K S I A Ź K I		
Jerzy Szperak:	<i>Dygresje o polskim marksizmie</i> .....	116
Maria Czapska:	<i>Powstanie Warszawskie inaczej</i> .....	127
Jolanta Dworzecka:	<i>Trochę o prozie amerykańskiej</i> .....	133
Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>Polonica amerykańskie (II)</i> .....	137
Czesław Dobek:	<i>Saga rodu Wężyków</i> .....	138
Jadwiga Pomorska:	<i>Niemiecka książka o Polsce</i> .....	140
Maria Danilewiczowa:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i> .....	141
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> .....	144
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	146
◆		
—	<i>Humor sowiecki</i> .....	151
◆		
R. Gombrowicz, J. Ostaszewski, M. K. Pawlikowski, D. Skawa:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	154
Redakcja:	<i>Do Prenumeratorów KULTURY</i> .....	160

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1970

INSTYTUT



LITERACKI

## WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

P. Ardasiewicz-Machnikowa, Buenos Aires, po raz trzeci .....	F. 550,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz dziewiąty .....	F. 110,00
Tomira Buxell, Wellesley, Mass. (USA), po raz drugi .....	F. 55,00
Jonas D. Cesna, Chicago, Ill. (USA) .....	F. 38,50
Prof. Jan Drewnowski, Haga .....	F. 200,00
Stena Kałużniacka, Phoenix, Arizona (USA), po raz ósmy .....	F. 33,00
Prof. Andrzej A. Kawczak, Montreal .....	F. 270,00
John E. Kierzkowski, Orlando, Fla (USA), po raz drugi .....	F. 550,00
Janusz Laskowski, Paryż, zamiast kartek pocztowych z wakacji w Owernii .....	F. 30,00
W. Osadczuk, Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi .....	F. 11,00
Dr Tadeusz Paradyśtal, Lidköping (Szwecja) .....	F. 32,00
Irena i Andrzej Pleszczyńscy, Santa Barbara, Cal. (USA), zamiast kwiatów na grób śp. Wiktora Podoskiego .....	F. 110,00
F. Rutkowski, Kanada .....	F. 43,00
Stanisław Skorupiński, Windsor, Ont. (Kanada) .....	F. 27,00
Dr Marian Turski, St. Anne de Bellevue, P.Q. (Kanada), po raz dwudziesty drugi .....	F. 108,00
Witold A. Zwoliński, Sorel, P.Q. (Kanada) .....	F. 55,00
Stanisław Żochowski, Brisbane, Qld. (Australia) .....	F. 83,00
Bezimiennie, Szwecja .....	F. 20,00
Bezimiennie, złożone w Księgarni Polskiej w Paryżu .....	F. 50,00

DZIĘKUJEMY!

*Usilnie prosimy naszych Czytelników o nadsyłanie międzynarodowego kuponu pocztowego przy każdej zmianie adresu.*

*Redakcja zawiadamia że nie zamawiane i niewykorzystane artykuły nie będą odsyłane, jeżeli wysyłający nie dołączy odpowiedniej kwoty w międzynarodowych kuponach pocztowych na opłacenie kosztów porta.*

Imprimé en France.



P.9786 Chm. Arch.

## Nad grobem Pawła Jasienicy

Na tym starym cmentarzu powązkowskim, a także na cmentarzach innych, nieraz bardzo odległych, coraz więcej grobów ludzi, którzy dopiero co żyli wśród nas i byli chlubą literatury polskiej. W minionych kilkunastu miesiącach odeszli od nas Anna Kowalska, Jerzy Zawieyski, Tadeusz Breza, a poza krajem zmarli Kazimierz Wierzyński, Witold Gombrowicz, Marek Hłasko. Dzisiaj piśmiennictwo polskie, tu w ojczyźnie Kochanowskiego, Mickiewicza i Żeromskiego żyjące na półoddechu i stygnące wśród obszarów milczenia, znów ma dzień żałoby: w pełni twórczych sił zmarł znakomity pisarz, mężny i prawy człowiek — śp. Paweł Jasienica.

Nie od dzisiaj znamy gorzką prawdę, iż polskie groby bywają nadmiernie ciężkie, bowiem ciężar śmierci, który się na nie kładzie, pomnożony bywa ciężarem życia. Grób przy którym stoimy, jest dla nas szczególnie dręczący, spocznie w nim człowiek, którego życie ułożyło się według miary własnej, lecz również według kondycji narodu, jego walki, twórczej chwały i niestety również według krzywdy i poniżenia.

Kiedy w najtrudniejszych czasach ostatniej wojny trzeba było walczyć z bronią w rękę — Paweł Jasienica był żołnierzem tu, w kraju, w sławnej Armii Krajowej. Gdy należało tworzyć nowy kształt życia — współtworzył je pisarstwem oraz czujnym rozeznanie obywatelskim. Należał do najwybitniejszych i najpoczytniejszych pisarzy dwudziestopięciolecia. Wskrzyszając czasy minionie, zawsze żył tu i teraz. Swoim nazwiskiem, swoim moralnym autorytetem wspierał wszelkie poczynania które miały na względzie dobro Rzeczypospolitej. Autor znakomitych książek historycznych wiedział, iż wolność myśli oraz tolerancja należą do najlepszych tradycji narodu polskiego i że obumiera kultura, dege-

neruje się życie publiczne i marnują się bezcenne ludzkie wartości, gdy swoboda słowa podlega brutalnym ograniczeniom, światła dyskusja staje się niemożliwa i mroczne strzygi fałszów i przemilczeń pretendują do wyrażenia i oceny wielowarstwowej rzeczywistości.

Lecz gdzież, jeśli nie tu, nad grobem, powiedzieć należy, że za swoje przekonania, za odwagę ich wypowiedzania, Paweł Jasienica zapłacił wysoką cenę.

Oskarżony o czyny których nigdy nie popełnił i przewinienia których nie dokonał, publicznie spotwarzany, znieważany i poniżany — nie miał żadnej możliwości obrony, odjęte mu zostało prawo druku, jego stare książki wycofano z księgarni, nowe nie mogły się ukazać, rzecz zdawałoby się nie do pojęcia po wszystkich tragicznych doświadczeniach rządów totalnych, a jednak — niestety — prawdziwa: wybitny polski pisarz, twórca cennych wartości kulturalnych, cieszący się ogromnym zaufaniem i uznaniem wielu tysięcy czytelników, w pełni twórczych sił, został z dnia na dzień zepchnięty na margines życia publicznego, skazany na śmierć cywilną.

Z bólem żegnam cię Pawle w imieniu tych polskich pisarzy w kraju i poza krajem, którzy mogą i chcą powiedzieć, że byłeś „jednym z nas”. Jednym z najlepszych, szczególnie godnym miłości, przyjaźni i najwyższego szacunku. Wiemy że twoje dzieło pozostanie trwałe i żywe. Ale pozostanie również twoja krzywda, ponieważ nie była i nie jest tylko twoją sprawą. Przerosła ciebie samego, stając się krzywdą najcenniejszych wartości narodowych.

Reszta niech pozostanie milczeniem.

Jerzy ANDRZEJEWSKI

Przemówienie na cmentarzu powązkowskim, na pogrzebie Pawła Jasienicy-Beynara, w dniu 22 sierpnia 1970.

## Lenin-Stalin

Film oparty na książce Artura Londona *L'aveu* zamykają autentyczne zdjęcia Pragi po inwazji sowieckiej, z wyeksponowanym na pierwszy plan napisem na murze: „Leninie przebudź się, Breżniew zwariował”. W intencjach Londona (który uważa się nadal za komunistę) i jego scenarzysty Jorge Sempruna (również komunisty) miało to przypuszczalnie być jak gdyby zawołanie bojowe, wyniesione i ocalone wbrew wszystkiemu ze stalinowskich czasów pogardy. Pozostawiam tu świadomie bez odpowiedzi pytanie jaka myśl przyświecała studentom praskim, którzy w sierpniu 1968 roku ten napis na murze wysmarowali: czy był to najzupełniej szczerzy *cri de cœur* chłopców i dziewcząt wychowanych od dzieciństwa w szkołach komunistycznych i słabo lub źle zorientowanych w historii (poza własną najnowszą), czy też chodziło raczej o dość naiwną i trochę demagogiczną próbę zaapelowania do uczuć żołnierzy sowieckich sterczących w wieżyczkach czołgów. To jest mniej w tej chwili ważne, młodzież ma czas na wykształcenie i uczy się szybciej z doświadczeń, a studentom czeskim lekcja Pragi 1968 wystarczy zapewne na całe życie. Interesuje mnie London. Wierzy naprawdę w „legat Lenina”, zhańbiony i zdradzony przez Stalina i jego następców? Co powiedziałby na opinię Kołakowskiego, przytoczoną w poprzednim numerze *Kultury*, że „nie ma takiej rzeczy w stalinizmie dla której nie można by znaleźć teoretycznego usprawiedliwienia w zasadach leninowskich”? Jak potraktowałby informację anglosaskiego Obserwatora w *Message from Moscow*, że opozycyjna inteligencja sowiecka dobrała się ostatnio nawet do nietykalnej dotąd ikony Lenina? Jeśli i te pytania należy ze zrozumiałych względów pozostawić bez jednoznacznej odpowiedzi, to wolno przynajmniej na ich temat pospekulować. Dobrą do tego okazję daje pękaty tom *Revolutionary Russia*, wydany niedawno w Ameryce pod redakcją Richarda Pipesa.

W kwietniu 1967 roku, w przeddzień pięćdziesięciolecia Rewo-

lucji Rosyjskiej, dwudziestu sześciu wybitnych historyków amerykańskich i europejskich zjechało się w Harvard żeby przedyskutować jej bilans. Dyskusja toczyła się wokół trzynastu zgłoszonych na zjazd referatów. *Rewolucyjna Rosja* obejmuje właśnie pełny zestaw aktów sympozjonu harwardzkiego. Trudno naturalnie w krótkiej nocie dać pojęcie o jego bogactwie, wchodzić w szczególności wystąpień takich prominentów (że wymienię tylko najbardziej znanych) jak George Kennan, Isaiah Berlin, Leonard Schapiro, Adam Ulam, Hanna Arendt, E. H. Carr, Hugh Seton-Watson, Bertram Wolfe, Maximilien Rubel. Ale pod koniec debat wyłonił się ich temat na dobrą sprawę centralny, choć przez nikogo z uczestników do tej chwili nie sformułowany z taką jasnością i zwięzłością: problem ciągłości rewolucji.

Doszło do tego wówczas gdy Hanna Arendt, komentując referat Ulama, podzieliła się z obecnymi wyznaniem że w toku dyskusji uderzyła ją jedna rzecz. Oto jej główni protagoniści, mimo że często skaczący sobie do oczu w interpretacji i ocenie wypadków i tendencji ideologicznych, podawali sobie właściwie ręce w przypisywaniu im nieprzerwanej ciągłości od października 1917 roku do śmierci Stalina. Innymi słowy, kto w mniejszym albo większym stopniu był po stronie rewolucji Lenina, usprawiedliwiał także Stalina (przede wszystkim Carr); kto natomiast występował z oskarżeniem okresu stalinowskiego, robił to przekonany że Lenin był nie tylko odpowiedzialny za totalitaryzm Stalina, lecz należał wręcz do tej samej kategorii politycznej; że, jeszcze dosadniej mówiąc, Stalin reprezentował konieczną i nieuniknioną konsekwencję Lenina. Ta zbieżność między kontrowersyjnymi skądinąd podsumowaniami dziedzictwa rewolucyjnego wydała się Hannie Arendt niezmiernie typowym rysem myślenia zachodniego o minionym półwieczu historii Rosji. Typowym i równocześnie kłócącym się jaskrawo z antystalinizmem prowadzonym przez sowietów.

Aby ten kontrast należycie zilustrować, Hanna Arendt przytoczyła urywki trzech „głośnych swego czasu” wystąpień na odbytym 16 lutego 1966 roku posiedzeniu publicznym w Instytucie Marksizmu-Leninizmu w Moskwie. Omawiano świeżo wydaną książkę historyka sowieckiego Aleksandra Niekricza 22 czerwca 1941, pełną gwałtownych zarzutów pod adresem Stalina za klęski sowieckie w początkowej fazie wojny z Niemcami. Historyk Jakir: „Nie powinno się Stalina nazywać towarzyszem. Nigdy nie był towarzyszem, w każdym razie nie naszym towarzyszem. Lenin widział w faszyzmie wroga numer jeden, Stalin widział go w socjaldemokracji”. Ekonomista Gnedin: „Istnieją dostateczne dowody że Stalinowi nigdy nie leżała poważnie na sercu sprawa obronności kraju, chciał porozumienia z Hitlerem”. Poeta Sniegow: „Kiedy Hitler przygotowywał wyprawę przeciw Polsce, Stalin mu pomagał. Wybił do nogi komunistów polskich w ZSSR i roz-

1. Por. „Stalin i najazd hitlerowski na ZSSR”, *Kultura*, kwiecień 1967 (Redakcja).

wiązał KPP. Jak można być komunistą i mówić spokojnie o Stalinie, o zdrajcy odpowiedzialnym za likwidację prawie wszystkich delegatów na Siódmy Zjazd partii i prawie wszystkich członków KC wybranych przez Zjazd, o zdrajcy Republiki Hiszpańskiej, Polski i wszystkich na świecie komunistów?”.

Odczytane przez uczoną amerykańską urywki miały dowodzić wyraźnego przeciwstawiania Lenina Stalinowi w sowieckich kołach antystalinowskich, w przeciwieństwie do uprawianej z różnych przyczyn na Zachodzie procedury zaprzęgnięcia ich do wspólnego dyszła. Dowodzą rzeczywiście? Jedyne wyżej powołanie się na Lenina jest co najmniej sporne: wiadomo dobrze jaki był stosunek Lenina do zachodnich partii socjaldemokratycznych. Kwestia ogólniejsza — czysto zresztą akademicka — czy okrucieństwa Stalina, wepchniętego w coraz zawrotniejszą spiralę gwałtu propulsją nauk mistrza i poprzednika, byłyby usprawiedliwiane lub *contre cœur* akceptowane przez Lenina, dotyczy w końcu różnic wrażliwości ludzkiej a nie treści doktrynalnej. Podczas sympozjonu harwardzkiego Seton-Watson odniósł się sceptycznie do hipotezy mniejszej sztywności doktrynalnej Lenina, gdyby dane mu było żyć jeszcze długo po rewolucji. Bertram Wolfe przypominał leninowski nakaz strzelania bez sądu do *umstwiennych kapitalistów* i robotników-markierantów. Znamienna była wypowiedź Carra, broniącego Stalina w roli prawowitego spadkobiercy Lenina. Marks przypisywał Blanquiemu, i odrzucał jako heretycką, wiarę w rewolucyjne zdobycie władzy przez zdyscyplinowaną mniejszość. Leninowska koncepcja partii jako awangardy klasy robotniczej zawierała elementy elitarne nieobecne w pismach Marksa, była jednak produktem epoki poświęcającej wciąż więcej i więcej uwagi problemowi elit; z niej wyrosło leninowskie hasło rewolucji „na przelaj” i w prostej linii prowadziło do stalinowskiego hasła rewolucji „od góry”. Carr zapomniał tylko dodać, że fascynacja misją historyczną elit rewolucyjnych stała się również wylęgarnią ruchów faszystowskich. Na takim gruncie wszystko jest dozwolone, różnice w stylu polityki są jedynie różnicami stopnia i miary. Wkrótce po rewolucji Aleksandra Kołontaj powiedziała komuś zagranicą w poufnej rozmowie: „Jeżeli usłyszysz że Lenin oskarżył mnie o kradzież srebrnych tyżeczek na Kremlu, będzie to oznaczało że wybuchł między nami bardzo istotny spór ideologiczno-polityczny”. Krok stąd do Stalina, który kazał oskarżyć Bucharina w procesie z 1938 roku o dosypywanie tłuczonego szkła do masła produkowanego przez kołchozy.

Teza Hanny Arendt o antystalinizmie głoszonej w ZSSR w imię „zdradzonego” Lenina nie znajduje potwierdzenia ani w nielegalnych pismach sowieckich, ani w literaturze *samizdatu* (rzecz charakterystyczna: jeden z ostatnich druków powielaczowych *samizdatu* przynosi reprodukcję pism Lenina pod adresem Politbiura z lutego 1922 roku, by w razie potrzeby rozstrzeliwać bez namysłu popów prawosławnych), ani w książkach rosyjskich napisanych lecz zakazanych w Rosji. Idealizuje się

Lenina w *Doktorze Żiwago* czy w powieściach Sołżenicyna? Usiłują go odbraćować i oderwać od Stalina ludzie pokroju Amalrika, Ginzburga, Gałanskowa, Litwinowa? Mowa o nim w *Programie Ruchu Demokratycznego Związku Sowieckiego*, wydanym niedawno po rosyjsku staraniem Fundacji Herzena w Amsterdamie? Powiewa dumnie „leninowski sztandar” w memoriale Zorina i Aleksiejewa, który dotarł świeżo na Zachód z Leningradu?<sup>2</sup> Tak, to prawda, w *Lubimowie* Siniawskiego natrafiamy na groteskową i tragiczną zarazem wizję Lenina, wyjącego rozpaczliwie do księżycy w trakcie układania planu pięcioletniego; składnik tragiczny sceny tkwi w obrazie człowieka, który po Chaplinowsku niemal wpadł między tryby piekielnej maszyny własnego wynalazku.

Wymowa *pierepałki* o książkę Niekricza (i podobnych epizodów *publicznych*, które skądinąd należą już w ZSSR do przeszłości) jest bardzo ograniczona. Dziwne że Hanna Arendt, autorka doskonałego i wnikliwego studium o totalitaryzmie, przeoczyła istotę rzeczy: w zamkniętym systemie ideologicznym o cechach półreligijnych wolno bezkarnie i z odsoniętą przyłbicą krytykować wodza, który stał się nagle mniej charyzmatyczny i czczony, tylko pod warunkiem jednoczesnego bicia pokłonów przed najświętszym wizerunkiem proroka-fundatora. Taki jest obrządek. W rzeczywistości mają rację zarówno pomnikobójcy jak apologety Stalina, zarówno na Zachodzie jak na Wschodzie, w jednym punkcie styczonym: ciągłość Rewolucji Rosyjskiej istnieje i zawarta jest w dwojcy świętej Lenin-Stalin. Bez sensu więc są pobożne inwokacje nad trumną Lenina, by się „przebudził”. Breżniew nie zwariował i w pełni zasługuje na najwyższe w ZSSR odznaczenie, Order Lenina.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

2. „Program Ruchu Demokratycznego Związku Sowieckiego” oraz memoriał Zorina i Aleksiejewa ukazały się wkrótce nakładem *Biblioteki Kultury* w tomiku *Głosy stamtąd*. (ZSSR i PRL: Od opozycji do rewolucji). (Red.).

## Dlaczego, rozumiesz Pan, ja w to nie wierzę...

Kazimierzowi Skoczkwowi

### I

Guściu Kalina, rozumiesz pan, naparzył z „Pekinu” w Melbourne. Bo miał tu swego kuzynka, uporczywie we wszystkich ankietach zatajanego, skumał się z nim podczas poprzedniego rejsu i tym razem, jak znowu przyjechali po wędlę, wracając via Melbourne z Dalekiego Wschodu do ojczyzny, rozumiesz pan, zsiadł sobie z „Pekinu” i położył palanta, rozumiesz pan, na Polskę Ludową. Głupio się czuł, nie powiem, tak stanąwszy na keji z walizeczką w ręce, popatrzył na ciemną sylwetkę dziesięcioletniego syna, który przez trzy lata był mu domem, żal mu trochę było tych lat i bał się, rozumiesz pan, przyszłości. Przyzwyczyił się był i do statku i do kolegów i do Polski Ludowej i do jedzenia i do handelków, bo kto ma w kochanej ojczyźnie handlować jak nie marynarka handlująca, no nie? Najlepiej, rozumiesz pan, były rejsy do Stanów, nie do tej dalekiej Australii poprzez Chiny Ludowe i inne Indonezje, gdzie nędza że krajowcy i o puste butelki zebrali a maszyny z poprzedniego rejsu rdzewiały na deszczu, ale nic konkretnego na handelek przyuwać nie idzie. Tak, Stany to co innego. I krótko trwa i dochodowo i rodacy się hożo napatoczą i obskubać się dadzą, bażanty białoczerwone w historię narodową coraz częściej wpadające, no i rozumiesz pan, bezpiecznie, bo do tego francowatego Hanoi jadąc niby z żywnością, a przeważnie z bronią czeską i bratnią radziecką, nieraz się mojrę miało niewąską, tyle tylko że te Amerykanie naiwne jak cholera, to i wierzą, że my z żywnością do Wietkongów. Ale o czym to mówiliśmy? Nalałbyś pan jeszcze kapkę tej wiski, acha, otóż najlepsze były rejsy do Stanów: plastikowe obrusy kupowaliśmy po sześć za dolara od znajomych Żydów polskich, a w Polsce

odpalano nam za to po dwieście złotych z pocałowaniem ręki za sztukę, rozumiesz pan, czyli tysiąc dwieście zetałpe za dolarka to nieźle, co? Rzetelny kursik.

Tak, jak już poprzednio zauważyłem, ówże Guściu Kalina przyzwyczał się i do statku i do kolegów i do Peerelu i było mu ciut niewyraźnie gdy se tak stanął z walizczką na keji. Ze mną to samo było, ale nie o mnie mówimy teraz, a o nim. Tak, przyzwyczał się. Człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja. Do żony, do teściowej, do życia z innym człowiekiem, to by się do abstrakcji nie przyzwyczał? A Polska Ludowa chociaż już dość długo trwa i codziennie niby naokoło jest, a przecież to abstrakcja. Mogę coś o tym powiedzieć, bo rozumiesz pan, żyłem tam, tfu!

Kuzynek był równy chłop, nawet nie taki stary, pomimo że jemu po pijanemu widziały się tylko przedwojenne czasy, ułany, proporczyki itede. Ale jak „Mazowsze” tu przyjechało, albo ta Orkiestra, to rozumiesz pan, boki zrywalim z Guściem, bo łyzy jemu i innym się leli jak tam „Swiniorza” Jopek zaciągnął, brawa bili tak zwane frenetyczne i serduszka komuny nie lubiące tak im się biało-czerwoną polskością wysokooktanową paliły, że o mały włos na udar serca nie kitowali. A potem to ino dawali się naciągać, a to koszula, a to ubranko lub buciki, a nawet z aparatem facet niby zdjęcie chciał zrobić rodakom kolorowe, ino że akurat zawsze wtedy zabrakło mu filmu i bażanty emigranty na wyprzódki kupowali, czyli, rozumiesz pan, te same numery co i my odstawiamy ale „Mazowsze” robi to hurtowo i artystycznie, to specjaliści. Orkiestra, nie powiem, dobrze grają i chłopaki nie takie na forszę na chama lecące, jak większość Mazowszan, ale co to zaraz z nich robić bohaterów narodowych? I padać placikiem i szlochac i deklamować o polskości, o dzieciach naszych, o Chopinie i o opłatku z Ojczyzny, który matula drżącą niby ręką wkłada do listu, choć matula już dawno wykitowali, a opłatek przesyłają tu nieproszone różne Towarzystwa Łączności.

Kuzynek, jak rzekłem już, był chłopak równy i trochę niepokojna nieobrosła dorobkiem dusza, toteż po jakimś czasie ruszyliśmy wszyscy trzej na Gorącą Północ, marzyły się nam krokodyle, a złoto, lub też inne opale. Przygoda, rozumiesz pan, ten Papa Hemingway nas zaurzekł, a Hłasko przekonał, że my wszyscy kozaki, to musowo trzeba było jechać. Kuzynek, rozumiesz pan, chłop był równy i serdeczny, lecz jak mu powiedziałem że gdyby Peerel przysłał tu tak naraz mistrzowską drużynę „Górnik” i „Śląsk” do tańca i Wiecha i Sławę Przybylską, bo Anna German podobnie rozbita, a do tego jeszcze gdyby przysłali Chór Poznańskich Słowików, to by tu była hazena i emigracja by leżała i dyszała i nurzała się w łzach i szlochach, rozumiesz pan, i gdyby taki „Górnik” zasunął reprezentacji Wiktorii sześć

baniaków, to nasza prasa pisałaby że pomimo złego sędziowania nam nieprzychylnego i wiatru nam w oczy dmącego i deszczu, który na nas tylko pada a na przeciwników nigdy, to pisaliby tutejsi społecznicy, że krzepa polska piastowska się okazała, że już od Rzepichy Polki były Zjednoczone, co by figurowało na transparencie Zjednoczenia Polek, a kombatan ci espekowcy i antykomuniści jak cholera śpiewając „Nie rzucim ziemi” i „Góralu” i „Serce w plecaku” z wdzięczności za te sześć baniaków i podremontowanie ducha narodowego, zbieraliby dolary na Polski Fundusz Olimpijski, zaś Miecio Moczar rozdawałby modlitewniki antysyjonistyczne w Moskwie robione. Obraził się na mnie ciut o to kuzynek, Wacusz mu było, ale jak tylko wyjechaliśmy jego Holdenem za Melbourne, to mu wnet przeszło. Przygoda, rozumiesz pan, wielkiej przygody nadchodzi dzień, czy jak to się tam kiedyś śpiewało, a także zaczęło się gadać, bo Polak lubi się prześlnością chwalić.

## II

Im bardziej jechali na Północ, tym było goręcej. Drewniane domki stały na słupkach: pod nimi miał być przewiew, tam suszono bieliznę, bo jak przychodzą nieprzerwane tropikalne deszcze, to wszystko by zgniło. No i to jest przeciw srebrnym argentyńskim mrówkom, których słowrogi chrobot nieraz w drzewie słychać parną nocą gdy one są niespokojne. Więc wokół były kolorowe dachy z gufrowanej blachy, ogródki ze sprinklerami, hotele z kolonialnymi werandami, jakieś mizerne drzewa, błyszczący w upale asfalt szosy, zrudziała i zżarta przez barany trawa i ciągle takie same reklamy Ice Cream Petersa. Ruda rdza pastwisk, przydymiony popiół pożarów, pustka, kikuty wypalonych drzew w spalonym buszu, łączki spłowiałe i wyłysiałe, smutne eukaliptusy i horyzont zadymiony, jak gdybyś był krótkowidzem. Mile, dziesiątki mil, setki mil i nic wokół, tylko czasem stacje benzynowe Esso-Lube, Shell, Caltex, Ampol i niezmiennie takie same reklamy Ice Cream Petersa.

W Holdenie z tyłu mieli śpiwory i plecaki, w przyczepie bańki z wodą i puszki, radio i strzelby, Retinę, apteczkę i kilka amerykańskich magazynów z nagimi *pin-up-girls* dla ochłodzenia. Był też tam i ciągle zmniejszający się zapas puszek z piwem, melbourneńskim oczywiście, bo Wacek był lokalnym patriotą i inne piwo niż melbourneńskie mu nie smakowało. Każdy emigrant po jakimś czasie ma takie swoje lokalne patriotyzmy i przywiązania, wchodzi nagle głęboko w miejscowe rywalizacje, jak np. czy Melbourne ładniejsze czy Sydney. No i po drodze gadali i gadali.

Za nimi pozostały już duże miasta Sydney i Brisbane z tym pięknym zjazdem kiedy się przyjeżdża od strony Tenterfield. Zostały za nimi i mniejsze miasteczka, osady, asfalty szos i słupy telegraficzne, nie ma już ludzi ani cywilizacji, jest tylko mapa i szeroki dziwaczny wypalony bury horyzont. Jak na fotografiach z pierwszej wojny światowej. Potem przyszła dziwaczna i gęsta zieleń tropiku. Jedno co się nie zmienia to tylko kurz na szybach auta. Zawsze go za dużo. Jedno co się naprawdę nie zmienia, to duszność i upał, bo kurz na szybie samochodu czasem zmienia kolor od czerwonej gliny, czy piasku.

Jechali teraz wyschniętym potokiem, tędy przez jakąś milę prowadził *track*, słabo znakowany, ale wśród wzgórz, które nagle się spiętrzyły naokoło, nie było innej drogi.

— Żeby tylko nie przyszła tutaj nagle powódź z Północy, *jebentimajku* — powiedział Gruby Chorwat, zabrany z Sydney przez Wacka, kiedyś razem jeździli na polowania, on to właśnie znał Porucznika, do którego teraz jechali. — To najniebezpieczniejszy odcinek. Tu w ubiegłym roku zginął Jim Vincente i czarny *tracker* Joe Sutherland wraz z grupą bydła, jaką gnali do Crow's Nest Station. Powódź, *bratku*, jak to w tych parszywych stroinach, przyszła nagle i już. Bydło, cięte muchami, ciągnęło ospale tym wyschniętym potokiem, wokół była cisza i upał, pustka i otóża zakrętu w jednej chwili wypadła ściana wodna, woda wysoka na kilka metrów; o kilkadziesiąt mil dalej było wcześniej oberwanie chmury i z miejsca Mindirrindi Creek stał się szeroką rzeką. Wyobraźcie sobie, *bratki piczkumater*; tu puste, wyschnięte łożysko potoku i nagle na ciebie wali szumiąca dwupiętrowa ława wody, przed którą nie ma ratunku. *What a country, my God?*

Polacy w milczeniu obserwowali zakręt wśród pagórków, w jaki wjeżdżali. Wszyscy we czwórkę z natężeniem wpatrują się przed siebie, Guściu pomyślał, że Gruby Chorwat już nie przeklina, bo się boi. A wtedy lepiej z Bogiem. Po godzinie, minąwszy rozdroże, skąd odnoga prowadziła do Crow's Nest Station, przybyli do Porucznika.

Nawet Australijczycy nazywają go *Johnny Polak* — powiedział Gruby Chorwat — *prospektorzy*, „skauci” co tu czasem zagładną, lub oprychy i inna zbieranina, a nawet Polacy z Tennant Creek, bo oni tu czasem dojeżdżają, by pomóc rodakowi-maniakowi, co tu ciągle wierzy, że znajdzie tu złoto. Aż serce boli jak on się tu męczy — dodał po chwili Gruby Chorwat — i czasem mi go żal. Tyle lat i wszystko *po kuracu*, nic nie znalazł.

Na wzniesieniu w małej kotlinie stała blaszana buda, obok niej maszt z białoczerwoną chorągwią, jeszcze dalej jakaś szopa z narzędziami i deskami, a obok niej pod rozciągniętym brezentem

stał jeep Porucznika. Jego samego długo nie było widać pomimo trąbienia przyjezdnych.

— Pewnie jest w kopalni — zaśmiał się Gruby Chorwat. Napięcie mu przeszło, był na nowo rozmowny. — Gdzie ten wasz rodak? On z tej swojej kopalni prawie nie wychodzi wcale, nie tylko dlatego, że *bugger* liczy iż znajdzie złoto, ale że pod ziemią chłodniej. Kiedyś mu się jeszcze ta prymitywna sztolnia oberwie nad łbem i zasypie maniaka *bloody completely*.

Uderzyła ich, a szczególnie tego marynarzy, bo ci byli tu po raz pierwszy, niezwykłość tego krajobrazu. Kotliną w której Johnny Polak szukał na zboczu złota i na którą wykupił w Darwinie licencję kilka lat temu i ciągle ją odnawiał, wyglądała jak księżycowy krater. Na wschód stał mały lasek, spieczony pod upałem, pełen nieruchomych liści w kolorze zgniłej pomarańczy, pokrytej śnieżką. Niebo było miedziane i niechętnie. Nawet Burek, pies Porucznika też był przygaszony.

### III

Ognisko płonęło, dym i żar odganiał komary i muchy, noce były chłodniejsze, toteż wszyscy z wyjątkiem Chorwata, siadywali przy nim w nocy i rozmawiali. Zdziwiałe było jak dużo może Gruby Chorwat spać. Rozmowy o Polsce nie interesowały go, dla komunizmu w jakiegokolwiek formie miał tylko niechęć i przekleństwo, a że potrafił spać na zapas, jak wielbłąd pić na zapas, to i spał w namiocie, zasuwiał moskitierę, chrapał. Czasem wstawał w nocy odsusiać się, szedł obok nich zaspany i niemal że błędny, a wracając i już będąc trochę ożywiony, mawiał złośliwie:

— Ciągłe o tym samym, Polska, Polska, albo o seksie i babach i o wojnie, i ilu Niemców wybili, dobranoc mężni Polacy. *Salute!* Ja idę spać.

A oni gwarzyli i gwarzyli, palili papierosy i wpadali czasem w ciszę.

Porucznik intrygował marynarzy. Był o wiele starszy od nich i Polska Ludowa zaciekawiała go bardzo mało. On jakoś umiał upraszczać sobie sprawy. Ta Polska nie godna była tej nazwy, toteż jej nie było. Komunizmu po pobycie w Rosji nie mógł strawić i nie chciał o nim mówić. Interesowało go wyłącznie mówienie o Arnhem, gdzie go zrucono i gdzie walczył, Wilno, z którego pochodził, a którego żaden z nich, niestety, nie znał, oraz złoto, którego nie mógł, pomimo swej zastraszająco uporczywej wiary — znaleźć. „Ale je znajdę jednego dnia i rzucę to wszystko w czorta! Pojadę do Sydney czy do Melbourne, otworzę jaki



interes, sklep z antykami a może restaurację i będę żył jak inni Polacy. Piwo, plotki, praca społeczna, karty i może sobie jaką niewiastę przyuważę, choć po tylu latach abstynencji to może ze mną być kłapa, no nie? Powiedźcie! Ale wtedy o to zacząć się martwić, naprzód trzeba znaleźć to cholerne złoto, ja je znajdę, zobaczycie!”

„Kuzynka” jednakowoż Polska Ludowa bardzo interesowała i wypytywał o nią ciągle o to a tamto, a tamci dwaj ciągle o niej mówili. I tak upływały im noce, nad ranem nerwowo spali i często to samo czynili popołudniu, czasem w nocy śpiewali polskie pieśni, wtedy jak gdyby młodnieli, wówczas nawet Porucznik rozkręcał się trochę i opowiadał o swej Brygadzie Spadochronowej, a oni słuchali. Polska fascynacja wojną to znana rzecz i gdyby emigracja zaistniała bez wojny, to Polacy wcześniej by się wynarodowili, bo nie mieliby o czym mówić. A dopóki, bracia, rozgadaliśmy w polskim języku o naszych przewagach i klęskach, to moce piekielne nie wynarodowią nas, amen!

W ciągu zasię dnia pracowali w kopalni Porucznika, wyciągali wiadra z ziemią na prymitywnym bloku na górę, przesiewali toto na sitach wodą, po którą trzeba było chodzić do mizernego potoczku i jeziorka w lesie. Płukali i cedzili, ale złota nie było. Ten trzeci, który był cieślą okrętowym, uładził trochę lepiej szafas Porucznika, wyglądało to już teraz na jakąś ludzką siedzibę.

Czasem jednak kiedy inni się męczyli i milkli, Porucznik opowiadał o swoim życiu tutaj na tym pustkowiu. Przekiblował, jak mawiał, tu już coś jedenaście lat. Przedtem był na opalach i też nic nie znalazł. Zdawał sobie sprawę z tego, że go uważają za wariata, ale kiedyś studiował w Wilnie geologię i o ile go pamięć nie myli, w takim terenie musi być złoto, ten układ tektoniczny, te kwarcy, on wie, trzeba tylko cierpliwości. Polacy nie mają tej cechy — kiwał głową i zamyślał się. Najbardziej jednak zajmowały ich jego opowiadania o tym jak tu różni „skauci” pracujący dla wielkich, przeważnie amerykańskich firm, polują na ludzi, na samotnych „prospektorów”, czyli poszukiwaczy, którym trochę się poszczęściło. Ponieważ licencja zakupywana w Darwinie ważna jest na rok i trzeba ją co roku odnawiać, więc tacy faceci, chcący czyjś teren przejąć pod swą licencję, niewygodnego gościa sprzątną, nieodnowiona licencja wygasa, a taką można za jakiś czas wykupić oficjalnie i legalnie na inne nazwisko. Ot, cały romantyzm tego Północnego Terytorium. A w tej pustce trupa nie znajdziesz, byle go gdzieś daleko rzucić, policji poza Darwinem nie ma. Takie typy kręcą się i koło niego, nie tyle za złotem, co za rudami uranowymi i innymi, których tu do cholery, nawet nikt nie wie ile tego, podziemnego bogactwa, bo co parę miesięcy coś się tu nowego na tym kontynencie odkrywa i w całą

ogromną północną, o wielkości trzech Francji, Australię a mającą tylko dwieście tysięcy ludzi, włązą różne koncerty japońskie amerykańskie i szwedzkie, czy Bóg wie, jakie jeszcze... Dziki Zachód z ubiegłego wieku, sprzed dwóch wieków...

## IV

... Wtedy w październiku, mówię wam, trzeba było tylko iskry, aby to wszystko poszło z dymem, w drebiezgi. Entuzjazm mówią, październik, mówią, naród, mówią, sto lat śpiewali, to prawda, ale to była hipnoza, dlatego proszę pana, ja w to wszystko dziś nie wierzę, a te skurwysyny, owszem, byli przestraszone i portkami trzęśli ale rychło potem już się śmiali że naród takie naiwne barany. Że się, proszę pana, wykpiłi. Że się wykpiłi tak tanio. He, he, pół miliona ludu poszło wówczas pod ten Biały Dom, Dom Partii KC, róg Smolnej i Nowego Świata, cztery ulice milicji, tłum wre, mrowie, a oni wszystkie na balkonie i Rokossowski z nimi i milczeli, a jak który co powiedział, to tylko błagał, kopany: Uspokójcie się towarzysze, my stworzymy dobrobyt, porządek, tylko nam zaufajcie, błagali, kurwa ich mać. A tu tłum: Powiesić Rokossowskiego! Precz z socjalizmem! Precz z komunizmem! I takie inne okrzyki. Ale się zmęczyli i rozleźli się po domach i knajpach, cudów nie ma, proszę ojca duchownego, tam się nic samo od siebie nie zdarza, wszystko pójdzie takim korytem jak trzeba, jak dobrze dla nich, a nie dla nas. Studenti, rewizjonizm, gównno prawda, to jak mawiał mój stary: *pućka komaria*, jest, ale nie widać, nie widać ale jest, kilku prowodyrów się wyłapie, kilka wtyczek napuści, jeden drugiego pilnuje, kradnie, ja mnie, ty tobie, załącznik, łapóweczka, ubranko, samochodzik z puli premiera, paszporcik zagraniczny, ale robociarz, krwawa jego nędza, grosze zarabia przy szynach, przy warsztacie, suchy chleb i zbożowa kawa, za to wieczorami w knajpach i lokalach kategorii S spalone mordy dyrektorskie, ten ma wagon tego na opylenie, a drugi wagon tamtego na opchanie, jak oni są ubrane, spod igły, proszę pana, tam trzeba być, by to wszystko rozumieć, coś na boczek, oblejem, przyklepiem. Ale i tak większość z nich będzie siedzieć, bo albo wpadną, albo trzeba będzie kozła ofiarnego. Bo żeby, proszę pana uczciwie tam jako tako żyć, to trzeba kraść, musisz kraść. Bo to wynika z tego ich całego socjalizmu, to są te podstawy marksizmu-leninizmu i te szmaciarze co na defiladzie pierwsze krzyczą, potem w knajpie się śmieją, same z siebie, same ze swego charakteru, czyli proszę pana, z braku takowegoż. Do jednej knajpy, do drugiej, a nad ranem do Bristolu i wtedy widzisz jak to wszystko gównem zlepione. Dlatego ja w to wszystko nie

wierzę, tam nic się nie może samo od siebie dziać, naród skapcał, sparszywał, zagoniony za dokradnięciem czego, wystany w ogonkach, apatyczny i kozaków już nie ma. Popyskować to tak, jeszcze jest, ale na ryzykie, to już nima. Nie ma chętnych na Somosierry, na Monte Cassina, bo stój jeden z drugim po półto-rej godziny dziennie, jak stwierdziła ankieta GUS, za tym by co do zarcia dostać, to wtedy ci się wszystkiego odechciewa, a wtedy każdy ochłap podany do mordy to diament, proszę pana. Ale w jedno wierzę, że jednego dnia tego wszystkiego będzie za dużo, co za dużo to i świnia nie chce, jak porzekadło ukuła nasza mądrość ludowa i wtedy wreszcie stanie się coś samo od siebie. Nie tak dużo trza ich wyrznać, jakie dziesięć tysięcy, może jedenaście, bo reszta się zawali jak domek z kart, małe świnie okaza się czyste, bo naród nasz nie jest zły ani podły, tylko capi, ale do czasu. I w godzinę nie będzie już tego bardaka. To tak, proszę pana, jak czasem budzik nie chodzi, albo nawala, sklinasz go, naprawiasz i nagle w cholerę wkurzony rąbniesz pięścią w toto i co widziem w górnem rogu tego *landszafta*? Zaczął chodzić!

Ale zgnilizna niewąska, bo z tym systemem związana. Co ja wam będę dużo mówił, przed tą marynarką tom pracował w handlu. Miało się znajomych, starzy znaczy mieli, no i dostałem się na sklep. Młody szczun byłem, ale u nas nie fach, a znajomość ważne, paliłem się, wtedy jeszcze wierzyłem. Sklep był futrzany, proszę pana, kierownik poszedł za machlojki do więzienia, patrzę, a tu w sklepie gniło starych futer na 450.000 zetełpe. Chciałem uratować co się da, może jakie 25 procent, w magazynie leżały i lecę do Centralnego Zarządu do dyrektorki, co ją znałem i nawet z nią spałem kiedyś w Ustce. Ale dyrektorki jak raz nie było, poszło na dziennik, złożyłem zeznanie i oficjalną drogą na dziennik podawczy. A tu dyrektorka wraca na drugi dzień i do mnie od razu, w dechę była cizia, i tak po partyzancku do mnie z pyskiem: Jak ja cię Jasińku opierdole to się nie pozbierasz, coś narobił, idioto? Ja próbuję tłumaczyć że tego-śmego, chciałem ratować, że to niby państwowe i da się uratować, że to ktoś tam rzucił, a ona do mnie: Gniło wiech gnije, co cię to obchodzi, frajerze? Przez dwa dni co ja tam miałem w sklepie i UB i Komisja Specjalna i NIK i kontrolerzy z Centrali. Hazena trwała przez dwa miesiące zanim się nie uspokoiło, musiałem dać łapówki, by to przyszło, rozumiesz pan? Ech, mógłbym tak godzinami opowiadać wam, dlatego ja w to wszystko nie wierzę.

V

Porucznikowi nie można było odmówić tej frajdy, należała się mu ona za te lata mordęgi i koszmarnej wiary na przekór wszyst-

kiemu. Kiedy więc znaleźli złoto i nawet go nie trzeba było płukać, bo było w dużych wyraźnych grudkach kruszczu, ktoś musiał pojechać z tym do banku. Do Darwinu. A że akurat mijał wkrótce termin licencji, więc uradzono że pojedzie Porucznik. Tamtemu aż się oczy śmiały do tej gratki: złoto, ma wreszcie to złoto, dużo złota musi tu być, jasne, no, nareszcie! Owszem, on pojedzie, bo trzeba i o tej licencji pomyśleć i zabezpieczyć ją bodaj na rok. Odkują się tu, niby wszystko na imię Porucznika, ale on swój chłop, podzieli się z nimi, rodakami, odmłodniał, jak to szczęście czyni nas młodszymi, zaczął nawet się golić, w ruchach miał już jakąś nieuchwytną godność i spokój, Boże, tyle lat tej ślepej wiary, tych kpin, które znosił w milczeniu i z uśmiechem pobłażliwości, tej pomocy jaką mu rodacy okazywali, ale która smakowała gorzko, bo traktowali go jak wariata, maniaka. Pojechał, jakby na stu koniach.

Wrócił po pięciu dniach, zmęczony, ale radosny, obładowany wozem, wszystko tam było, piwo, wódka polska, puszki i słoiki, filmy do aparatów, gazety i książki od jakiegoś Polaka, nowe koszule, psu nawet przywiózł puszki specjalnej żywności z witaminami, niech tam Burek ma. I skumbrie w tomacie i polskie ogórki kiszzone i bigos w puszcze. Złoto, złoto! Ohej, *olé*, złoto! Rzewnie i słodko było mu, z rodakami, z Polakami, Boże, tyle lat!...

VI

... Aż jednego dnia pod wieczór, rozumiesz pan, przyszło dwóch takich i pies zaczął szczeleć. Jak tylko zobaczyli że Porucznik nie sam, że tu nas czterech innych jest, miny im się wydużyły, jasne było, że przyszli go rąbnąć, już się skądś wywiedzieli o tym złocie, może w banku kto chlapnął, może w sklepach, że Porucznik, ten *Johnny Polak* tyle nakupił naraz. Mówili, że swój *Landrover* zostawili niedaleko stąd, bo byli na polowaniu, nie chcieli kopane, rozumiesz pan, śladów opon zostawiać, ale to ich polowanie to puc, bo ani strzał nie padł i w tym pustkowiu to tylko goany a węże mogły być. Porucznik też się od razu kapnął, że tamci przyszli z czymś i z czym, bo znał ich już, nieraz gościł, pracowali dla jakiejś amerykańskiej firmy, prospektorzy niby, ale właściwie najemni bandyci. Przyjął więc tamtych piwem, chwalili że zimne i pytali tak niby przypadkowo, jak my długo jeszcze zamierzamy tu zostać. A Porucznik, w którego coś weszło, takie pierwsze stadium amoku, do nich tak, com się dość jasno dorozumiał, rozumiesz pan, choć to było po angielsku, ale i kuzynek Guścia potem to tłumaczył szczegółowo, że my tu niby zostaniemy na zawsze i że jak oni chcą go puknąć to muszą z większą

ilością bandziorów go najść i że właściwie on doszedł do wniosku, iż byłby czas, ażeby to on, bohater spod Arnhem, rozumiesz pan i uczciwy prospektor ich draniów morderców do parku sztywnych odesłał. Oni piwo sączyli, chwalili że zimne, a on im dolewał i do nas mrugał. Swe strzelby i noże przedtem odłożyli, bo pogawędka była *friendly*, rozumiesz pan, aż patrzeć, a tu Johnny Porucznik niby tegośmego gada, rzucił jednemu nóż do otwierania puszek i konserw i puszkę piwska, a za rusznicę chyc, dorwał ją i śmiejąc się buch w jednego. Tamten w tył fik, Porucznik chociaż, po polsku, rad, że ich skurwysynów ubiegl, drugi siedzi jak skamieniały i tak zmarł przeszyty kulami. My do Porucznika, a on w płacz, odrzuca broń i płacze jak dziecko. Ledwośmy go jako tako uspokoili, ale on nic, tylko łyż i jakieś uporczywe milczenie w nim, oczy w słup i patrzy w to niebo, wreszcie jakoś ułożyliśmy go do snu, a Gruby Chorwat śpiewał mu nawet jakieś, rozumiesz pan, chorwackie tanga: *Samo jednom se ljubim*, czy coś takiego. Ale w nocy zbudził nas strzał, to Porucznik wałał sobie w łeb. I tak to się wszystko skończyło, ech, było i nie ma!

Zostaliśmy tam jeszcze przez kilka dni, trzeba było trzy trupy pochować, na ten upał, dwa byle jak, ale swojego, rozumiesz pan, trochę inaczej. Wydobyliśmy jeszcze trochę złota i daliśmy chodu stamtąd na południe, bo komu i jak to wszystko było tłumaczyć? Może głupio zrobiliśmy, może należało jednemu z nas pojechać do Darwinu czy do Tennant Creek, ale nie mieliśmy już na to wszystko, rozumiesz pan, nerwów, ciągnęłoby się to jeszcze parę tygodni czy miesięcy, z podejrzeń można było się nie wywikłać, w tym pomogła nam nasza mentalność z Polski Ludowej, że jak władze chcą, to się przyczepią i daliśmy chodu. Guściu jechał dżipem Johnny'ego nieboszczyka, miał go potem opylić, choć to było ryzykowne, pies z nim jechał, niby że się może przydać, wolał też zostać w tem dżipie przy marnych resztkach majątności swego pana. A my jechaliśmy we trójkę Holdenem, struci i wystraszeni, żółto w buzi, niesmak, tyle że Gruby Chorwat teraz gadał i gadał, to i droga szybciej schodziła. Miał kłopoty z żoną, jakaś chyba lepsza była zdzira i puszczała się, albo może to i on tylko tak opowiadał, bo każdy o sobie, rozumiesz pan, dobrze lubi mówić, gadał o tym jak ją szpiegował i śledził, jak tańczyła w jakimś nocnym lokalu na *Kings Crossie*, gdzie teraz Amerykanin oficer do niej coś miętę poczuł, ach, w ogóle to skomplikowana sprawa. A potem Guściowi markotno się zrobiło samemu jechać z psem tylko, to się z kuzynkiem zmienili na pół dnia i w ciągu tego pół dnia, kopany, co od czasu tej strzelaniny był niemrawy i wypłuty, bez jaj, bez inicjatywy, akurat musiał nadziać się dżipem nieboszczyka Porucznika na duży *trailer* z lodówkami, konfitura z niego została i kupa żelastwa, rozumiesz pan, bo z góry kuzynek gnał.

Bardzo niedługo to trwało, nie tak jak u nas, ale pogotowie mi-giem się znalazło, policja też, spisywali, mierzyli, nikt nas nie pytał, to my chodu, bo co? Rozumiesz pan? W obcym kraju za dużo języka się nie zna, z demoludów pochodzi, to może i policja byłaby niechętna, my z policją, rozumiesz pan, to wolimy z daleka. I co? I nic. Pojechaliśmy do Melbourne, tam znaleźliśmy jednego Polaka, Kazio Kroczek mu jest, oficer marynarki handlowej sprzed wojny, czy tak tylko mówi, ale swój chłop, teraz taksjars, rozumiesz pan, dobre serce i gościnne, to jeden z takich co ich „Mazowsze” bażantów doi, ale on *doznt majnd*, on by się złożył w czworo, byle tylko rodakowi pomóc, a jeszcze mu zalałem, że rodzice byli z Bochni, bo on z Bochni, na „Batorym” pływał, w ogóle to historia starożytna, rozumiesz pan, ale myśleliśmy sobie, że może jeszcze jednego jakiego ze statku poderwiemy i razem będzie nam raźniej, bo człek musi znać człowieka z którym żyje, musi go coś łączyć, no nie? Albo przeszłość musi łączyć, jakieś wspólne wspomnienia i mentalność albo przyszłość, ale coś wspólnego musi być.

## VII

Strażnicy portowi w granatowych mundurach przepuścili samochód Kazika Krocza przez bramę wartowni, nie patrząc nawet kto jedzie. Jeden strażnik kiwnął im przyzwalająco ręką nie podnosząc głowy znad gazety, drugi patrzył obojętnie na rozedrganą lampami i reflektorami łunę nocy w porcie, u dołu której to łuny sterczał potężny las kominów, masztów, anten, bulajów, trapów, barierek, pokładów, dźwigów i dachów hangarów. Najbliżej stał jakiś podniszczony frachtowiec z Hong-Kongu, mrugający lampkami, obwieszony schnącą bielizną i upstrzony twarzami malajskiej załogi. Przy trapie przechadzało się trzech umunduro-wanych celników i kilku tajniaków na cywila.

— Wiadomo „Chińczyk” z Hong-Kongu — mruknął Kazik — to policja węszy za kokainą i heroiną. Już na tranzystory nawet nie patrzy.

— Uhm — mruknął podobnie Guściu Kalina. — Daleko jeszcze do „Lelewela”?

— Nie, niedaleko. Za chwilę, o dwa doki dalej, tylko ten duży tankowiec załania. Zbudowali go tu w Australii, trzydzieści sześć tysięcy ton — dodaje z pewną dumą Kroczek. Tu mieszka, tu żyje, tu złoży kości, więc i tu musi mieć jakąś lojalność, czymś się pochwalić. Człowiek musi dokądś przynależeć, musi z czegoś być dumny, z czegoś, z miejsca gdzie żyje.

— Trzydzieści sześć tysięcy ton? — dziwi się Kalina. — To nieźle. U nas jeszcze takich nie robią. A jak zaczną robić,

to większość będzie szła do Ruskich, do Związku Bładzieckiego, kopani, będą płacić rublami, ale wymagać będą w specyfikacji radarów i urządzeń francuskich lub angielskich, jakie można dostać tylko w dewizach, takie to się u nas robi interesy z naszymi braćmi ze wschodu, cholera, burdel i okradanie na każdym kroku.

Obaj patrzą na siebie przez chwilę bez zmużenia oczu i uśmiechają się jak gdyby zawstydzeni.

— A Kotula nie skrewił? Zejdzie? — pyta Kalina.

— No, tak przynajmniej mówił — wzrusza ramionami Kazik. — Bardzo liczy na pana.

— A jak wygląda „Leleweł”. Czysty?

— Czysty, dość czysty, nie tak jak „Pekin”, ale jak na statek zbudowany dwa lata temu, to już zapuszczony. Smoła odłazi na pokładzie. „Marceli Nowotko”, który tu był w zeszłym roku, choć zbudowany już ponad dziesięć lat temu, a przecież lśnił się od czystości. Sporo widać, zależy od kapitana i załogi. No, wejdzie pan ze mną? — powiedział do Kaliny.

— Nie, zaczekam w wozie.

Kroczek milczał. I jemu każda wizyta na polskim statku przypominała dawną ojczyznę, ale to jednak prawda, że najgorsze na te pierwsze dwadzieścia lat tęsknoty, potem już łżej, choć nigdy z tą tęsknotą nie jest tak dopiekliwie jak to się pisze w naszej literaturze i szczerbiecie beztrosko w propagandzie reżymowej. Ale ten chłopak pewnie teraz bardzo tęskni i może myśli o powrocie. Lecz Kalina nic nie mówił, więc Kroczek zaparkował wóz w cieniu hangaru z gufrowanej blachy, popatrzył na bale wełny przygotowanej do ładowania na rano i powiedział:

— To niech pan tu zaczeka. Potrwa to może z godzinkę, może mniej...

— W porządku — powiedział Kalina. — Idź pan do niego. O cholera, to wielki statek...

— Dziesięć tysięcy trzysta ton, ale prawie pusty. Dlatego tak dziób leci do góry. Tu zabierają dwadzieścia osiem tysięcy bali, jeszcze drugie tyle dostaną w Adelajdzie i we Freemantle, jak mówił Kruszyński. Chyba już się pan odzwyczaił trochę od statków, toteż ten wydaje się panu taki duży.

— Może — zgodził się Kalina obserwując z cienia oświetlonego „Lelewela”. — Może to, a może całkiem co innego.

Kroczek poszedł. Za chwilę widać było go na trapie i na pokładzie. Kruszyński, który do niego wyszedł, był prawie dwa razy wyższy niż Kroczek, przeto nachylił się do gościa. Jeszcze ruch nogi Krocza, przełazącego wysoki przeciwskwałowy próg, jeszcze w żelaznych drzwiach kurczy się Kruszyński, ażeby się w nie zmieścić i oto trap i pokład już są puste. O kilka metrów dalej stoi grubas w obcisłym brudnym trykocie i w pompo-

niastym czepku na głowie, co chwilę przechadza się tam i z powrotem po pokładzie, trzęsąc pośladkami przelewającymi się z jednej strony na drugą, od czasu do czasu spluwa pomiędzy burtę i molo, ziewa potem dokładnie i w taki sposób, że wydusza wszystko powietrze z płuc. Za chwilę grubas skończy pewnie swą wachtę i gdy wróci do wnętrza, będzie mówił tylko po polsku, będzie wśród swoich, w polskiej aurze i zaduchu. Guściu się uśmiecha, niedługo jest na emigracji, a już poznał i pojął pewną prawdę; jaka to taniocha i przesada to ciągłe gadanie o tęsknocie, to poddawanie się terrorowi rzewnej nostalgii i posągowej świętości. Dobrze, na początku są różnice w stosunku starych i nowych emigrantów, bo każdy z nas przechodził inne perepalki i własny los inaczej na każdego wpływa, inaczej nas formuje, ale potem wszyscy już starsi i młodzi emigranci stajemy się emigracją i tym samym narodem, bo jesteśmy tym samym narodem, tylko propaganda różnych hrabików i frankowskich i moczarów chciałaby to inaczej przedstawić. Za często tam mówi się o przedziałach i zbrodniach których nie ma, a nie mówi się nic o tych co były i są, o UB, o nędzy, indolencji systemu, cenzurze i ześwinieniu ludzi, o zagnaniu ich w odruchy bydła, w sferę apatii, w tonację małości i kradzieży, kombinacji i brudu. Nie ma tych przedziałów o których ich prasa i radio mówią, dopiero poza Polską widzi się ten bajer, ten bajc, ten bajzel. Ech, żeby tylko Witek Kotula nie skrewił, żeby nie nawalił i nie zmiękł w ostatniej chwili. W każdym punkcie globu można być dobrym Polakiem, uczciwym człowiekiem, co ważniejsze, nad Wisłą właśnie, o to bodaj najtrudniej...

Kalina parsknął śmiechem, bo nagle przypomniał sobie, że na tej samej keji nie tak dawno temu stał samotny z walizką w ręce.

*Andrzej CHCIUK*

## NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDY-  
CJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSNIĘ POLSKĄ RWE ZE  
SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRA-  
JOWE.

**Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.  
MUNICH, GERMANY.**

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS  
GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamó-  
wienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25,00.

## Gdzie rosną poziomki...

### I

Kiedy wyjeżdżałem z Polski do Szwecji mówili mi tak: ty, jakbyś tam zgubił złoty zegarek, bądź spokojny — nawet jak przyjedziesz za parę dni to go znajdziesz na tym samym miejscu — nakręcony. Nie miałem złotego zegarka, miałem za to aparat Exacta Varex z wymienialną lustrzanką i wkładem pentagonalnym, wówczas ostatni krzyk, nowy, z metryczką, dopiero co własnoręcznie kupiony na Słowacji. W Sztokholmie dostałem za niego 650 koron; był wart dwa razy tyle. Od razu stałem się najbogatszym z uciekinierów mojego rejsu statku „Mazowsze”, a było ich oprócz mnie siedemnastu. Tego lata, w roku 1958, „Mazowsze” chodziło z Gdyni do Sztokholmu tam i nazad jak tramwaj. Za każdym razem kiedy statek odbijał od sztokholmskiego mola w drogę do Polski, załoga i wracający pasażerowie śpiewali: „Góralu, czy ci nie żal...”. Wycieczka na tydzień kosztowała 8 tysięcy złotych, pięć moich miesięcznych pensji. Dobrze, że miałem tyle; na dwie butelczyny spirytusu do przemycenia musiałem pożyczać od Wandy, mojej, jak się później okazało, przyszłej żony.

Stałem teraz z walizką i gitarą przed barakiem odprawy celnej w Gdyni. Oczywiście ani ja, ani nikt z amatorów wycieczki nie wiedział do końca czy pojedzie. Dla odrzuconych po prostu nie było paszportów, mogli najwyżej wnieść o zwrot zapłaconej kwoty z potrąceniem 15 % kosztów manipulacyjnych; ale gra była warta drobnego ryzyka. Na szczęście dla Lubelskiego paszport był. Jeszcze celnik zapisał aparat, gitarę — i na pokład.

Nie było mi za wesoło. Zostawiałem tylu dobrych przyjaciół, smutną Wandę, swój kraj — prawdopodobnie na zawsze. Ale nie mogłem inaczej. Musiałem wyjechać skoro nareszcie miałem spo-

sobność ucieczki przed wszechmocnym nonsensem znowu, niecałe dwa lata po październikowej odsapce, nacierającym na mnie ze wszystkich stron. Ile razy żałowałem że mam normalny wzrok, słuch i świadomość przez które można wbrew woli władować mi do głowy te kłamstwa radia i prasy, idiotyczne hasła na każdym kroku, gazetki ściennie, pogadanki polityczne — jeden dowód pogardy właścicieli PRL dla władz umysłowych swoich poddanych. Co to pomagało, że żaden z nas nawet nie próbował udawać że te bzdury bierze na serio? Ta gospodarka stojąca na głowie, zarządzenia przeczące zdrowemu rozsądkowi, pouczenia partyjnych tępaków, masówki, abstrakcyjne zobowiązania dla uczczenia, strach przed każdym awanturnikiem — że mu wolno — bo ubek albo komunista, to wszystko miało się dla mnie teraz skończyć. Zastanawiałem się czemu tyle milionów jakoś może z tym żyć, a ja nie. Być może to kwestia odporności? Tak jak z trzaskaniem drzwiami — jeden nie zauważa, inny dostaje fiola; tym bardziej że kiedyś byłem parę lat w Anglii i widziałem jak może być. Prawda, miałem odpowiednie warunki: brak obowiązków, umiejętność decyzji... Kiedy w Polsce mówiłem o przyjaciółmi o marzeniach wyjazdu — zapalali się jak ja, byle tylko nadarzyła się okazja! Pisałem do nich potem ze Szwecji, proponowałem załatwienie zaproszenia, pieniądze na podróż. Oferty przechodziły bez wrażenia; wkrótce potem nasza korespondencja jakoś usychała.

Czekała mnie teraz konfrontacja marzenia z rzeczywistością. Był 19 sierpnia, płynęliśmy we mgle, w niewiadome. Nie znałem tam żywej duszy, nie umiałem słowa po szwedzku z wyjątkiem słynnego toasu na cześć własną, przyjaciela i wszystkich pięknych dziewcząt: „*Min skal, din skal, alla vackra flickor skal*”, w Szwecji, jak się okazało, nie znanego. Co najgorsze nie miałem pojęcia czy mnie zaraz nie wykidają z powrotem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że od czasu nieszczęsnej sprawy Bałtów Szwedzi nikomu nie odmawiają azylu<sup>1</sup>. Z Bałtami było tak: przyплыли do Szwecji w 46-tym roku, 147 mężczyzn w niemieckich mundurach. Uciekali ze swoich krajów przed sowieckimi wyzwolicielami, jedni z pierwszych którzy chcieli „wybrać wolność”. Szwedzi zamknęli ich do obozu, sprawa tych rozmiarów była dla nich nowa. Po paru dniach deliberacji rząd postanowił Bałtów deportować do czerwonego raju. Nie pomogła rozpacz, tragedie, samobójstwa, władze szwedzkie wzięły ich za kark i wydały towarzyszym z NKWD. Zapewne, teraz łatwo Szwedów potępiać, ale wówczas? Rosja była aliantem i nikt jeszcze dobrze nie znał jej ponurego oblicza, a Szwecja, choć w teorii neutralna, była całą duszą przeciw Niem-

1. Z wyjątkiem udowodnionego morderstwa.

com; po niewczasie zrozumiała straszliwą omyłkę. Teraz mieliśmy z tego doświadczenia skorzystać, ja i siedemnastu innych amatorów wolności.

Pierwsze chwile w nieznanym kraju, zamożność, czystość miasta, duży ruch, oszołomiły mnie trochę, ale nie na długo. Miałem ważniejsze problemy. Na drugi dzień po obiedzie na statku, jedna z towarzyszek podróży (która zresztą wróciła do Polski) odwiodła mnie na bok i dała mi adres polskiej organizacji w Sztokholmie. Na wszelki wypadek — powiedziała. Podpadam, pomyślałem; wyobrażałem sobie że to tylko ja sam chcę odskoczyć. Ale nie przejąłem się zbytnio: stateczek nie duży, burta nisko, w razie jakby co można bez szkody dla zdrowia wyskoczyć na peron. Pani adres dostała, powiada, od miejscowego Polaka, jednego z tych co przychodzili pod statek pogadać. Poznałem go później; był to Staszek Tokarzewski, sztokholmski anioł stróż uciekinierów. Za Stalina, kiedy do Szwecji przyjechała z Polski wycieczka partyjnych ekspertów chodząc stale w grupie i pod obstawą, Staszek podjechał wynajętą limuzyną, otworzył szeroko drzwi i zawołał: Rodacy! Kto w Boga wierzy i wybiera wolność — do mnie! I rzeczywiście, znalazł się jeden z szybkim refleksem — wskoczył do auta i odjechali zostawiając w bezruchu ogłupiałą gromadkę. Ile setek takich jak ja azylantów przeszło przez jego ręce, ile dziesiątek mieszkało — z wiktem — w jego skromnym pokoiku na Söder, to wie tylko on sam — i może odpowiednia komórka reżymowego konsulatu w Sztokholmie. Staszek umówił się ze mną i innymi, na razie nie znanymi kolegami z „Mazowsza”, po czym zawiózł nas wszystkich taksówkami... do więzienia. Trudno, taki był wtedy zwyczaj naszych gospodarzy, nie wypadało się wykręcać. Po drodze patrzyliśmy na swoje zapamiętane ze statku fizjonomie — aha, to ten! Kierownik wycieczki z „Orbisu” też się tu znalazł. Na policji pytanie o cel przybycia skierowane kolejno do każdego z nas, potem znana procedura: rewizja wprawna i twardą ręką, oddać krawat, pasek — i do ciupy.

Moja cela była jednoosobowa, proporcjonalnych rozmiarów, czyściutka, owszem, na podłodze linoleum. Okno duże jak w mieszkaniu, bez krat, ale szyba matowa — nie wiem czy to lepiej, nawet tego skrawka nieba co zwykle, nie widać. Zastukałem — grube szybisko. Pod oknem stolik i krzesło, metalowe, przykręczone do podłogi. Łóżko na wmurowanych do ściany konsolach dla wygodnego sprzątnięcia, materac z gąbki, obleczone poduszka, świeże prześcieradła, komfort. Napisy na ścianach są, choć niewiele, widać często odnawiają. Nie zdążyłem dobrze się rozglądnać, a już trzask zamka, wjeżdża strażnik z obiadem. Jedzenie smaczne, świeże, ale nie za dużo, pewnie nie przyzwyczajeni do głodomorów; zresztą może by dali więcej jak się poprosi, nie

wiem. Naczynia i łyżka z nierdzewnej stali. Do picia piwo słodowe — mrożone; byłem wzruszony taką troską. Stanowczo, ze wszystkich więzień, w których wypadło mi w życiu siedzieć, wszędzie uważam za najbardziej godne polecenia.

Nie tylko więzienia, kary dla przestępców też tu są łżejsze. Autentyczny morderca na dożywocie nie ma prawa siedzieć dłużej jak dziesięć lat. Wiem, bo znałem jednego. Kolega. Przyjechał do Szwecji tym samym rejsem co ja, potem byliśmy razem w obozie w Malmö. Straciłem go z oczu kiedy przeniosłem się do Sztokholmu, aż za parę lat zobaczyłem go znowu, na pierwszej stronie *Dagens Nyheter*. Był sfotografowany zaraz po tym jak zarząną swoją sympatię, Szwedkę, w biały dzień na ulicy Malmö. Dostał dożywocie, to znaczy już niedługo wyjdzie (trochę chłodno mi się robi na myśl, że to sobie przeczyta i mnie poszuka). W każdym razie ze Szwecji go nie wylali, bo i gdzie? Jak się będzie dobrze sprawował to jeszcze z więzienia urlop dostanie, jak inni, bez strażnika, na wiarę. Owszem, zdarza się czasem że tacy urlopnicy nie wracają sami do więzienia, uciekają. Ale rzadko; widać nie warto. Ostatnio lansuje się w Szwecji nowoczesną, humanitarną metodę karania: wolne zakłady odosobnienia dla przestępców — grupy domów, malowniczo rozrzucone w pięknej okolicy, bez krat, czy murów. Strażnicy mieszkają opodal, żeby nie deranżować lokatorów. Podobno system zdaje egzamin.

Mnie tymczasem za godzinę, przeznaczoną, być może, na sjętę po obiedzie, wezwano na przesłuchanie. Rozmowa nie trwała długo. Nie prosiłem o pozwolenie na pozostanie w Szwecji; zależało mi tylko na jednym: żeby mnie nie wylali z powrotem. Naprawdę, było mi dosyć obojętne gdzie wyląduję i jak się urządę; na podstawie informacji polskich dziennikarzy o losie emigrantów byłem przygotowany na mycie garów do końca życia, gdziekolwiek mnie los zapędzi. Przez myśl mi wtedy nie przeszło że będę tu żył jak król przez dziesięć lat, póki się nie wybiorę do Ameryki po dolary. Inspektor pozwolił mi się wygadać, potakiwał grzecznym „jaha” (mówiliśmy po angielsku) i notował co powiedziałem. Na zakończenie rozmowy uśmiechnął się i kazał mi być dobrej myśli. Wróciłem do celi i zasnąłem snem sprawiedliwego.

Siedziałem jeszcze dwa dni, miałem książki — więc bez szczególnej przykrości, zrobiono mi zdjęcia jak należy, odbitki palców, po czym, jednocześnie z wiadomością o udzieleniu azylu w Szwecji wypuszczono na piękny świat. Byłem wolny, żeby tak powiedzieć, do kwadratu.

Teraz miałem do wyboru albo radzić sobie na własną rękę, albo — co było rozsądniejsze, pojechać do obozu i tam z rządową pomocą zaprawiać się do nowego życia. Obóz był na przed-

mieściu Malmö, zamieszkały przez Węgrów z powstania, drewniane baraki, łóżka piętrowe. Ale pogoda była śliczna, żarcie dobre, raz na tydzień sauna, poza tym objazdka. Dostawaliśmy w formie pożyczki 3 korony dziennie kieszonkowego, to wystarczało na paczkę papierosów, czekoladę, albo na bilet do pływalni w mieście. Do morza, cieśniny Oresund, nie było daleko, pognaliśmy tam co prędzej żeby się przekonać czy widać Kopenhagę. Przy brzegu, na kamiennym moło leżały stosy desek, cegieł, jakieś beczki, skrzynie nakryte płachtami. Wszystko nie ogrodzone, żadnej tablicy ostrzegawczej ani żywego ducha na straży. Woleliśmy się wycofać nie myśląc już o Kopenhadze, choć coś tam majączyło w oddali, zaniepokojeni czy ktoś się do nas nie przyczepi — przecież w Polsce na terenie portu bez przepustki ryzykowało się okropne przykrości. Oduczyć się strachu to nie takie proste.

W parę dni po przyjeździe poszliśmy całą kupą z kierownikiem obozu do domu towarowego i tam obprawiono nas od stóp do głów, potrzebował kto czy nie. Nie było to rzeczy najdroższe, ale na ogół różniły się na korzyść od tego co mieliśmy na sobie. Pieniądze za te sprawunki, razem z innymi pożyczkami otrzymanymi od szwedzkich władz, mieliśmy zwrócić w dogodnych ratach wkrótce po otrzymaniu roboty. Taki życzliwy stosunek Szwedów do nieproszonych gości był miłą niespodzianką i wydawał mi się dość niezwykły; przecież — co tu ukrywać — każdy z nas wepchał się do Szwecji na chamego, mimo pisemnej obietnicy wyjazdu. Ale niektórzy koledzy przyjmowali tę niezastudzoną gościnność jako coś należącego. Ci ludzie, często z pozoru rozsądni, byli przekonani że niezwykle wyróżnili Szwecję obdarzając ją swoją osobą. Znałem takich którzy zapewniali, że ta pomoc dla uciekinierów jest opłacana... przez USA! Byłe tylko jakoś się wykręcić od długu wdzięczności dla przyjaznego kraju.

Teraz, kiedy byliśmy jako tako ustawieni, trzeba było rozejrzeć się za towarzystwem. O to byliśmy spokojni! Niebawem powodzenie rycerskich Polaków wśród kobiet całego świata jest wszak rzeczą dobrze znaną. Zresztą było wiadomo, że każda Szwedka jest gotowa wskoczyć do łóżka z facetem po godzinnej znajomości. Rzeczywistość okazała się znacznie mniej przychylna; przgadać dziewczynę w Szwecji jest równie trudno, względnie równie łatwo jak gdzie indziej — zależy kto, kogo i jak. Powiedziałbym, że — oceniając na oko — biega tutaj wcale nie mniej dziewczyn niż w innych krajach Europy. Dość rozpowszechniona zła opinia o szwedzkiej moralności polega, zdaje mi się, na nieporozumieniu. Dla ludzi jak ja — od urodzenia noszących na grzbiecie garb grzechu pierwородnego, sprawy erotyczne są jednym wielkim świństwem niegodnym cywilizowanego człowieka, i nic nie pomoże świadomość wyznawania nonsensu. W tym kraju pozabawio-

nym, o ile to możliwe, przesądów, seks jest tym czym jest naprawdę: naturalną i bezpłatną (najczęściej) przyjemnością, i to publiczne obnażenie grzechu razi naszą nie nawykłą skromność. Kto był na osławionym filmie „Jestem ciekaw na żółto” — wie o czym mówię. Inna sprawa że, jak się wydaje, specjalnością szwedzkich filmowców jest pokazywanie aktu płciowego w sposób bardziej przypominający pracę tartaku niż spięcie ludzkich namiętności. Reżyser Vilgot Sjöman nakręcił inny film, jeszcze gorszy (czy lepszy, jak kto woli) od „Ciekawego”, pod tytułem „491”. Tu posunął się za daleko nawet jak na szwedzką wytrzymałość: po długich sporach i targach, po specjalnym pokazie dla przedstawicieli rządu, wycięto z filmu scenę stosunku bohaterki z psem-wilczurem. Niemalą rolę przy powzięciu decyzji ocenzurowania filmu grał (jak podały gazety) oficjalny protest niemieckiego Klubu Przyjaciół Owczarka Alzackiego. Czasem ze Szwedkami bywa inaczej: Pia Degermark, niezapomniana „Elwira Madigan”, nie tylko odmówiła zagrania gołej sceny w amerykańskim filmie „Brief season”, ale nawet nie zgodziła się na dublerkę.

W sztokholmskim „Moderna Museet” była kiedyś wystawa pod tytułem „Hon”, ona. W wielkiej sali muzeum leżała na podłodze olbrzymia „Ona” z masy papierowej i miała w brzuchu pomieszczenie na jakieś, mniej ważne w tym wypadku, eksponaty. Główną atrakcją wystawy było wejście, znajdujące się między nogami.

Zapoczątkowane w Skandynawii bezceremonialne podejście do problemów seksualnych staje się coraz bardziej popularne na świecie. Podobno jest to zdrowa tendencja. Jak stwierdzają członkowie Rady Medycznej w Danii, Sven Ziegler — przedstawiciel ministerstwa sprawiedliwości i dr Anders Groth — psychiatra kopenhaskiego szpitala św. Jana, nie ma związku między uświadomieniem seksualnym a wczesnym rozpoczęciem życia płciowego i nie ma podstaw przypuszczać, żeby to uświadomienie miało szkodzić rozwojowi dziecka. Co więcej, od czasu rozpowszechnienia pism pornograficznych w latach 60-tych zaznaczył się spadek ilości przestępstw seksualnych. Widocznie, zdaniem autorów sprawozdania, te pisma raczej rozładowują niż wzmagają namiętności. Jednocześnie podobno przeciwdziałają wzrostom, odswiadając wędzące małżeństwa. Wnioski zachęcające. Inna sprawa, że ilość nieślubnych dzieci w Danii i Szwecji zwiększa się z każdym rokiem; jak dotąd członkowie Rady Medycznej nie znajdują optymistycznego wytłumaczenia tego zjawiska.

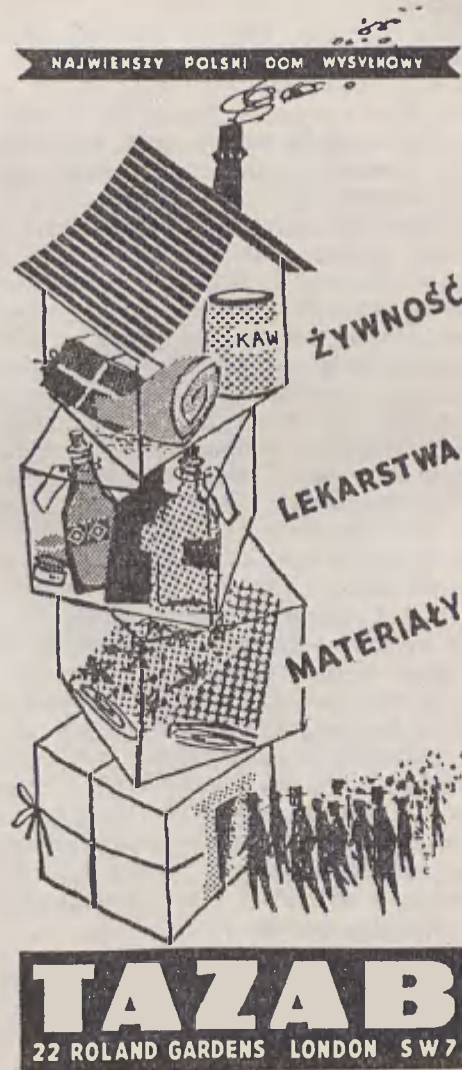
Wróćmy teraz do Malmö, gdzie łąziłem z kolegami po ludnych ulicach i nawiązywałem jednostronne kontakty wzrokowe z pięknymi Szwedkami. Słowo honoru, że w żadnym kraju nie widziałem tylu ładnych dziewcząt; oczywiście poza Warszawą, gdzie, jak

wiadomo, mieszkają najpiękniejsze i najlepiej ubrane kobiety na świecie. Szwedki były długie, wiotkie, krótkonose i zadbane — przynajmniej wszystkie te, którym ja się przypatrywałem. Starannie zrobione twarde, szykowne odzienie — ba, modelki są jedną z pozycji szwedzkiego eksportu. Folies Bergères tutaj zamieszcza anonsy w poszukiwaniu smukłonogich chórzystek; w USA „*must be Swedish girl*” jest modnym komplementem; dziewczyna ze znanego plakatu „Air France” — to Szwedka. Co do tutejszych mężczyzn — też przystojne chłopaki; rzuca się w oczy ich wysoki wzrost, który na dodatek, jak zauważono w wojsku na sortach mundurowych, zwiększa się z każdym rokiem. Przypuszcza się że dobrobyt kilku ostatnich dziesiątków lat przyczynił się do wychowania dorodnego pokolenia. Zdrowy wygląd, schludność i dostatnie ubranie sprawiają, że na tubylców patrzy się z przyjemnością. W Szwecji, pomijając młodych ludzi upozowanych na obdartusów, biednie ubranych ludzi spotyka się wyjątkowo; nawet szwedzcy cyganie chodzą w futrach i rozjeżdżają limuzynami.

Godziennie wieczorem mieliśmy wykłady szwedzkiego; co prawda moja własna, nieco szeleszcząca mowa nie daje dobrej pozycji do krytyki, ale mogę powiedzieć że chyba nie jest to język piękny. Nauka szła nam tępo, komu chciałoby się wkuwać na stare lata; w końcu nie po to zwaliśmy z Polski żeby się tutaj męczyć. A na lekcjach było nas coraz więcej. Po doszlusowaniu azylantów z dalszych rejsów „Mazowska” zebrało się w polskim baraku ze dwadzieścia osób różnego wieku, zawodu. Jeden np. był cinkciarz (handlarz walutą) z Gdyni. Dowiedział się że milicja zamierza go zwinąć, więc na nic nie czekał — tylko zadekował się w nocy do szalupy „Mazowska”, pod plandekę. Nad ranem usłyszał że ktoś płachtę odpina, aż mu się słabo zrobiło. Ale to tylko któryś z marynarzy chował swoją porcję butelek ze spirytusem. Do Sztokholmu cinkciarz przyjechał głodny, zmarznięty, bez dokumentów. I tak polski konsulnat błyskawicznie go wyniuchał i upomniał się Szwedom, niby że przestępca walutowy, choć pewnie bez większych nadziei na skutek. Bez rezultatu, oczywiście. Inny znowu kumpel był lekarzem więziennym, porucznikiem w czynnej służbie, i dlatego w ogóle nie miał prawa wyjechać za granicę. Ale podanie o wyjazd złożył, liczył na bałagan, przypadek. Przyjechał do Gdyni bez bagażu, na wariata; pyta o paszport — jest. Potem, w Sztokholmie, Szwedzi przytrzymali go w więzieniu dłużej niż innych, aż zaczął się szarpać. Powoli, bratku — mówią mu, władze polskie domagają się twojej ekstradycji pod zarzutem dezercji z wojska, co ty na to? Położył uszy po sobie i już siedział cichutko jak trusia, póki nie przyszli z dobrą nowiną. Albo Jasio Mischczak z Wrocławia, cichy, grzecznutki,

nigdy nie protestował kiedy jakoś wciąż na niego wypadała kolejka sprzątanina baraku. W Polsce pracował na dalekopisach, jakąż to przyszłość za granicą dla takiego zawodu? Przez wiele lat mył gary w Sztokholmie biedaczek, samotny, zastraszone, wałęsający się po sublokatorskich pokojach, aż umarł na serce w małym mieszkanku które po latach czekania właśnie dostał od urzędu kwaterunkowego; dopiero po kilku dniach odkryli go sąsiedzi.

Andrzej LUBELSKI





## Pałeczki

W Nowym Jorku już się zaczęły upały, ale jeszcze nie te najgorsze, duszące. Póki co można jeszcze spacerować po ulicach. Tłumy na Piątej Avenue. Wciąż jeszcze mini, barwne i powiewne. Pstrokate. Panowie dwurzędowi. Przegląd mód i ud. Na ogół wesoło. Środkiem trotuaru sunie gęsiego sześcianu albo siedmiu w pomarańczowych burnusach. Podobno buddyści, ale na pewno nie wiadomo. Nic nie mówią, na pytania nie odpowiadają, plakatów nie noszą. Głowy z przodu ostrzyżone na goło, z tyłu ogonek, przewiązany wstążką. Nie ze Wschodu, twarze absolutnie tutejsze. Młodzi, oczy ku górze, wyraz twarzy smętny. Każdy ma dwie pałeczki z czarnego drzewa i rytmicznie stuka. Prowadzyciel odbija rytm całym korpusem, podrzucając od czasu do czasu głowę do góry jak spłoszony koń. Chodzą po Piątej Avenue każdego dnia, na jej głównym odcinku, między ulicami 42-gą i 60-tą. Tam i z powrotem. Mało kto zwraca na nich uwagę.

Może sami wymyślili bicie w pałeczki, a może nie. W historii już pewnie coś takiego było, wszystko w historii było. Jakiś kult i czegoś symbol. Szerzy się niesamowicie. W East Village, która teraz tak się ma do staromodnej Greenwich Village jak lot na księżyc do podróży dylizansem, w dzielnicy kudłatych i długowłosych, gdzie bujna młodość na falach narkotyków i seksu rozpoczyna się w dwunastym roku życia, słyszy się pałeczki na każdym kroku. Młodzieńców, uderzających w pałeczki, można też spotkać na innych ulicach. Idą i stukają, idą i stukają. Spodnie w plamy. Ostatni krzyk amerykańskiego progresu, niewątpliwie szybko doleci do Warszawy, takie krzyki błyskawicznie tam dolatują. Bierze się bezbarwne spodnie, pakuje do miski z niebieską farbą i zaraz wyżył. Powstają plamy, świadczące że się idzie noga w nogę z wielkim życiem.

Ale na zdjęciach z demonstracji z powodu inwazji Kambodży w prasie i w telewizji nie widzi się plamiastych od dołu i kudłatych na górze, albo widzi się ich bardzo mało. Wśród tych, którzy na rogach ulic zbierają przy stolikach podpisy pod protestami przeciwko wojnie w Wietnamie też się ich nie widzi. Młodzi? Owszem, młodzi. Ale sześcianu laureatów Nobla, profesorów Harvardu i M.I.T., którzy wczoraj zorganizowali jeden z tysięcy komitetów protestu przeciwko wojnie, ma już swoje lata.

Wspominam ich tylko mimochodem, bo mnie wczoraj uderzyło, że aż sześcianu. Nie sądzę, żeby ich naukowa sława wielce zaważyła na szali, jako że w walce która się toczy hasło *dotoj gramotnych* odgrywa dużą rolę. Nie należy lekceważyć jego głębokiego sensu. Składa się na ten sens freudowskie *Unbehagen in der Kultur*, sięgające już istotnie niebezpiecznych granic codzienne zatrucie powietrza w miastach i wody w oceanach i rzekach przez realizujący naukowe osiągnięcia przemysł, i zwłaszcza nieznośny, bo zmuszający do trudnego pomyślniku niepokój i wicherzenie pracujących głową. Oni to, dzięki jakimś tam swoim naukom, wymyślają problemy, których pracownicy fizyczni nie widzą i nie chcą widzieć. Nie chcą, aby ich straszono przyszłością. Ci, którzy widząc chmury na horyzoncie zapowiadają deszcz, nie wymyślają deszczu ani go nie sprawdzają, ale najczęściej uchodzą za sprawców deszczu. To jest nielogiczne, ale tak już jest.

Najprostszą reakcją na knowania mędrkujących wichrzycieli jest cios w głowę, pięścią, względnie żelazną rurą, owiniętą w gazetę. Robotnicy budowlani i portowi, którzy w zeszłym tygodniu zaatakowali demonstrujących na Wall Street studentów posługiwali się głównie rurami. Poranili kilkudziesięciu. Robotników było około dwóch tysięcy, studentów więcej, ale robotnicy byli lepiej zorganizowani i lepiej uzbrojeni. Rozegrali studentów bez wielkiego trudu, rannych wśród nich nie było. Policja przypatrywała się temu obojętnie i z zimną krwią.

Można sobie powiedzieć na pocieszenie, że robotnicy o których chodzi należą do związków zawodowych, nie cieszących się dobrą opinią. Wyrzucono je w swoim czasie z AFL-CIO jako opanowane przez gangsterów. Ale to będzie słabe pocieszenie. George Meany, przewodniczący AFL-CIO, powiedział przedstawicielom prasy, że bicia studentów po głowach nie pochwała, ale że z drugiej strony należy wziąć pod uwagę, że przeciwnicy polityki Prezydenta też często stosują przemoc. Irytacja robotników jest wskutek tego zrozumiała. Po złożeniu tego oświadczenia Meany udał się do Białego Domu, gdzie zapewnił Prezydenta, że popiera go nie tylko on sam, ale cała klasa robotnicza, zorganizowana w związkach zawodowych.

Pewnie nie cała, ale z pewnością duża jej część, prawdopodobnie

nie większość. I to jest fakt najwyższej wagi. W Paryżu robotnicy studentów nie poparli. W Nowym Jorku wystąpili przeciwko nim zbrojnie i zapowiadają, że to jest dopiero początek ich akcji. Dostało się przy tym wielu przechodniom, niezależnie od zajęcia i wieku. Jakiś współwłaściciel banku skarżył się w gazetach, że go robotnicy mocno poturbowali tylko za to, że stanął w obronie studenta, już leżącego na bruku.



Trocki, który miał talent do obrazowych porównań, napisał na jakiś rok przed objęciem władzy przez Hitlera, że stan rzeczy w Niemczech przypomina kulę, wepchniętą na sam szczyt stożka. Na tym stożku kula długo utrzymać się nie może, musi stoczyć się na lewo albo na prawo. Sytuacja w Ameryce nie jest jeszcze taka jak wówczas w Niemczech, ale staje się do niej podobna. Aby ją zrozumieć, trzeba się jednak wyrzec rozumowania, opartego na dawnych pojęciach. Marksizm i komunizm, proletariat i kapitalizm, demokracja i faszyzm — wszystko to, jak również wiele innych rzeczy, historia lat ostatnich w Ameryce postawiła do góry nogami.

Układ sił w Stanach Zjednoczonych wygląda teraz mniej więcej tak:

Za natychmiastowym przerwaniem wojny w Wietnamie wypowiadają się:

Kapitałiści. Wall Street (kapitał finansowy, banki). Dyrektor największego banku w Stanach Zjednoczonych (Bank of America). W ciągu ostatnich kilku dni wypowiedzieli się publicznie: Henry Ford. Averel Harriman (koleje żelazne), jeszcze niedawno przewodniczący amerykańskiej delegacji, prowadzącej rokowania w Paryżu. Gubernator stanu Nowy Jork Rockefeller, też niezłe kapitalistyczne nazwisko.

Kler. Zwłaszcza jezuita. Ksiądz D. Barrington, opiekun duchowy Cornell University. Skazano go na sześć lat więzienia za oblanie krwią w urzędzie poborowym wezwań, które miały być rozesełane rekrutom. Ukrył się, ściga go FBI. Wielu innych księży już siedzi za podobne przestępstwa. Pastory protestanccy odprawiają masowe modły na stacjach kolejowych, domagają się natychmiastowego wycofania amerykańskich wojsk z Wietnamu.

Wyżsi i niżsi urzędnicy państwowi. Obecny Minister Spraw Wewnętrznych. Wielu członków gabinetu poprzedniej administracji. 200 urzędników Departamentu Stanu (Ministerstwo Spraw Zagranicznych) podpisało protest przeciwko polityce Prezydenta.

Intelektualiści wszystkich zawodów, z wyjątkiem, jak dotychczas, lekarzy. Ich organizacje zawodowe zamieszczają wciąż w gazetach odpowiednie oświadczenia. Pojechało do Waszyngtonu

równy tysiąc prawników. Na czele tej grupy stali sędziowie, wybitni adwokaci, b. przedstawiciel Stanów Zjednoczonych w ONZ — A. Goldberg, mer Nowego Jorku — Lindsay. Grupa wynajęła siedem wagonów kolejowych, część jej poleciała samolotami. Powiedzieli reporterom, że do podróży skłoniło ich głównie „wystąpienie faszystów z Wall Street”. Tak nazywają robotników, atakujących studentów.

Po drugiej stronie barykady stoją:

Pentagon. CIA.

Milionerzy, a właściwie miliarderzy z Teksasu i z Kalifornii. Nafciarze. Bardzo potężna grupa, dzięki ich pomocy Nixon został Prezydentem (ponieśli koszty jego kampanii przedwyborczej).

Robotnicy. Zwłaszcza wykwalifikowani, najwięcej zarabiający.

Wielkie masy mieszkańców małych miasteczek. Kobiety w wieku średnim.

Wice-Prezydent Agnew. Świetny mówca, bardzo inteligentny.

Ten podział, siłą rzeczy, jest oczywiście bardzo schematyczny. Obliczenia liczbowe nie mają wielkiego sensu, bo ciężar gatunkowy Pentagonu, CIA i miliarderów z Teksasu nie da się porównać z wagą i wpływami innych grup. Ale Gallup w tych dniach ogłosił, że politykę Prezydenta wciąż jeszcze popiera przeszło 50 % Amerykanów, i tak prawdopodobnie jest.

Czym się ta polityka tłumaczy?

Z mnóstwa odpowiedzi na to najważniejsze w danej chwili pytanie dwie zasługują na to, aby je gruntowniej rozpatrzyć. James Reston napisał, że Nixon, zarządzając inwazję Kambodży, chciał pokazać Rosji, że nie da sobie dmuchać w kaszę, że Ameryka jest, w razie potrzeby, gotowa do czynu. Miało to Rosję nastraszyć, nie tylko i nie tyle w Wietnamie, ile na Bliskim Wschodzie i w ogóle wszędzie.

Generał Gavin, były amerykański poseł w Paryżu, tłumaczy politykę Nixona inaczej. Daje wyraźnie do zrozumienia, że chodzi o przygotowanie wojny przeciwko Chinom, przy milczącym albo i nie milczącym poparciu Rosji.

Pogłoski tego rodzaju kursują już dawno. Piszący te słowa nic na ten temat nie może powiedzieć, bo nie wie, ile jest w nich prawdy. Jedno wydaje się pewne: Nixon jest przekonany, że z Rosją potrafi się dogadać. Kiedy ukazał się na ekranie telewizyjnym po inwazji Kambodży, trochę zakłopotany i niezbyt pewny siebie, odpowiedział na jedno tylko pytanie kategorycznie i stanowczo. Dotyczyło ono rokowań w Wiedniu. Powiedział iż nie ma wątpliwości iż doprowadzą one do zawarcia układu, ograniczającego zbrojenia atomowe.



A cóż Rosja? Bawiła niedawno w Ameryce sowiecka delegacja dystyngowanych naukowców — *distinguished scientists*, jak ją tu rekomendowali — pod przewodnictwem profesora Milionszczikowa, wiceprezydenta sowieckiej Akademii Nauk. Występowała w rozmaitych środowiskach i w wielu miastach, często aż dwa razy dziennie. Trzech jej członków występowało w telewizji. Wiedziwo było nadzwyczaj ciekawe i pouczające.

Rozmawiali z nimi trzej byli korespondenci *New York Times'a* w Moskwie, Daniel, Frenkel i Grose. Delegację sowiecką reprezentował Milionszczikow, bardzo sympatycznie wyglądający uczo-ny o twardo ciosanej twarzy; młodzikowaty jegomość o pięknym profilu, niezmiernie, mówiąc po rosyjsku, *szustrzy* (gorliwy? szczwany?), którego przedstawiono jako byłego zastępcę redaktora *Prawdy*, oraz kierownik niedawno utworzonego w Moskwie Instytutu Badań Stanów Zjednoczonych. Nazwisk tych dwóch nie zapamiętałem, powiedzieli je niewyraźnie. Najgłówniejszy z nich był ten ostatni, nazywał się Arbuzow, albo jakoś podobnie.

Wszyscy mówili po angielsku, najlepiej ten główny. Milionszczikow, kiedy go o coś pytano, odpowiadał po namyśle i wygłaszał tylko banalne zdania, nie mające żadnego znaczenia. Przystojniak z *Prawdy*, o bliżej nie określonych kwalifikacjach naukowych, odzywał się trochę gniewnie i wciąż wymieniał nazwisko Breżniewa, wraz z jego pełnym tytułem: Towarzysz Breżniew, pierwszy sekretarz Centralnego Komitetu naszej partii, powiedział to, towarzyszu Breżniew itd. powiedział tamto. Może chciał w ten sposób potwierdzić pogłoski o awansie Breżniewa, a może robił to tylko na wszelki wypadek.

Natomiast Arbuzow wywiązywał się ze swojego zadania znakomicie. Trochę nawet za dobrze, bo z tego co mówił było widać, że otrzymał bardzo dokładne instrukcje. Mówił tonem ojcowskim, trochę szarżował, ale tylko dla podkreślenia przyjaznych dla Ameryki uczuć. Główny punkt instrukcji: domagać się, aby Ameryka dała dowody swojej szczeroci i pokojowych zamiarów. Ten chwyt był wielokrotnie stosowany przez Moskwę już dawniej, zawsze skutecznie. Czy sądzi pan, że porozumienie między Ameryką i Związkiem Sowieckim jest możliwe? Owszem, jest możliwe i bardzo pożądane, ale musicie najpierw wykazać, że wam można wierzyć. Jak wykazać? No, to jest przecież jasne. Jeśli będziecie nadal popierać agresorów i zaopatrywać ich w broń (lekkie westchnienie)... Czy wypadki w Kambodży odbiją się na rokowaniach w Wiedniu? Obawiam się że tak. Jeśli mam być szczerzy... (zmarzwienie w tonie głosu).

Był przygotowany na wszystkie pytania. Pada nazwisko Sacharowa. Pytanie skierowane jest do tego z *Prawdy*, który ściąga brwi. Widać że zamierza odpowiedzieć ostro i niewłaściwie. A tu

jest wskazana łagodność. Arbuzow powstrzymuje kolegę leciutkim ruchem i sam odpowiada. Owszem, mówi, bardzo jest u nas ceniony jako wybitny naukowiec. Ale co się tyczy jego politycznych poglądów, to muszę powiedzieć, że więcej się mówi o nich w Ameryce niż u nas. (Nic dziwnego, bo w Ameryce były ogłoszone w prasie, a w Rosji tylko w „Samizdacie”). Są one, ciągnie dalej, trochę naiwne i nawet, muszę dodać, niebezpieczne. Dlaczego niebezpieczne? Dlatego że Sacharow sądzi, iż dla uniknięcia straszliwych konfliktów w skali międzynarodowej wystarczy trochę dobrej woli, jakieś reformy w Związku Sowieckim. A tak nie jest. Trzeba dokładnie opracować podstawy porozumienia między naszymi krajami, to jest ciężka i żmudna praca, to może trwać wiele lat. I do tego niezbędna jest atmosfera wzajemnego zaufania, opartego nie na słowach, lecz na czynach z waszej strony. Tak — teraz już z naciskiem — zapatrywania Sacharowa są *bardzo* niebezpieczne.

I tak dalej w kółko, całą godzinę. Czasami na ekranie, zamiast twarzy przemawiających, ukazują się ilustrujące rozmowę filmowe zdjęcia. Inwazji Pragi? Ale gdzież tam, broń Boże! Konferencja w Jałcie. Spotkanie żołnierzy amerykańskich i sowieckich na Elbie. Jeszcze coś w tym rodzaju.

Dystyngowani goście odchodzą. Clifton Daniel z *New York Times'a* serdecznie dziękuje im po rosyjsku, że się pofatygowali.

I wojna w Wietnamie trwa dalej. Czym dłużej będzie trwała, tym dla Moskwy lepiej. Osłabia Amerykę za granicą. I jeszcze bardziej od wewnątrz. Depresja. Inflacja. Krach na giełdzie. Ford ogłosił, że wypuści wkrótce na rynek nowy model samochodu, trochę tańszego niż inne. Ale ten model będzie produkowała jego fabryka w Niemczech, w Ameryce robocizna za drogo kosztuje, robotnicy wciąż żądają podwyżki płac z powodu inflacji. Szpitale w Nowym Jorku ogłaszają, że jeden dzień pobytu w nich będzie wkrótce kosztował 140 dolarów (łóżko i jedzenie, wszystko inne oddzielnie). Istniejące od prawie trzydziestu lat w Nowym Jorku prawo o ochronie lokatorów ma być zmienione. Podwyżka komornego o 10 do 15 % co rok. Stalownie komunikują, że podwyższają ceny też o 10 %. To są wszystko wiadomości z jednego tylko dnia. A gdyby to co mówi generał Gavin okazało się prawdą i Ameryka wciągnęła Chiny do wojny — jakaż radość zapanowałaby w Moskwie!

Miejmy nadzieję że do tego nie dojdzie. Miejmy nadzieję, bo nie pozostaje nam nic innego, jak żyć od nadziei do nadziei. A przewidzieć niczego nie można, ponieważ losy świata spoczywają w rękach jednego człowieka, Prezydenta Stanów Zjednoczonych, który sam uroczyście oświadczył w swoim ostatnim telewizyjnym wywiadzie, że jego doradcy i członkowie jego gabinetu

mogą mu tylko doradzać, ale że decyzje podejmuje on sam i tylko on jest za nie odpowiedzialny. I wobec tego wszystko jest możliwe.

Znowu pałeczki. Tym razem w Parku Centralnym. Rozsiedli się na trawie, tworząc koło, młodzieńcy i dziewczyny, jeden stuka, Murzyn, inni biali i białe, kiwiają się do taktu. Cóż to może być? Dochodzę do wniosku, że to pewnie nic nie znaczy. Ludzie chcą czymś zająć ręce, przeszkadzają im puste ręce, w historii były już takie wypadki i o niczym nie świadczyły. Na przykład *bilboquet*, pałeczka z lejkiem na szczycie, do którego łapało się podrzucaną piłkę. Ta mania trwała w ciągu wieków. Rousseau pisze o niej w swoich „Wyznaniach”, a później Maupassant w „Bel ami”.

Grupa na trawie zauważyła, że się jej przyglądam, jedna z pańienek przyjaźnie zapytuje, czy chcę z nimi porozmawiać. To się teraz często zdarza. Anty-wojenna młodzież chętnie szerzy swoje poglądy, na ulicach, w parkach, grzecznie, łaskawie, tonem, którym rodzice rozmawiali kiedyś z dziećmi, kiedy im chcieli wytłumaczyć coś co dla starszych jest jasne, a dla dzieci jeszcze nie.

— Powiedźcie mi, mówię, dlaczego stukacie? Czy to ma coś znaczyć?

— A pan nie wie?

— Nie wiem.

— Czas leci. Tik-tak, tik-tak, jak w zegarze. Trzeba ludziom przypomnieć, że czas leci.

— Czas leci, a wojna w Wietnamie trwa?

— Właśnie. Już się pan sam domyślił.

Wybuchają śmiechem. Młodzież w tym wieku łatwo się śmieje. Bez widocznego powodu. Bez widocznego dla dorosłych powodu. Murzyn zaczyna znowu stukać.

W. S.

Nowy Jork, w maju.

## Archiwum polityczne

### Europa Poczdamka

Wiem, że to jest w złym stylu powoływać się na własne wypowiedzenie — niemniej w tym wypadku, ulegając pokusie, muszę stwierdzić, że byłem jednym z nielicznych publicystów, którzy od kilku lat uporczywie przepowiadali porozumienie niemiecko-rosyjskie.

Wielu krytykowało mój pogląd w tej sprawie. Zaledwie dwa lata temu propaganda sowiecka i reżymowa oskarżały NRF o zamiar oderwania Czechosłowacji od obozu „państw socjalistycznych”. Jeszcze 24 miesiące temu inwazja Niemiec przez Armię Czerwoną wydawała się bardziej prawdopodobna niż porozumienie pomiędzy Bonn a Moskwą.

Jednak 12 sierpnia bieżącego roku traktat został podpisany. Na Kremlu wydano bankiet dla delegacji niemieckiej a Kanclerz Brandt złożył wieniec na grobie nieznanego żołnierza, który — jak zauważyła prasa sowiecka — oddał życie w obronie Moskwy przed Niemcami.

Traktat składa się tylko z pięciu krótkich artykułów. Wszystkie mówią o zachowaniu pokoju, który autorzy dokumentu identyfikują z zachowaniem *status quo* w Europie. Pokój to *status quo* i traktat zobowiązuje Rosję i Niemcy do ochrony poczdamskiego porządku rzeczy na naszym kontynencie.

Przemoc w polityce międzynarodowej uprawnia się po pewnym czasie. Wszystkie imperia, zaczawszy od rzymskiego a na brytyjskim skończywszy, zostały zbudowane przemocą — jednak nikt nie kwestionował ich pełnego legalizmu. Rosja dąży również do pełnego zalegalizowania swojego imperium i podpisy niemieckie pokwitowane traktatem stanowią ważny krok na tej drodze. Imperium sowieckie winno być nie tylko legalne — lecz również *respectable* i w budującej harmonii z... Kartą Zjednoczonych Narodów o czym mówi artykuł drugi traktatu.

Europa Poczdamka stanowi dziwną formację polityczną.

NATO powołano w celu obrony Europy Zachodniej przed Sowietami. Głównym filarem NATO na kontynencie są Niemcy. Obecnie Niemcy zawarły *de facto* pakt nieagresji z Sowietami. Czy NATO i pakt nieagresji nie wyłączają się wzajemnie? Jeżeli NATO — to po co pakt nieagresji? Jeżeli pakt nieagresji to po co NATO?

W chwili gdy piszę te słowa (ostatnia dekada sierpnia) traktat nie jest jeszcze ratyfikowany. Jednak z artykułów korespondenta *Prawdy* w Bonn — E. Grigoriewa, można w pewnej mierze odczytać o co Rosjanom chodzi. Wymiana gospodarcza, ożywienie stosunków handlowych — to wszystko brzmi pozytywnie i konstruktywnie. Należy jednak pamiętać, że Niemcy — choć nie posiadają broni atomowych ani statków kosmicznych — są po Ameryce najbardziej technologicznie zaawansowanym krajem świata. Jeżeli mówimy o nowoczesnej skomplikowanej technologii wypada stwierdzić, że Niemcy mają Rosjanom do zaoferowania bardzo wiele — natomiast Rosjanie mają do zaoferowania Niemcom bardzo niewiele.

Co innego jest pakt nieagresji a co innego jest wywianowanie Sowietów w zachodni technologiczny *know-how*. W przemyśle elektronicznych, reaktorach atomowych, w przemyśle chemicznym — granica pomiędzy tajemnicą handlową a tajemnicą wojskową jest bardzo wąska.

Gdyby doszło do ożywienia stosunków handlowo przemysłowych, tak jak to sobie wyobrażają Rosjanie — traktat z 12 sierpnia br. powoli przybrałby postać konia trojańskiego w obozie NATO. Lecz to jeszcze nie wszystko. Ożywiona współpraca gospodarcza pomiędzy Rosją a Niemcami musiałaby się odbić na strukturze i obrotach „EWG”. Pisałem wielokrotnie na tych łamach, że kto ma Niemcy ten ma Europę. Poprzez Niemcy Rosjanie mogą położyć NATO i osłabić „EWG”.

Lecz być może alarm jest przedwczesny? Największym wrogiem Rosjan jest ich własne polityczne „niezgrabstwo”. Niemców nie jest łatwo sobie zrazić, lecz być może Sowiety i to potrafią.

Pakt z 12 sierpnia otwiera furtkę do *special relationship* pomiędzy Niemcami a Rosją Sowiecką. To jest sprzeczne z dotychczasowymi zasadami gry. *Special relationship* z Rosją powinna mieć Francja — między innymi i w tym celu, by równoważyć rosnącą potęgę Niemiec. Wielki zamysł gen. de Gaulle'a, dotyczący porządku europejskiego i roli Francji, został poważnie zachwiany w dniu 12 sierpnia br.

Niemcy jako państwo pokonane znajdowały się w zrozumieniu sowieckim pod kuratelą. Innymi słowy Sowiety rościły sobie prawo do interferencji w wewnętrzne sprawy niemieckie, gdyby Niemcy przestały zachowywać się „po-poczdamsku”. Traktat z 12 sierpnia zdejmuje z Federalnej Republiki status państwa pokonanego. To nie jest dyktat ale dwustronna umowa pomiędzy dwoma równorzędnymi, suwerennymi mocarstwami.

Przez 25 lat mocarstwa zachodnie nie dokonały niczego by

dopomóc Niemcom w sprawie Berlina czy zjednoczenia obu republik niemieckich. Na Zachodzie nikt nie pragnie zjednoczenia Niemiec i odbudowy ich hegemonicznej pozycji na kontynencie. Było więc do przewidzenia, że Niemcy wcześniej czy później szukać będą zbliżenia z Moskwą.

Mylny byłby pogląd, że Sowiety nie poniosły żadnych kosztów politycznych podpisując traktat z Niemcami. Do czasu inwazji Czechosłowacji imperializm NRF spełniał rolę cementu, który spajał blok wschodni w wspólnym froncie nienawiści do Niemiec. Można zaryzykować twierdzenie, że antyniemieckość była przez lata kwitnącym „politycznym przemysłem” w Europie Wschodniej. Istniały biura badań, agencje prasowe, instytuty naukowe — wszystko poświęcone i podporządkowane „zimnej wojnie” przeciwko Niemcom.

9 lat temu ukazała się nakładem jednej z firm berlińskich moja książka poświęcona problematyce niemieckiej. Tak się zdarzyło, że w kilka miesięcy po ukazaniu się tej książki miałem możliwość przeprowadzenia dłuższej rozmowy z jednym z dyrektorów Agencji Zachodniej. Mój kolega po fachu, choć z drugiej strony barykady — książkę pochwalił, lecz przyznał, że absolutnie nie wierzy w porozumienie rosyjsko-niemieckie. Pod koniec rozmowy zadałem mu pytanie: co Pan robi z Agencją Zachodnią jak dojdzie jednak do porozumienia rosyjsko-niemieckiego? Mój rozmówca roześmiał się i odpowiedział: „Wówczas Agencję Zachodnią zamienimy na Agencję Wschodnią”. Oczywiście to był żart. Jednakże po 12 sierpnia br. „Agencja Wschodnia”, która dniem i nocą śledziłaby posunięcia sowieckie — przydałaby się Polakom w Kraju może bardziej niż instytuty zachodnie.

Czy Niemcy, które nie są wrogami Rosji Sowieckiej — mogą być oficjalnym wrogiem Polski Ludowej? Czy Niemcy, które nie są wrogiem Breżniewa mogą być wrogiem Gomułki?

Jeżeli nie można mobilizować społeczeństwa przeciwko grzecznym Niemcom, które zawarły traktat z Sowietami — przeciwko komu należy mobilizować społeczeństwo?

Historyczna rola partii — w oficjalnej wykładni — polegała na tym, że partia zdobyła dla nas Ziemię Zachodnie i poprzez sojusz z Sowietami chroniła owe ziemie przed zaborczym rewizjonizmem niemieckim. Tego dzieła dokonać mogli tylko komuniści ponieważ „sanacyjna” Polska nie otrzymałaby ani Wrocławia ani sowieckiej gwarancji naszej granicy zachodniej.

Powyższy mechanizm — z punktu widzenia partii — grał błędnie dopóki tak Sowiety jak i Polska były wrogo nastawione do Niemiec.

Lecz obecnie sami Niemcy uznali (artykuł drugi traktatu) granicę na Odrze i Nysie za nienaruszalną. Mało tego — sygnatariusze traktatu „oświadczają, że nie zgłaszają i nie będą w przyszłości zgłaszać przeciwko komukolwiek żądań terytorialnych”.

Osobiście odnoszę się do omawianego traktatu z wielką nieufnością. Nie było przykładu w historii, by porozumienie rosyjsko-

niemieckie przyniosło Polsce jakkolwiek korzyść. Przeciwnie, wróżyło zawsze dla nas wielkie niebezpieczeństwo. Jestem jak najdalej od poddawania w wątpliwość dobrej woli kanclerza Brandta — lecz kanclerz Brandt nie jest wieczny. W mojej ocenie granica na Odrze i Nysie była bezpieczniejsza 9 lat temu niż jest dzisiaj. Dopóki Sowiety były wrogo nastawione do Niemiec — gwarancja rosyjska była *not-negotiable*, jakby powiedziano się po angielsku. Innymi słowy, dopóki Rosja i Niemcy były z sobą na noże — nie istniało niebezpieczeństwo sowiecko-niemieckiego przetargu naszym kosztem.

Spójrzmy na sytuację z niemieckiego punktu widzenia. W niemieckiej interpretacji zasada nienaruszalności polega na tym, że obecne granice nie mogą być zmienione siłą. Lecz jak wszystko na świecie również i granice mogą być zmienione za obopólną zgodą stron zainteresowanych. Nie ma granic wieczystych i w Europie granice zmieniano wielokrotnie na drodze pokojowych negocjacji.

Polacy bez względu na ideologię i ustrój nie zgodzą się na rewizję granic dobrowolnie. Lecz na opornych można zawsze wyrzucić nacisk. Któż może wyrzucić na Polskę skuteczniejszy nacisk niż Rosja Sowiecka? Niemcy zdają sobie oczywiście z tego doskonale sprawę. Droga do Szczecina czy Gdańska wiedzie nie przez Londyn, Paryż czy Waszyngton tylko przez Moskwę i wyłącznie przez Moskwę.

A cóż z historyczną rolą partii? Rząd komunistyczny nie mógłby się oprzeć naciskowi Sowietów, ponieważ jest w całości od Sowietów zależny. Gdyby w danej chwili urzędujący przywódca partyjny rozdarł szaty — Moskwa znalazłaby sobie innego przywódcę, który byłby większym „realistą”.

Nie twierdzą, że tak się stanie — twierdzą natomiast, że potencjalne niebezpieczeństwo istnieje. Gdyby Polska była partnerem Rosji a nie jej satelitą — nawet wówczas porozumienie rosyjsko-niemieckie byłoby dla nas niekorzystne. Lecz w okresie kiedy Polska jest słaba i pozbawiona niepodległości — jakkolwiek układ pomiędzy Bonn a Moskwą stanowi dla nas ponurą groźbę.

Zostanie oczywiście zawarty układ polsko-niemiecki bo takie jest życzenie Moskwy. Lecz ten układ z politycznego punktu widzenia będzie tylko fragmentem sowieckiej polityki w stosunku do Niemiec i niczym więcej. Polska Ludowa nie może negocjować żadnego układu w swoim własnym imieniu, bo własnego imienia nie ma.

Juliusz MIEROSZEWSKI

## Widziane z Brukseli

### Premier na Premierze

*Już dawno nie było tak cicho w wielkiej sali kasyna w Knokke. Głos z ekranu zniknął, a widownia jakby zamarta pod wrażeniem tego, co przez dwie godziny oglądała. Nikt nie opuszczał miejsca, nie słysząc było tak charakterystycznego dla uroczystych premier gwaru powitań i uwag wymienianych przez „bywalców”. Dopiero premier belgijski p. Eyskens dał, wstając, sygnał przejścia do sal recepcyjnych. Humory powoli się poprawiały, wrażenie kosztu ustępowało...*

Trudno o bardziej wstrząsający kontrast niż zestawienie atmosfery głównego kurortu belgijskiego wybrzeża i jego słynnego kasyna, gdzie, z udziałem najwyższych dostojników państwowych, odbywał się właśnie galowy wieczór Stowarzyszenia Prasy Belgijskiej, z nastrojem filmu „l'Aveu”, opartego o książkę pod tym samym tytułem, opisującą więzienne dzieje Artura Londona, jednego z 14 oskarżonych w procesie Slansky'ego w 1952 roku, w Pradze. I choć nie był to oficjalny, „handlowy”, pokaz, to trudno przecież przeoczyć wymowę faktu, iż właśnie ten film dziennikarze belgijscy wybrali na swój galowy wieczór i że oglądał go premier, ministrowie i wielu innych dygnitarzy spędzających, w odróżnieniu od ogromnej większości swych współobywateli, wakacje nad zimnym belgijskim Morzem Północnym.

Film Costy Gawrasa<sup>1</sup>, którego scenariusz napisał znany pisarz Jorge Semprun i w którym główną rolę gra Yves Montand, wchodzi właśnie na ekrany brukselskie. Nie znaczy to jednak, że do gali dziennikarskiej, „l'Aveu” był w Belgii nieznanym. Zbyt tu blisko do Paryża, aby ogromne poruszenie wywołane najpierw książką, a potem filmem Londona, nie objęło opinii belgijskiej. Wstrząsający afisz z Montandem-Londonem w stryczku na szyi i w oślepiających czarnych okularach, znalazł się nawet u handlarzy posterów, między Che Guevarą a Joan Baez...

1. Tytuł książki i filmu, „l'Aveu”, jest niełatwy do oddania w języku polskim. Dotychczas stosuje się słownikowe i pozornie najbardziej naturalne tłumaczenie: „Przyznanie się do winy”. Nikomu kto ma nieco wyobraźni nie trzeba tłumaczyć, że jest to gwałt dokonany na intencji autora. Dynamiczne, ostre, agresywne, jedno krótkie słowo, zostaje tu zamienione na całe rozwlekłe zdanie, które miast przyciągać, odrzuca oczywiście widza czy czytelnika. „Aveu” zakłada przymus, więc bardziej sensowne wydaje mi się: „Jestem winny”, albo po prostu „Winien”, albo w najgorszym razie „Przyznaję się”. Do czasu ustalenia tego przez fachowców (choć na razie ani książka ani film nie mają żadnej szansy legalnego dotarcia do Warszawy) będę się — z braku inwencji własnej — posługiwał tytułem francuskim.

### Są jeszcze sędziowie w Pradze

„... Obywatele sędziowie!... Macie przed sobą niegodnych zdrajców i najmitów... Banda ta przygotowywała się do zadania nam ciosu w plecy... W imieniu narodu... i w imieniu pokoju... domagam się kary śmierci dla wszystkich oskarżonych. Niech wasz wyrok będzie bez żadnej litości i niech jak pięść żelazna spadnie na ich głowy. Niech będzie ogniem, który do korzeni wypali to zgniłe gniazdo zdrady...”.

Tymi słowy pan prokurator generalny Urwalek zamknął oskarżenie na procesie Slansky'ego i jego 13 towarzyszy. Nie mam polskiego tekstu *best-seller'a*, zawierającego stenogram procesu praskiego, posługuję się więc z konieczności tłumaczeniem angielskim i nie wiem czy, z trzeciej ręki, potrafię oddać całą ideową pasję prokuratora. W każdym razie on potrafił przekonać sędziów o zdradzie byłego generalnego sekretarza Czechosłowackiej Partii Komunistycznej i pozostałych uczestników spisku. Wydano mianowicie 11 wyroków śmierci, a trzech pozostałych, w tym właśnie i Londona, sąd skazał „na dożywotnie więzienia i pozbawienie obywatelstwa”.

Działo się to 27 listopada 1952 roku. Artur London, komunista już w wieku lat 14, wielokrotnie aresztowany za działalność polityczną w okresie Republiki Czechosłowackiej (tej burżuazyjnej), uciekinier do Moskwy i protegowany Kominternu, żołnierz w wojnie hiszpańskiej, żołnierz antyhitlerowskiego podziemia we Francji, więzień Mauthausen, a po wojnie wiceminister spraw zagranicznych Republiki Czechosłowackiej (tej socjalistycznej), został tego dnia po raz pierwszy przez władze swego kraju napiętnowany jako zdrajca i pozbawiony obywatelstwa.

Za Londonom zamknęły się bramy więzienia. Wydawało się, że na zawsze. Odcięty od najbliższych, zdradzony przez towarzyszy i wyklęty przez partię, ciężko chory na gruźlicę, był skazany na powolną śmierć... Ale, w grudniu 1954 *Prawda* poinformowała czytelników o procesie i egzekucji zastępcy Berii, Abakumowa w towarzystwie głównych „doradców” sowieckich, którzy montowali procesy Slansky'ego, Rajka i innych. W ślad za tym w Pradze zostają aresztowani (nie na długi) główni oprawcy ze śledztwa przeciw grupie Slansky'ego: Kohoutek i Doubek. Równocześnie, po interwencji Thoreza wprost u Stalina, która w 1952 roku najprawdopodobniej uratowała życie Londonowi, niektórzy działacze Francuskiej Partii Komunistycznej, w tym szwagier Londona, członek Politbiura, Raymond Guyot, ponawiają naciski w Pradze. Następuje wreszcie pojednanie Chruszczow-Tito i ostateczne załamanie całego gmachu prowokacji, niszczącej krwawą nicią więź między Kostowem, Patrascanu, Rajkiem, Slansky'm i Gomułką. ... Zbliża się XX zjazd.

W 1955 roku London zostaje wypuszczony z więzienia i nie długo potem wyjeżdża do Francji, dokąd już przedtem wydostała się cała jego rodzina. Wraca powoli do zdrowia. Zaczyna rekonstruować wydarzenia, wiązać przyczyny i skutki, fakty i ludzi.

Swoje notatki, Artur London, więzień nr 3225, zaczął sporządzać jeszcze w celi. Spisywał je na cieniutkiej bibułce papierosowej, którą potrafił przekazać żonie w czasie jednego z widzeń. Całość napisał we Francji, w okresie kwiecień-sierpień 1968, kiedy wiosna w Pradze zaczęła nadawać socjalizmowi ludzkie oblicze i kiedy ludzie Dubczeka zaczęli namawiać Londona, aby opublikował swe przeżycia.

Z maszynopisem gotowym do druku w wydawnictwie Związku Pisarzy Czechosłowackich, London wyładował w Pradze 20 sierpnia 1968 wieczorem. W kilka godzin po nim, na tym samym lotnisku wyładował pierwszy desant sowieckich paraszutystów, a do Pragi wchodziły czołgi pięciu bratnich republik. Książka Londona ukazała się więc w Paryżu z końcem 1968 roku i zrobiła natychmiast ogromne wrażenie.

### Klamra się zamyka

London rozpoczyna swą opowieść od oddania atmosfery gęstniejącej wokół niego sieci szpiclowskiej, po czym opisuje przebieg prawie dwuletniego śledztwa, 7 dni procesu i prawie trzech lat więzienia. London analizuje głównie mechanizm tortur i mistyfikacji, doprowadzający dygnitarzy ustroju, o który przez dziesiątki lat walczyli, do przyznawania się do najbardziej absurdalnych przestępstw, do brania na siebie odpowiedzialności za gigantyczne spiski, otchłań zdrady i szpiegostwa, do wyparcia się tego wszystkiego ku czemu przez całe życie zmierzali. Na przykładzie jednego śledztwa i jednego procesu, London odtwarza crescendo upodlenia człowieka, rozbitego przez bezsenność, głód i tortury, oddaje poniżenie komunisty, dobitego przez argument naczelny: nie ma racji przeciw partii! „Przyznaj się” — słyszał z wszystkich stron i o każdej porze. „Przyznaj się, sam szef się przyznał!”, „Przyznaj się, przyznanie się to najwyższa forma samokrytyki” — przekonywał Londona Kohoutek, sędzia śledczy, fachowiec z przedwojennych — i wojennych — czasów.

Książka oddaje powolny, nieubłagalny ruch taśmy, na końcu której zawsze znajdowała się wina, i — jak u Kafki — zawsze znajdował się oskarżony. Nikt z ludzi dotkniętych ruchem tej taśmy nie wie kiedy staje się winny, kiedy staje się zdrajcą, szpiegiem, agentem, w jakiej chwili przekracza próg „winy obiektywnej”. Potem pozostaje już tylko formalność: proces, recytowanie zeznań, publiczne „Aveu”.

Francuski nakład szybko się rozszedł, ukazały się tłumaczenia, jednak z oczywistych przyczyn zasięg książki ograniczył się do lewicowych intelektualistów zachodnich. Dla komunistycznych kadr dogmatycznego aparatu, książka była zbędna i błędna, upowszechniając bowiem „dzieje jednego wyizolowanego wypadku z okresu, który nigdy nie powróci”, mogła przynieść jedynie szkodę sprawie socjalizmu, wzbudzając resentymenty i nieufność wobec władzy socjalistycznej. Prawica starała się naturalnie wy-

korzystać książkę we własnych celach, ale referat Chruszczowa był bardziej sensacyjny, a rzeczywistość co jakiś czas dostarczała materiału ciekawszego i aktualniejszego. Dla szerokich mas czytelników książka Londona była za gruba, za szczegółowa, za egzotyczna.

I wtedy przyszło do nich kino. Costa Grawas, Grek z pochodzenia, bezpartyjny lewicowiec, reżyser słynnego filmu „Z”, postanowił nakręcić dzieje Londona. Dla Gawrasa, „l’Aveu” znajduje się jak najbardziej logicznie na linii otwartej przez „Z”, film o faszystowskiej dyktaturze w Grecji. Stalinizm, dla Gawrasa, to też prawica i na argument, że film przynosi szkodę socjalizmowi, reżyser odpowiada zawsze, że szkodę socjalizmowi przyniósł przede wszystkim sam stalinizm. Scenariusz, na podstawie książki Londona, napisał Jorge Semprun, Hiszpan, znakomity pisarz, były komunista, obecnie bezpartyjny lewicowiec. Rolę Londona kreuje Yves Montand. Rolę żony Londona gra Simone Signoret, żona Montanda i jego ideowa partnerka.

Takiego filmu jeszcze nie było. Przed kilku salami równocześnie formowały się przez całe tygodnie długie kolejki. Tę ponurą, pozbawioną jakichkolwiek sensacji czy momentów banalnego napięcia, psychologiczną opowieść o dziejach upadku człowieka i człowieczeństwa o degeneracji ustroju i systemu politycznego, oglądali wszyscy, a przede wszystkim młodzież. Książka dotarła do dziesiątków tysięcy, film dotarł do milionów.

Z końcem sierpnia 1970 r. na paryski adres Artura Londona, skazanego na dożywocie w 1952 r., wypuszczonego z więzienia w 1955 r., rehabilitowanego w 1956 r., odznaczonego najwyższym orderem Republiki Czechosłowackiej w 1968 r., nadszedł list:

„Publikując waszą książkę przynieśliście szkodę ważnym interesom republiki. Pogłębiliście tendencje antysowieckie i antysocjalistyczne. Film, nakręcony na podstawie waszej książki, jeszcze bardziej umocnił te tendencje. Nie zajęliście wobec filmu stanowiska krytycznego... 5 sierpnia, decyzją Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zostaliście pozbawieni obywatelstwa Republiki Czechosłowackiej...” Podpisana: Ambasada Czechosłowacji w Paryżu.

Tego dnia, 18 lat po pierwszym wyroku, Artur London został po raz drugi napiętnowany przez władze Socjalistycznej Republiki Czechosłowackiej, po raz drugi stracił obywatelstwo i po raz drugi stał się bezpaństwowcem.

#### *Powrót do źródeł*

W tej nieprawdopodobnej klamrze fascynuje monstrialność skojarzenia, nieuchronność odwołania się do takich samych metod przez taki sam system. Oczywista jest nieidentyczność sytuacji lat 1952 i 1970 i dlatego nie ma w Czechosłowacji (na razie) egzekucji, sędziów-morderców, nie ma masowych procesów politycznych, deportacji itp. Ale, choć jest to oczywiście rozróżnienie ważne, to istota systemu nie uległa zmianie: agenturalność, po-

garda dla społeczeństwa, władza kasty biurokratów, terror polityki. Ważne i ciekawe więc mogą się okazać rozważania wokół banalnej prawidłowości powrotu w roku 1970 do pomysłów z roku 1952. Tak bowiem jak sens listu ambasady z 1970 roku jest w swej istocie podobny do końcowego fragmentu przemówienia prokuratora Urwalka, tak jak są identyczne przeciwie obie decyzje o pozbawieniu Londona obywatelstwa, tak i inne jeszcze wydarzenia łączą się makabrycznymi parami.

1) Opowiada jeden z oprawców:

„Po straceniu 11 skazanych i spaleniu ich zwłok, prochy zostały zsypane do worka od kartofli i miały być rozrzucone na polu. Jednak, kiedy okazało się, że szosa jest oblodzona, szofer wiozący 3 funkcjonariuszy bezpieczeństwa oraz ów worek, wpadł na pomysł aby tam właśnie prochy rozrzuć. Szofer później żartował, że nigdy jeszcze w swojej ‘Tatrze’ nie przewoził 14 osób naraz...”

18 lat później agencje zachodnie donoszą z Pragi:

„W tajemniczych okolicznościach zniknęła płyta przykrywająca grób Jana Palacha na cmentarzu Olszańskim w Pradze. Liczne osoby, przychodzące tu aby złożyć kwiaty na grobie młodego studenta, który podpalił się i zginął od ognia, aby wyrazić protest przeciw okupacji kraju, nie znalazły ani płyty, ani zdjęcia i napisu na płycie wyłoczonego. Rozeszły się pogłoski o przeniesieniu zwłok Palacha do jego rodzinnej wioski, albo też w inne, nieznanie miejsce...”

W 1952 roku London i towarzysze musieli się dostosować do aktualnej linii partyjnej: musieli się „przynać” do udziału w spisku, stanowiącego część wielkiej mistyfikacji: międzynarodowego sprzyśnięcia opartego o zdradę Tito, Rajka, Gomułki, powiązanych z CIA, Dullesem, Gehlenem, Ben Gurionem itd.

Po inwazji 1968 roku od Dubczeka, Smrkovsky’ego, Kriegla, nie wymagano w istocie też niczego więcej, niż potwierdzenia istnienia rewizjonistycznego i antysocjalistycznego spisku, żądano „przyznania się!”, domagano się ich własnego „Aveu”. Gdyby Dubczek, tak jak np. Czernik, złożył samokrytykę, to prawdopodobnie pozostałby jeszcze jakiś czas ambasadorem w Ankarze, a w każdym razie, zostałby wyrzucony z „nowej klasy” tak jak Czernik, to znaczy bezszmerowo i delikatnie, z wygodną emeryturą i samochodem. Wściekłość Bilaka, Indry, no i Breżniewa i ich chęć zemsty, nie wynikają wcale z faktu, że Dubczek, centrowy i kunktatorski, stał się przez przypadek symbolem „socjalizmu z ludzką twarzą”. Wynikają one natomiast z odmowy Dubczeka poddania się rytuałowi samokrytyki. Z dzieła Dubczeka i z „wiosny” nie ma już ani śladu, ale jego obecna postawa drażni i denerwuje. Wbrew pozorom, strącanie Dubczeka w partyjny niebyt odbywało się stopniowo i etapami nie tylko z obawy przed reakcją mas, bo liczba wojsk okupacyjnych gwarantowała spokój. Ta eskalacja w dół wynikała natomiast z tego, iż Breżniew nie mógł uwierzyć i nie był w stanie zrozumieć powodów, dla których Dubczek i kilku innych, odmiennie niż Svoboda, Husak



czy Czernik, odmawiają złożenia samokrytyki, odmawiają „przyznania się”, kiedy i tak już wszystko było stracone, kiedy partia tego przyznania domagała się i potrzebowała, i kiedy „l'Aveu” mogło złagodzić niełaskę.

Nie wolno sprawy upraszczać: Breżniew i inni, przy całym cynizmie postawy osobistej i działania, naprawdę wierzą w to, że nie ma racji przeciw partii, że dobro partii uświęca środki i że w imię sowieckiej racji stanu można gwałcić sumienia i niszczyć ludzi. Fakt, że „dobro partii” pokrywa się z ich własnym — i ich kasty — interesem, umacnia jedynie tamtą wiarę i tamto przekonanie.

Z Londynem sprawa wyglądała inaczej, jako że mieszka on w Paryżu i do milczenia go zmusić nie można było. Dlatego, zgodnie ze spostrzeżeniem Mieroszewskiego, władza komunistyczna postanowiła, starym, wypróbowanym sposobem, napiętnować Londona jako zdrajcę ojczyzny i socjalizmu. W intencji Pragi powinno to Londona izolować od zastraszonego społeczeństwa w kraju, a równocześnie od komunistycznej lub prawie komunistycznej — czulej na stosunki z krajami socjalistycznymi — lewicy na Zachodzie.

Jak dotąd zasada ta na ogół się sprawdzała. I byłaby zapewne sprawdziła się także w przypadku Londona, gdyby nie głupota praskich policjantów. Zamiast bić tylko w Londona, dotknęli oni mianowicie także potężnej „grupy Marchais”, kierującej obecnie Francuską Partią Komunistyczną. Władze tej partii, której ogromna baza ludzka jest raczej obojętna na sprawę międzynarodowe i ideologiczne (kto jeszcze pamięta np. Garaudy'ego), odniosły się z rezerwą do książki, film otwarcie potępili i zapewne zachowałyby tradycyjną dyskrecję wobec ponownego wyklęcia Londona. Ale ubezpiestwienie Londona, zostało poprzedzone w Pradze komentarzami, zawierającymi m.in. pretensje do niektórych niewymienionych „towarzyszy francuskich” za ich interwencje po wyroku. Instykt kastowy zagrał, a ponieważ wiadomo, że chodzi o Guyota, więc *Humanité* wybuchła. Wszystko to jednak nie trwało długo, interesy solidarności rewolucyjnej przeważały, a groteskowe i żenująco nieudolne przeprosiny *Rudego Prava* wystarczyły aby zamknąć „incydent”. Tak jak w 1952 roku w sprawie Slansky'ego, tak i teraz opinie Komitetów Centralnych obu partii na temat filmu Londona pozostały identyczne i nie uległy zmianie.

2) Sędzia śledczy spokojnie Londonowi tłumaczył:

„Jesteś Żydem i byłeś badany przez Gestapo, zostałeś deportowany do Mauthausen. Dobrze. Jasne. Ale przecież wszyscy Żydzi badani przez Gestapo i deportowani do hitlerowskich obozów zginęli, a ty przeżyłeś. Znowu jasne — byłeś agentem Gestapo”.

18 lat później niejaki p. Lorenc w organie partyjnym z Brna *Rovnost*, powraca do Mauthausen i Londona. Podejmując delikatnie sylogizm p. Kohoutka, p. Lorenc sugeruje, iż w Mauthau-

sen „zginął w niewyjaśnionych okolicznościach pewien Francuz, który pozostawał w kontakcie z Londynem”, że były tam jakieś niejasności z kartkami aprowizacyjnymi, że w obawie przed konsekwencjami, Londyn po wyzwoleniu musiał się ukryć, rzekomo się lecząc „w luksusowym sanatorium” w Genewie i że do dziś jeszcze „Londyn nie wyjaśnił skąd czerpał fundusze na pokrycie kosztów leczenia w tym ośrodków zachodniego szpiegostwa i głównej siedzibie Alana Dullesa”.

Tak snute wątpliwości nie wytrzymały długo próby, a beznaoczny absurd oskarżeń (dlaczego właściwie szpieg London miałby płacić za pobyt w ośrodku szpiegowskim) ośmieszył tylko policjantów z Pragi i ich *public-relation* specjalistów. Odezwał się mianowicie sekretarz generalny Szwajcarskiej Partii Komunistycznej i z nieukrywaniem obrzydzeniem doniósł, że to jego partia udzieliła Londonowi pomocy, że „luksusowe sanatorium” mieściło się w małym mieszkanku na 4 piętrze starej kamienicy bez windy, ogrzewania i bez łazienki.

Trzeba jednak przyznać, iż p. Lorenc prześcignął p. Kohoutka. Redaktor pisma *Rovnost* kieruje mianowicie pod adresem Londona pretensję, że „poprzez swoje fałszywe zeznania przyczynił się do zguby Slansky'ego i towarzyszy”. Jest to operacja wielokrotnie rekordowa, przede wszystkim jednak odpychająco perfidna, obliczona na najgorszego, kołtuńskiego odbiorcę. Polega ona mianowicie na przekształceniu ofiary nie tylko w oskarżonego, ale i we współnika swoich byłych katów.

3) Jedenaście razy, po wymienieniu nazwiska oskarżonego, prokurator Urwalek precyzował: „pochodzenia żydowskiego”. Takie marksistowskie ujęcie klasowego pochodzenia do wrogów socjalizmu było wówczas niezbędne, albowiem jednym z głównych wątków oskarżenia był spisek syjonistyczny. P. Urwalek mówił m.in.:

„... Slansky był prawdziwym przywódcą burżuazyjnych nacjonalistów żydowskich... Obsadzał syjonistami kluczowe stanowiska w życiu politycznym, ekonomicznym i społecznym... Niebezpieczeństwo jakie zagraża światu ze strony międzynarodowych organizacji syjonistycznych wzrosło od czasu powstania amerykańskiego protektoratu, tzw. państwa Izrael... Proces wykazuje, jak wielkim niebezpieczeństwem był dla nas syjonizm. Proces ten ma jednak także znaczenie międzynarodowe, ostrzega bowiem inne partie, aby nie pozwoliły na przeniknięcie do swego aparatu tej groźnej agentury amerykańskiego imperializmu.

18 lat później prasa w Pradze jest znowu pełna przestróg przed groźbą syjonizmu, a najtęższe pióra zajęte są demaskowaniem agentów Izraela. Można by co prawda zapytać, jak to jest możliwe, że tyle lat od rozbicia poprzedniego spisku i przykładnego powieszenia jego przywódców, syjonisci znowu zagrażają socjalistycznej republice, ale wystarczy zajrzeć do źródeł aby zrozumieć w czym rzecz.

Oto bowiem ukazała się w Pradze, przy akompaniamencie zachwytów, niewielka książeczka o nieco wytartym już tytule:

„Syjonizm i antysemityzm”. Jej autor, p. Frantisek Kolar był redaktorem naczelnym czasopisma *Kulturni Noviny*, które musiał nagle opuścić z uwagi na różnice poglądów z kierownictwem „wiosny praskiej”. Odnalazł się jednak w Moskwie, gdzie czekał, pomagając co nieco w przygotowaniach, inwazję swego kraju i gdzie potem pozostał już w charakterze korespondenta radia. Czasu jednak nie stracił, podkładał się w historii i polityce, po czym zajął się otwieraniem oczu swych rodaków. Główne „myśli” p. Kolara dotyczą, jak nas o tym poucza pismo *Prace*: „roli odegranej w Czechosłowacji przez syjonistyczne służby amerykańskiego imperializmu”. P. Kolar zajmuje się przede wszystkim, wyróżnianą ostatnio przez publicystów wielu krajów socjalistycznych, grupą tzw. intelektualistów żydowskiego pochodzenia. W wyniku działań tej grupy „wpływy syjonizmu w literaturze i prasie czeskiej i słowackiej przekroczyły wszystkie proporcje w zestawieniu z liczbą Żydów pozostałych w Czechosłowacji po wyzwoleniu w 1945”. Jakże tu blisko do żmudnych wyliczeń p. Urwalka, no i do polskiego publicysty, który swój triumfalny, pomarcowy felieton, po zakończeniu czystki w jednym z warszawskich dzienników, zakończył radosnym okrzykiem: „No i narzeczcie możemy pisać po polsku”.

Wracając do p. Kolar, jego twórcze zastosowanie tezy Werblana do specyficznych warunków czechosłowackich pozwoliło ujawnić „łatwość z jaką syjonistyczni intelektualiści, podający się za przedstawicieli Czechów i Słowaków, zmieniali narodowość”. Jako przykład p. Kolar wskazuje osobę Edwarda Goldstueckera, „wiosennego” prezesa Związku Literatów Czechosłowackich, który „rozpętał taką orgię kafkizmu, iż nasza stolica stała się w oczach zagranicy Pragą Kafki, a ideologia kafkowska, pełna pesymizmu, tchórzostwa i defetyzmu, stała się symbolem Pragi i synonimem czeskości”.

P. Kolar miesza z błotem ogromną większość osiągnięć artystycznych ostatniego okresu. Nas zainteresuje zapewne drobny szczegół dotyczący filmu „Sklep na głównej ulicy”, w którym grała Ida Kamińska. Ponieważ reżyser był Żydem, podobnie jak aktorka i autor adoptowanej książki, więc p. Kolar najpierw zbeształ samo dzieło, a potem ujawnił, że „Oskar” został temu filmowi przyznany wyłącznie w wyniku międzynarodowego spisku syjonistów. Autentyczne.

W porównaniu z twórczością Walichnowskiego, Sidora, Iwanowa czy Kiczki, książka Kolaru nieco błędnie, a jego teoretyczne odkrycia tracą na znaczeniu. Niemniej nie należy tego wydarzenia wydawniczego lekceważyć i Kolarowi można także wróżyć popularność międzynarodową. Przecież „Uwaga — syjonizm” Iwanowa, jedna z najbardziej obraźliwych dla czytelnika bredni, jaka kiedykolwiek dotarła na półki księgarskie, została przez jeden z dzienników warszawskich ogłoszona za „książkę roku” i zalecona do natychmiastowego ponownego wydania. Sądząc z liczby recenzji (z wyjątkiem jednej, wszystkie pełne zachwytu) jaką osiągnęła w Warszawie obłąkany traktat o „Dywersji w ekono-

mice”, w którym dwóch panów proponuje uznać za szpiegostwo gospodarcze to wszystko, co nie zgadza się z poglądami ekonomicznymi p. Mocзара, także książka Kolaru może liczyć na życzliwe przyjęcie i liczne przedruki.

4) Powyższy spis z literatury jest tylko jednym z przykładów postępującej szybko ideologicznej integracji na Wschodzie.

Oczywiście, nie te czasy, rozstrzeliwać, a potem rozsypywać prochy, nie łatwo. Ale od razu widać, że starzy fachowcy wrócili na swoje miejsca w bezpieczeństwie. Nawet dwóch byłych „doradców” sowieckich złożyło swoje uszanowanie niedawno w *Pradze*. Jak za czasów Londona, wobec „prawicowców” zastosowano cały repertuar środków, którym — obym był złym prorokiem — do końca daleko. Najpierw uruchomiono ogromny aparat w celu zdemaskowania „słabości charakteru i niedojrzałości ideologicznej” Dubczeka. Usiłowano mu nawet przyczepić łapownictwo. Potem wzięto się za czołówkę „wiosny praskiej”. Poszły w ruch najtęższe pióra i nowoczesna technologia. Nagrywano rozmowy w jadalniach i sypialniach, a potem nadawano je przez radio. Obrzucono błotem najlepszych przedstawicieli inteligencji, a w końcu, według nam znanego już wzoru, wyczyszczono ludzi z charakterem z redakcji, urzędów, organizacji. Często dla ułatwienia procedury zwalniano wszystkich pracowników, zamykając po prostu instytucję czy likwidując pismo. Aresztowano dziennikarza Lederera, jako podejrzanego o udział w spisku „taterników” przetrzymujących do Polski egzemplarze paryskiej *Kultury*. Siedzi w areszcie „prawicowiec” — mistrz szachowy Pachman, aresztowano byłego generalnego dyrektora Filmu czechosłowackiego z okresu jego największych sukcesów, Polednaka, atakowani są pisarz Prohazka, słynny uczyony Czerny, Vaculik (ten od manifestu 2.000 słów) i inni.

To wszystko ma znowu służyć przepisaniu historii, udowodnieniu prostych i potrzebnych rzeczy. Cytowany już przez nas dziennik *Prace* informuje mianowicie, że w wydarzeniach roku 1968 imperializm tak rozdzielił role: Amerykanie i Anglicy byli odpowiedzialni za propagandę wokół „wiosny praskiej” i za przetrzymywanie do Pragi dywersyjnej literatury, Niemcy z zachodu odpowiedzialni byli za działania dywersyjne i szpiegostwo, a misja Izraelczyków, znaczący się syjonistów, polegała na atakowaniu polityki partii, powodowaniu wewnętrznego rozkładu oraz nakłanianiu obywateli do emigracji. Gdyby to nie było takie monotonne i smutne, to byłoby nawet wesołe...

#### *W trybach policji*

No i na koniec odniesienie najważniejsze i najbardziej wymowne. W okresie „kultu jednostki”, w imię wielkości idei, w imię całości i bezpieczeństwa ustroju socjalistycznego, posłano na stos tysiące uczciwych działaczy rewolucyjnych. Władza spoczywała w ręku wszechwładnych sowieckich „doradców”, współ-

pracujących z nimi kierowniczych kadr rządzących partii komunistycznych i ich własnego aparatu policyjnego.

Ten mechanizm bezbłędnie działał. Ideologię importowano z Moskwy, policja na miejscu dostarczała wszystkiego co było potrzebne, budowała spiski, pisała historię. Wicher prowokacji przenosił masy ludzkie, decydował o charakterze partii, państwa i treści ideologii, o stosunku władza-obywatel, rewolucja-jednostka. Policja obecna była wszędzie, tak powszechnie, że się już jej nie widziało. London, który to wszystko znał, dał swej książce tytuł „l'Aveu”, ale w podtytule wyjaśniająco dodał: „W trybach procesu praskiego”.

O te tryby właśnie znowu chodzi.

Dziennikarz Jiri Hochman, jeden z najbardziej popularnych publicystów *Reportera*, odgrywającego w czasie „wiosny” rolę przedpaździernikowego *Po Prostu*, został wezwany do KC partii, na przesłuchanie. Odpowiedział listem otwartym, szeroko kolportowanym i komentowanym w Pradze. Odmówił mianowicie stawienia się w KC, wyrażając

„głęboką pogardę dla tych, którzy wykorzystując tragedię narodową w haniebnym sposób ofiarowali okupantowi pozory niezależnej autoadministracji...”.

I ponieważ chodzi tu

„o kastę pasożytów, tchórzy, biurokratów, imbecyli, sprzedawczyków, o elementy antynarodowe, antysocjalistyczne i kontrrewolucyjne...”

to swą kartę partyjną Hochman odda dopiero

„legalnym organom KC, kiedy wasz pawilon rakowatych zostanie zniszczony, co może nastąpić wcześniej niż myślicie...”.

Hochman, były dziennikarz, obecnie pomocnik ślusarski, to człowiek odważny, i jak widać, dysponujący bogatym słownictwem. Z jego litanii wynika, że jest rozgoryczony i zdenerwowany, ale że zdecydowanie odmawia „Aveu”. I nie daje się włączyć w „tryby nowego procesu praskiego”.

Niezależnie od Londona, Hochmana i innych, jeszcze jeden partyjny intelektualista zajmował się ostatnio „trybami maszyny policyjnej”. To Władysław Bieńkowski. Czytelnikom *Kultury* jego „Hamulców socjalizmu” nie trzeba streszczać. Przypomnijmy tylko, że Bieńkowski kreśli wizję „dwupiętrowego życia, kiedy pod powierzchnią instytucji politycznych i społecznych tworzy się sieć kanałów aparatu bezpieczeństwa, co... oznacza przejście do dyktatury sprawowanej metodami policyjnymi... Bieńkowski proponuje dwie daty, które na zasadzie analogii celów prowokacji, stanowiły moment przejścia do takiej właśnie dyktatury policji: lata „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego” 1948-52 i wydarzenia marcowe 1968. Dodajmy, iż gdyby Bieńkowski pisał swą rozprawę w rok później, to zapewne uzupełniłby ją o scenariusz czechosłowacki.

Bieńkowski, jak widać, nie jest takim optymistą jak Hochman. Ani jak Andrzej Amalrik, ich sowiecki kolega, który się zastanawia „Czy ZSSR przetrwa do roku 1984”. Bieńkowski zna historię. Bieńkowski pamięta, że aczkolwiek jedni odpadli po procesach moskiewskich, inni — po aferze z Tito, inni przejrżeli po spisku lekarzy, następni — po wykrwawieniu Węgier i zamordowaniu Nagy'a, że chociaż jedni wytrzymali w wierze aż do marca w Warszawie i do wygnania Żydów z Polski, a inni wycofali się dopiero po inwazji Czechosłowacji, to przecież system był zawsze ten sam, system się nie zmienił, partia zawsze miała rację.

Orwell, który już dawno został zdystansowany przez rzeczywistość, napiętnowany był jako zdrajca i kontrrewolucjonista. Koestler, po napisaniu „Zera i nieskończoności”, książki dziś łagodnej i niewinnej, mianowany został ideologiem antykomunizmu. Teraz z kolei London i „l'Aveu” są na warsztacie.

Występując przeciwko książce i filmowi oraz przeciwko Londonowi, komuniści popełnili ogromny błąd. Jeżeli bowiem „l'Aveu” jest antykomunistyczną książką, to komunistyczny był proces, egzekucja i prochy na szosie. Jeżeli antykomunistyczny jest London, to komunistyczny jest Urwalek, Kohoutek, Beria i Lichaczew.

BRUKSELCZYK

Pisane 9 września 1970 r.

## Kronika angielska

DISKUSJA Z CZYTELNIKAMI

I

Od Pana Rozgi (Kanada) i od kilku innych Czytelników z Francji i ze Stanów Zjednoczonych otrzymaliśmy — na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy — listy z naganą, że pomijamy milczeniem chłopów. Piszemy o robotnikach, inteligencji, młodzieży — tylko nie o chłopach.

Krytyka jest uzasadniona. Wydaliśmy w „Bibliotece *Kultury*” pełne, nieocenzurowane pamiętniki Witosa. Lecz wyjąwszy tę wspaniałą pozycję wydawniczą, oraz książki Stefana Korbońskiego — bieżącej problematyce wsi nie poświęcaliśmy tyle uwagi, ile by należało. Na emigracji jest bardzo mało znawców tego przedmiotu i większość z nich zna wieś polską sprzed 30-tu laty.

Zarzut, że w moim artykule pt. „Futurologia Polska” pominąłem chło-

pów jest zgodny z prawdą. Sądzę jednak, że za 50 lat chłopów nie będzie. Chłopi są takim samym przeżytkiem jak szlachta i ziemianie.

Specjaliści przedmiotu oceniają, że w krajach wspólnego rynku należałoby zlikwidować 5 milionów farmerów w celu uzdrowienia przemysłu rolnego. Tak — przemysłu — ponieważ rolnictwo dziś musi być przemysłem jeżeli ma przynosić dochód. Fabryki świń, fabryki drobiu, fabryki cieląt itd., które Niemcy doprowadzili do perfekcji — wyglądają bardzo nicromantycznie w porównaniu z polskim zaciszem wiejskim. Jednak owe fabryki eksportują i przynoszą ogromne dochody.

Chłopi nie stanowią już dziś w Polsce większości. Robotnicy przemysłowi i pracownicy techniczni związani z produkcją przemysłową stanowią rosnącą większość.

Należy przypuszczać, że w przyszłej demokratycznej Polsce przemysł rolny obejmować będzie różnego typu spółdzielnie, gospodarstwa państwowe i gospodarstwa indywidualne. Płace pracowników rolnych będą musiały być zbliżone do płac robotników przemysłowych, tak jak w Anglii i w Niemczech. Pracownicy rolni mają takie same prawo do strajku w obronie swoich płac i praw jak robotnicy przemysłowi.

W Polsce przed wojną właściciele ziemscy (ziemianie) opłacali bardzo nędznie służbę folwarczną — przeważnie nie ze złej woli tylko z braku pieniędzy. Wysoko uprzemysłowione gospodarstwa będą w przyszłości zdolne produkować dochód umożliwiający płacenie swoim pracownikom stawek zbliżonych do płac robotników przemysłowych.

W tak przebudowanym przemyśle rolnym, chłop małorolny nie będzie miał szansy wytrzymania konkurencji z kooperatywami i gospodarstwami państwowymi. Nie będzie go stać na płacenie wysokich stawek robotnikom najemnym a jego własni synowie dla owych wysokich stawek pójdą do przemysłu, względnie do gospodarstw zdolnych opłacać swoich robotników tak jak należy.

W kraju wysoko rozwiniętym w sensie przemysłowym i technologicznym nie ma po prostu miejsca na wieś i chłopą w polskim, tradycyjnym, tych słów znaczeniu. Nie ma również miejsca na ziemian i szlachtę.

Komuniści nie rozwiązali problemu rolnego, ponieważ tylko w ustroju demokratycznym może powstać i rozwijać się prawdziwy ruch spółdzielczy. Z kolei tylko średnio- i wielkoobszarowe spółdzielnie, uprzemysłowione, specjalizujące się w różnych typach produkcji — byłyby zdolne zatrzymać chłopą na wsi dając mu te same zarobki i społeczne przywileje z jakich korzystał będą w przyszłej Polsce robotnicy przemysłowi.

## II

Jeden z naszych Czytelników, który nie życzy sobie, by ujawniono jego nazwisko pisze, że Gomułka w porównaniu z innymi przywódcami komunistycznymi okazał się realistą i przezornym politykiem. Zaoszczędził Polsce powstania typu węgierskiego i zaoszczędził nam inwazji typu czechosłowackiego. Nagy i Dubczek w porównaniu z Gomułką to marzyciele i romantycy a nie politycy.

Czy istotnie tak jest?

Porównajmy Gomułkę z Kadarem. Obaj w pewnym sensie są zdrajcami

— obaj podporządkowali się Moskwie, obaj zaoszczędzili swoim krajom inwazji typu czechosłowackiego. Gomułka popierał początkowo Nagy'ego i jego politykę, lecz natychmiast się od niego odciął gdy Nagy stracił poparcie Moskwy. Gomułka zdradził polski Październik. Zamiast pokierować ruchem reformy i odnowy — zdławił ów ruch brutalnie.

Pierwszego listopada 1956 roku Mikołaj i Susłow odbyli w Budapeszcie poufną rozmowę z Kadarem. W czasie tej rozmowy zapadła decyzja powołania nowego rządu węgierskiego, który oficjalnie zażąda od Sowietów pomocy wojskowej. Kadar zdradził Nagy'ego i powstanie węgierskie.

To wszystko działo się 14 lat temu. Kariery obu cytowanych przywódców są podobne lecz osiągnięcia są bardzo różne. Wypada obiektywnie stwierdzić, że Kadar w przeciwieństwie do Gomułki — starał się przekonać społeczeństwo, że działał w interesie narodu węgierskiego. Kadar w przeciwieństwie do Gomułki — usiłuje zjednać sobie poparcie najszerzych kół społeczeństwa. W rezultacie komunizm węgierski jest jednym z najbardziej cywilizowanych komunizmów w bloku wschodnim — natomiast „gomułkizm” reprezentuje jedną z najbardziej prostackich form komunizmu w Europie.

W dniu 23 listopada br. odbędzie się X Kongres Komunistycznej Partii Węgierskiej. Już w lipcu br. ogłoszono obszerny dokument, który zawiera wytyczne uchwalone przez KC.

Oczywiście to nie jest „Program Akcji” Dubczeka i KC, któremu on przywodził. Lecz wytyczne węgierskiego KC stanowią wielki krok naprzód — a w porównaniu z „gomułkizmem” w wielu wypadkach są niemal „rewolucyjne”. Nacisk położony jest na partycypację i dyskusję. Węgierskiemu KC zależy na zdobyciu zaufania i współpracy bezpartyjnych. Według ogłoszonych wskazań bezpartyjni winni być zapraszani na posiedzenia organizacji partyjnych i brać udział w dyskusjach na równi z partyjnymi — oczywiście bez prawa do głosowania.

W przemyśle, w administracji itp. bezpartyjni winni być zatrudniani na równie wysokich i odpowiedzialnych stanowiskach jak członkowie partii. Prerogatywy rad robotniczych w zakładach przemysłowych zostaną poszerzone. W dziedzinie sztuki i literatury partia zaleca lecz nieczego nie dyktuje. Wytyczne KC wychodzą z założenia, że marksizm nie jest systemem zamkniętym ani doktryną ostatecznie opracowaną. W konsekwencji wszelki dogmatyzm winien być potępiony.

Kadar stara się zjednać sobie sympatię i poparcie społeczeństwa reformami gospodarczymi, partycypacją szerokiego mas bezpartyjnych — pewnymi łuzami w polityce kulturalnej. Jednym słowem Kadar robi to wszystko czego Gomułka nie robi — ponieważ Gomułce zupełnie nie zależy na zjednaniu sobie poparcia społeczeństwa.

Dla emigranta w Londynie czy w Nowym Jorku Kadar jest takim samym komunistą jak Gomułka. Innymi słowy, wart pałac Paca i Pac pałaca. Lecz dla ludzi mieszkających w Polsce i na Węgrzech różnice w tych krajach są widoczne i znaczne.

Korespondenci zagraniczni omawiając wytyczne uchwalone przez węgierski KC używali określenia „komunizm oświecony”. Nie poszedłbym tak daleko. Lecz w Budapeszcie — w przeciwieństwie do Warszawy nie rządzą ciemniaki i to jest bardzo wiele. Ciemniaki z definicji nie mogą być realistami — ponieważ realista może być tylko człowiek światły. Czy Gomułka jest człowiekiem światłym?

## III

Na zakończenie zabawny epizod. Mojej „Futurologii Polskiej” p. Wojciech Wasiutyński poświęcił całostronicowy artykuł w londyńskim *Tygodniu Polskim*. W tym rozwlekłym elaboracie p. Wasiutyński poucza mnie i gromi — starając się wytłumaczyć mi co to jest demokracja.

Na trzy dni przed opublikowaniem powyższego artykułu p. Wasiutyński ogłosił w tymże *Dzienniku Polskim* w Londynie artykuł pt. „O Salazarze”. Jest to elegia prozą na cześć zmarłego niedawno dyktatora Portugalii.

Trzeba być nie tylko endekiem — lecz na dobitkę endekiem bez szczypty humoru — by jednego dnia wychwalać faszystowską dyktaturę, a w trzy dni później pouczać ludzi o demokracji. Nie wątpię, że dyktatura typu Salazara jest niepomernie bliższa sercu p. Wasiutyńskiego niż socjalizm. Lecz to nie są kwalifikacje na nauczyciela demokracji.

LONDYŃCZYK

Sąsiedzi**Polacy na Litwie**

O losach Polaków w Republice Litewskiej mało mamy danych, więc można podać chociaż garść informacji, raczej fragmentarycznych. Według spisu ludności z r. 1959 Polacy stanowili 8,5 %; 162 tys. mieszkało na wsi i 69 tys. w miastach. Litewski autor Z. V. Rekasius oblicza, że w roku 1968 odsetek Polaków spadł do 8,2 %. W szkołach z językiem polskim uczyło się w r. 1959 — 6 % dzieci, a w r. 1968 już tylko 4 %. Dwa są po temu powody: część dzieci polskich uczęszcza do szkół rosyjskich, a poza tym „w Wileńszczyźnie, zwłaszcza na wsi, znaczna większość młodzieży występuje ze starszych klas i nie kończy średnich szkół. Dotyczy to głównie dzieci polskich i białoruskich”.

Inna statystyka podaje podział według narodowości inteligentów, a dokładniej specjalistów z wyższym lub średnim wykształceniem w roku 1966: Litwini — 79,7 %, Rosjanie 11,9 %, Żydzi — 2,5, Białorusini — 2,0, Ukraińcy — 1,5, Łotysze i Estończycy — 0,2 %, i wszyscy inni — 2,7 %. Do tych paru procentów wszystkich innych wliczona jest cała polska inteligencja.

Dużo się zmieniło od czasów gdy w roku 1917 gwałkowierch Krylenko w Mohylowie, wołał: „*Wy etich polskich panow osteregajtes*”. Pewne światło na rozmieszczenie Polaków rzuca statystyka rozpowszechnienia polskiego dziennika wileńskiego *Czerwony Sztandar*. W r. 1965 miał on nakład 20 tysięcy, co stanowiło 6,8 % nakładów dzienników w republice (76 % w języku litewskim i 17 % rosyjskim). Ale część nakładu idzie do Polski, więc faktycznie odsetek polskich czytelników jest mniejszy. W okręgu Eiszyzki polscy czytelnicy stanowią 44 %, Troki — 25 %, a w wileńskim (wiejskim) — 50 %. W okręgu święciańskim jest 41 % czytelników prasy rosyjskiej a o polskich nie ma wzmianki. Na zjeździe około 700 delegatów kołchozów, Polaków było 26, mniej niż 4 %. Jaka jest rola Polaków w cichej walce litewsko-rosyjskiej o oblicze narodowe i językowe kraju? Wersja litewska: Polacy są mało znaczącą i topniejącą grupą, której za kilkadziesiąt lat nie będzie. To nie jest problem. Wersja z polskich źródeł,

**TOM 192 — BIBLIOTEKI « KULTURY »**  
**ZESZYTY HISTORYCZNE**

**ZESZYT OSIEMNASTY**

Zawiera m.in. S. Popkiewicza: *Łączność radiowa z krajem po Powstaniu Warszawskim*; St. Zochowskiego *O Sztapie Głównym i Wyższej Szkole Wojennej*; J. Garlińskiego: *Oświęcim Walczący* oraz działy:

WSPOMNIENA; NA 25-LECIE P.R.L.; W ZSSR O POWSTANIU WARSZAWSKIM; POLEMIKI, RECENZJE, LISTY.

Str. 240.

Cena F. 18,50 (30 sh.; dol. 4,00)

może na podstawie indywidualnych przeżyć: Litewscy narodowcy za Smetony byli aniołkami w porównaniu z polakożerstwem litewskich komunistów, gdyż za Smetony były bądź co bądź 3 polskie gimnazja, organizacje itd. na dawnej Litwie „Kowieńskiej”, a obecnie nic z tego nie zostało.

Jeszcze przed 10 laty na ulicach przedmieść kowieńskich słyszano się dużo języka polskiego. Jak jest dzisiaj? Encyklopedia (wileńska) podaje wśród wybitnych naukowców kilku wychowanków owych polskich gimnazjów, nie odnotowując, raczej byle, narodowości. Wśród turystów zagranicznych, odwiedzających Litwę w r. 1969 najliczniejsi byli goście z Polski. Dla turystów zagranicznych okres pobytu przedłużono do 10 dni, i prócz Wilna pozwala się już łatwiej odwiedzać Kowno. Prowincja jest nadal niedostępna. Litwini z Ameryki nie mogą się dostać do Związku Sowieckiego już od lat jeżdżą do Polski, by w okolicach Augustowa na pograniczu odetchnąć litewskim powietrzem. Drobną mniejszość litewska w Polsce ma bardzo rozwinięte życie kulturalne, czego nie można powiedzieć o stu kilkudziesięciu tysiącach Litwinów w Rosji. Ostatnio wychowanka uniwersytetu warszawskiego, a bratanica sławnego poety litewskiego, Tumaitė, uzyskała lektorat literatur słowiańskich w USA.

### *Litewska emigracja*

Pewien litewski działacz tak ujął bilans ćwierćwiecza działalności powojennej emigracji: „W dziedzinie akcji politycznej przypominaliśmy światu o Litwie, jej inkorporacja nie została dotąd uznana, zrobiliśmy, co było można w granicach naszych skromnych możliwości. Wychowaliśmy na emigracji spory zastęp młodej inteligencji i stajemy wobec trudnego zadania, aby ta inteligencja działała na rzecz Litwy, a nie wzbogaciła swą twórczością kultury innych narodów, jak to już nie raz bywało w historii Litwy.

Aktywność litewskiej emigracji przejawiała się m.in. w urządzaniu antysowieckich demonstracji w Waszyngtonie, w Nowym Jorku przed ONZ, w Kanadzie, Australii, Anglii itd. Mają oni jeszcze placówki dyplomatyczne w paru krajach na pół-uznawane, mają swe władze naczelne, społeczne, polityczne i symbole ciężkości państwowej — z sobą współpracujące.

Przewodniczący Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy p. V. Valiunas rozjeżdża po świecie, co parę lat zagląda nawet do Australii, powiada, że 75 % budżetu idzie na propagandę, a na rozjazdy i reprezentację w ciągu roku wydano z budżetu 70 dolarów. Przywódca litewskiej emigracji nim zajął się polityką, najpierw dorobił się ciężkiej fortuny i teraz wydatki reprezentacyjne pokrywa z własnej kieszeni. Biuletyn informacyjno-propagandowy wydawany jest w 7 językach m.in. w arabskim. (Opowiadanie Egipcjanom i Syryjczykom o tym jak droga od baz wojskowych prowadzi do rządów „przyjaznych”, a później inkorpo-

racji, jest szczytem nietaktu względem pokój miłującego rządu sowieckiego). Poza tym od pierwszego lipca br. z dalekich Filipin nadawane są audycje w języku litewskim dla zesłańców na Syberii. Te i temu podobne posunięcia spowodowały, że Związek Sowiecki stara się od paru lat „zmiękczyć” litewską emigrację. Zaczęło się od kanadyjskiej Expo, gdzie zjawiły się litewskie zespoły. Potem litewscy śpiewacy zaczęli jeździć na występy do USA, zaczęły się próby wzajemnych odwiedzin sportowców, pozwolono Litwinom, nieraz z antysowiecką przeszłością, odwiedzać stary kraj, były rozmowy o stypendiach na studia lituanistyki w Wilnie itd.

Konserwatywna część emigracji litewskiej i wyłonione przez nią władze naczelne, stoją wciąż na stanowisku nie podtrzymywania stosunków z instytucjami komunistycznymi i nieufności względem gości z kraju. Na tym tle powstał ferment wśród emigracji i dochodzi do rozłamu w poszczególnych organizacjach i instytucjach. A organizacji tych jest wielka mnogość. Fundusz Litewski w USA posiada 700 tys. dolarów. Ostatnio otrzymał w spadku ponoć jeszcze milion. W Niemczech istnieje litewskie gimnazjum. Organizacje lekarskie i inżynierów mają oddziały na kilku kontynentach. Jako grupujące ludzi dobrze sytuowanych łożą poważne sumy na cele społeczne i kulturalne. Wydawnictwa historyczno-propagandowe w obcych językach są coraz liczniejsze.

Gdy w Australii rząd zajął chwiejne stanowisko odnośnie rozmów z Rosją w sprawie jakiegoś paktu bezpieczeństwa, obejmującego południowo-wschodnią Azję — tutejsza Rada Bałtycka dała wielkie płatne ogłoszenie w poczytnym dzienniku, ostrzegające do czego takie paktury prowadzą. Co prawda nie dzięki temu ostrzeżeniu australijski minister został zdymisjonowany, za swoje niefortunne: „I owszem”, ale...

Petycja 40 księży na Litwie do rządu sowieckiego została szeregowo rozkolportowana. Nie zawierała ona cytat z biblii, ale z konstytucji sowieckiej.

### *Zapomniane braterstwo broni*

W piśmie *Lietuvos Kelio* zwolennik poglądu, że komunista nie może być uważany za rodaka podaje następujący przykład historyczny. W końcu roku 1918 nad Wołgą i na Uralu powstał polski pułk piechoty, a przy niej siódma kompania, litewska. Później w ramach polskiej dywizji syberyjskiej istniał już samodzielny batalion litewski, pod dowództwem Linkusa-Linkewiczusa, liczący około 600 żołnierzy i 20 oficerów. Współpracę ułatwił fakt, że polskim dowódcą był pułkownik Czuma, sam Żmudzina, spod Szwecznicy. Ale po stronie bolszewickiej istniał również oddział litewskich krasnoarmiejców (w tym grupa litewskich komunistów przybyłych z Anglii). Podczas chwilowych zwycięstw Kołczaka wzięto litewskich komunistów do niewoli i część ich, jako rodaków, wyratował ów batalion, włączając w swoje szeregi.

Później, w czasie osłaniania odwrotu Czechów, osamotniony batalion litewski doczekał się ataku czerwonej armii w zмовie z litewskimi komunistami, którzy wówczas zrobili powstanie. Skończyło się to masakrą, egzekucją 15 oficerów itd.

Dla nas te tragiczne dzieje są ciekawe dlatego, że był to jedy-ny w XX wieku wypadek polsko-litewskiego braterstwa broni.

### *Emigrant o Polakach*

Sydnejskie *Musu Pastoge* zamieszcza obszerną wypowiedź czytelnika, dosyć ciekawą gdy chcemy się dowiedzieć jak nas widzą. Autor poddaje w wątpliwość twierdzenie: „Dzisiaj Polacy żyjący na uchodźctwie dążą do obalenia sowieckiego jarzma podobnie jak my...”. „Tu Polacy myślą inaczej niż inne narody ujarzmione, gdyż wiedzą, że Związek Sowiecki przyznaje Polakom linię Odry-Nysy. Wnosząc z licznych rozmów z Polakami, sądzą oni, że komunizm musi upaść i Polska powstanie w obecnych granicach. Realści wiedzą, że oni tej linii nie utrzymają, gdyż Zachód jej nie uznaje. Wiedzą również, że nie odzyskają posiadanych dawniej ziem ukraińskich, gdyż komuniści pierwszy raz w historii złączyli w osobne państwo 42 miliony mieszkańców, i dla tego Polacy sądzą, że w wypadku powstania zawieruchy w Europie Wschodniej, będą mogli powiększyć swe terytorium kosztem ziem małych narodów, jak Białoruś, Czechosłowacja, Litwa i może Rumunia. W wypadku zawieruchy w Rosji Sowieckiej, Polacy mieliby swą armię, a Litwini, by jej nie mieli, a znając polskie apetyty, Polacy próbowaliby zająć Litwę”.

Jest trochę niejasne w jaki sposób Polska nie uszczuplając terytorium ukraińskiej republiki mogłaby zagarnąć część Rumunii odległej o kilkaset kilometrów. Więc osąd całej tej koncepcji pozostawmy czytelnikom. Autor przypomina twierdzenie litewskich historyków, że Polacy w ciągu 400 lat krzywdzili i oszukiwali Litwinów, zapytuje jakie są dane do przypuszczeń, że Polacy raptem się zmienili, zaś celowość rozmów z Polakami w sprawie przynależności Wilna przyrównuje do pytania przechodnia, czy pieniądze w mojej kieszeni do mnie należą. Wreszcie autor poddaje w wątpliwość celowość współpracy z Polakami w akcji antysowieckiej, gdyż Polacy aczkolwiek w Australii są 8-krotnie liczniejsi niż Litwini, to jednak w Komitecie europejskich narodów ujarzmionych przejawiają o wiele mniejszą aktywność.

### *Z wydawnictw*

Nadesłana broszurka pióra V. Rimkusa pt. „Powstanie litewskie w Wilnie w 1941 roku”, omawia drugi dzień wojny niemiecko-sowieckiej, gdy wojska niemieckie zbliżyły się do miasta, a zdeorganizowane sowieckie władze i wojsko uciekały w panice. Litwi-

ni wówczas, przeważnie studenci i urzędnicy, którzy nie dawno tu się osiedlili, urządzili powstanie i opanowali miasto. Wspomnienia osobiste bez cyfr i szczegółów nie dają obrazu całości wypadków. Z polskiego punktu widzenia ciekawe, że jednym z powodów zorganizowania powstania była obawa, aby tego nie uczynili Polacy.

W Nowym Jorku ukazało się obszerne dzieło zbiorowe w języku angielskim pt. „Lithuania 700 years”. Ze względu na cenę 12 dolarów, jedynie na mocy recenzji, można uprzedzić przygodnego polskiego czytelnika, że tam Białystok — to Balstoge, Brześć — Bresta, ksiązę Adam nosił nazwisko Cartoriskis, „Starą Baśń” napisał Ignas Krasevskis, a przywódcami powstania styczniowego na Litwie byli — Kalinauskas i Serakauskas.

Projekt wydawania w Ameryce skróconej Encyklopedii litewskiej w języku angielskim jest realizowany i już ukazał się jej pierwszy tom. Artykuł w *Kulturze* (Nr 1-268/2-269 — 1970) o stosunkach polsko-litewskich został podany w streszczeniu w prasie litewsko-kanadyjskiej, a skrytykowany w litewsko-australijskiej, bowiem przywłaszczanie sobie czyjejs stolicy nie jest zdaniem pisma, tylko małą iskierką, powodującą, że płomień dawnej niezgody wybucha.

Na emigracji sporo się ukazuje poezji, wspominków, dzieł naukowych i powieści, lecz wobec ogólnego zainteresowania, jak jest naprawdę w Sowietach, i co tam ludzie myślą, omówmy parę tamtejszych utworów literackich.

Litewska prasa emigracyjna doniosła, że wydana w Wilnie nowela „Trzy dni i trzy noce”, pióra J. Mikelinska została wycofana z bibliotek i księgarni na interwencję Moskwy. Ukazała się ona w grudniowym numerze (1968) *Pergale*, organie związku pisarzy LSTR. Numer ten jednak bez trudności dociera na zachód, może jako pokazowo-liberalny, bo np. zawiera informacyjny artykuł o życiu kulturalnym litewskich uchodźców w Ameryce. Skądinąd dowiadujemy się, że na Litwie ukazała się antologia pt. „Krajobrazy litewskie w literaturze” z uwzględnieniem pisarzy silnie antykomunistycznych, przebywających w Ameryce. (Czytelnik w Polsce jeszcze nie miał możliwości przeczytania opisów krajobrazu pióra... Józefa Mackiewiczza).

Wracając do wyżej wymienionej noweli, warta jest ona omówienia nie z racji walorów artystycznych, ale dlatego że ukazała się tam, a nie tu. Pisana nowoczesną metodą „strumienia myśli” (*stream of consciousness*), pojętego w formie pamiętnika opisuje dzieje inspektora szkolnego przeżywającego chwile załamania i życiowego rachunku sumienia. Krytycy powiadają, że myśl została zaczerpnięta ze szwedzkiego filmu „Wild Strawberries”, wyświetlanego również na Litwie. Inspektor spotyka swego przyjaciela młodości a obecnie proboszcza. Ucałowali się serdecznie, a chociaż to było w nocy na ciemnej ulicy — jednak ktoś podpatrzył i spotkanie to rujnuje karierę. Książd obłożony dziełami nie tylko teologicznymi, ale i marksistowskimi przedstawiony jest jako typ raczej dodatni. Atmosfera w szkole jest pełna lęku przed

donosami. Pamiętnik pokazany po latach przygodnie spotkanemu dawnemu koledze, powoduje, że ten ostatni chce wdrożyć dochodzenie, bowiem w międzyczasie stał się policjantem. Ostrożność potrzebna jest w każdym słowie. Dotyczy to *dramatis personae* i autora, np. dyrektor szkoły (jakieś kontakty z partyzantami przed laty) mówi: „Ja tam wiele nie rozumiem, ale pracuję. Pracuję towarzyszu inspektorze...”

— Na przykład czego nie rozumiecie? (pyta inspektor).

— Wielu rzeczy towarzyszu delegacie, wielu...

— Konkretnie?

— Konkretnie? A ot czciliśmy, uważaliśmy za nieomylnego, a teraz...

— To przekracza zakres naszej rozmowy, to nie nasza kompetencja.

— Więc gdzie jest ta nasza kompetencja?

Ja milczałem”.

W takiej atmosferze rodzą się nowe prawdy życiowe, jak np. sentencja: „Podstawowym źródłem błędów, jest strach przed ich popełnieniem”. Nie brak w noweli huraganowych wicherów, jak u Choromańskiego, czy rozgryzienia nieoczyszczonego kurzego żółdka w rosoli podanym przez dyrektorową, co przesadnie komplikuje stosunki, prawie jak zdechły wróbel u Gombrowicza.

### Spotkanie młodzieży

Koło Akademików Polskich w Sydney urządziło spotkanie z akademikami litewskimi w Domu Polskim. Najpierw Litwinów było tuzin a Polaków kopa, ale potem część Polaków (tych starych intruzów) poszła do domu, a przybyło więcej litewskich studentów, więc proporcja mniej więcej się wyrównała. P.A. Wallis wygłosiła krótką pogadankę o „Litewskim odrodzeniu kulturalnym” w końcu ubiegłego wieku. Temat nie kontrowersyjny nie dał okazji do dyskusji. Młodzież ma swoje metody postępowania, nowe, czy stare, ale inne. Po odczycie wszyscy z obszernej sali odczytowej przeszli do małej, tzw. kawiarenki, gdzie było bardzo ciasno, prawie ciemno, była muzyka z płyt, lampka wina, pączki i humor. Jako że panował język angielski, więc różnice narodowościowe się zatarły, a ciasnota sprzyjała zbliżeniu. Bawiono się prawie do godziny pierwszej.

Starzy zrobiliby to inaczej, i może by się nawet pokłócili.

E. ŻAGIELL

## W sowieckiej prasie

„Jaki był u was urodzaj?” — było to pierwsze pytanie, jakie zadał Kosygin Willy Brandtowi wsiadając do samochodu po powitaniu Kanclerza Niemiec Zachodnich na lotnisku moskiewskim. Jak informują niemieccy dziennikarze, Kanclerz był niezmiernie zaskoczony tym pytaniem. Dla Kosygina jednak problem urodzaju jest, jak można przypuszczać, niemniej ważny od porozumienia sowiecko-niemieckiego.

Co roku urodzaj jest głównym tematem wszystkich bez wyjątku pism sowieckich. Zawsze powtarzają się te same hasła, wezwania, oskarżenia, groźby. W roku bieżącym pogoda — w zasadzie — dopisała, nie było posuchy i nie było nadmiernych deszczów. Ale w Związku Sowieckim nie wystarczy dobry urodzaj, trzeba go jeszcze zebrać. Tak już od czterdziestu lat pod rząd, brak maszyn do zbiorów, brak składów dla zabezpieczenia ziarna, brak ludzi.

Prawie połowa ludności pracuje na roli, ale to, jak się okazuje, nie wystarczy. „Zbiór urodzajów jest problemem ogólnonarodowym” — pisze *Prawda* i Rada Ministrów uchwała kolejne zarządzenia.

W roku bieżącym plan przewidywał zbiór 174 milionów ton zbóż — o 13 milionów ton więcej niż w roku ubiegłym. Maksymalny urodzaj w całej historii sowieckiego rolnictwa był w roku 1966: 171,2 miliony ton ziarna. Ale przez ostatnie 4 lata ludność zwiększyła się o 12 milionów ludzi.

22 i 23 lipca odbyło się Plenum KC, na którym Breżniew wygłosił referat pt.: „Kolejne zadania Partii w dziedzinie gospodarki rolnej”. Generalny Sekretarz podsumował jak gdyby rezultaty swojej działalności w tej dziedzinie, po usunięciu „woluntarysty” Chruszczowa. Rezultaty niepokojące. „Sytuacja w produkcji zbóż nie zadowala nas. Nadal centralnym problemem pozostaje zwiększenie produkcji zbóż. W ostatnim okresie powoli rośnie produkcja bawełny i odczuwamy braki tego surowca. Produkcja owoców jest mała. Jak wiadomo daleko jeszcze do zaspokojenia potrzeb społeczeństwa w dziedzinie hodowlanej, specjalnie jeśli idzie o mięso” — tak mówił Breżniew. Jeśli usunąć z referatu „upiększenia” (Generalny Sekretarz mówi np. o *powolnym* wzroście produkcji bawełny, a zaraz potem dodaje, że od 1966 roku „produkcja bawełny pozostaje na tym samym poziomie”, gdy jakoś gwałtownie spada — przy wprowadzeniu około „400.000 hektarów nowych, nawodnionych ziem”) to treść jest bezlitośnie jasna: brak chleba, owoców, mięsa, bawełny.

Gospodarce rolnej postawiono zadanie: dać w końcu przyszłej pięcioletki (1971-1975) 190 milionów ton zboża. Państwo przegna-



cza na ten cel gigantyczne środki: 77,6 miliardów rubli plus 43 miliardy rubli, które powinny dać ze swych dochodów kołchozy. W sumie 120,6 miliardów rubli dla zwiększenia produkcji zbóż o 20 milionów ton.

„Cena chleba” — tak zatytułował swój artykuł (*Newa*, nr 6) doktor nauk ekonomicznych P. Ignatowski. Wrócił on niedawno ze Stanów Zjednoczonych, przyjrzał się jak męczą się tam nie-szczęśliwi farmerzy i zaciera ręce na myśl o szczęśliwych sowieckich kołchoźnikach. Ale przechodząc do istoty rzeczy Ignatowski przyznaje, że amerykański farmer pracuje cztero-, pięciokrotnie wydajniej od kołchoźnika. „Drogo nam wypada każdy kawałek chleba” — skarży się sowiecki ekonomista. Na jednego robotnika rolnego w Stanach Zjednoczonych wypada 78 koni mechanicznych tj. 9,5 razy więcej niż w Związku sowieckim. Ignatowski pesymistycznie ocenia perspektywy na przyszłość. Twierdzi on na przykład, że potrzeba będzie wielu lat — 10-ciu do 15-tu dla zakończenia procesu podstawowej mechanizacji i rozpowszechnienia systemu maszynowego.

Jeśli idzie o obiecane miliardy, to pisze on tak: „Trudno wskazać pięcioletkę, w której to co planowano zainwestować w gospodarkę rolną byłoby całkowicie celowo wykorzystane”.

Ale jest jedna decyzja Plenum, co do której można być pewnym, że zostanie całkowicie wykonana. *Sowieckaja Rossija* ogłosiła 3 lipca artykuł, w którym omawia się decyzje o rozbudowie bazy rolniczej na Dalekim Wschodzie. Baza ta będzie powiększała się na należących do ZSSR wyspach na rzekach Amur i Ussuri, na samej granicy z Chinami. Tymczasem mówi się o dwóch wyspach: Tarabanow i Bolszaj Ussuryjskij.

Można jednak powątpiewać, czy w ten sposób rozwiąże się problem gospodarki rolnej w ZSSR.



Bardzo niedawno telewizje amerykańska, a następnie angielska wyświetlały film zrobiony w Związku sowieckim przez dziennikarza amerykańskiego, Williama Cole. Udało mu się nagrać wypowiedzi Piotra Jakira, Andreja Amalrika, Władimira Bukowskiego i Aleksandra Ginzburga, z tym że Ginzburg nagrał swoją wypowiedź w łagrze. Władimir Bukowski opowiada, jak męczą, jak torturują (nie można tego inaczej nazwać) pacjentów zakładów psychiatrycznych, w których władze coraz częściej zamykają nieprawomyślnych. Czyli tych co — jak mówi Bukowski — popełnili rzeczy, które „z punktu widzenia władzy są przestępstwem, a nie są nim z punktu widzenia prawa”.

Aleksander Ginzburg powiedział: „... Wskutek braku opieki lekarskiej zginęło 16-tu więźniów politycznych... gwałci się prawa człowieka...”.

Łamanie prawa, samowola organów bezpieczeństwa i wymiaru sprawiedliwości doszły w ostatnich czasach do takich rozmiarów, że coraz częściej próbuje się o tym mówić nawet na łamach

prasy sowieckiej. Na łamach *Litieraturnoj Gaziety* toczyła się ponad pół roku pozornie teoretyczna dyskusja o prawach i problemach adwokatów, ale w jej trakcie prawnicy — adwokaci i prokuratorzy, przytaczali fakty całkowicie potwierdzające wypowiedzi Bukowskiego i Ginzburga. I tak np. okazało się, że aczkolwiek zasadą prawodawstwa sowieckiego jest, iż człowiek może być uznany za winnego tylko wyrokiem sądu, to dla większości uczestników dyskusji pojęcia „oskarżony” i „winny” są synonimami. Jeśli człowiek jest aresztowany, automatycznie uznaje się go za winnego. Jeden z uczestników dyskusji przytoczył nawet uchwałę Sądu Najwyższego RSFSR w pełnym składzie, zalecającą odbywanie posiedzeń „w miejscu popełnienia przestępstwa, w miejscu pracy lub w miejscu zamieszkania winnego...” (*Litieraturnaja Gazieta* nr 32).

Adwokaci rozumieją, że gospodarzem procesu staje się prokurator — przedstawiciel państwa. Adwokaci zgadzają się z tym, że oskarżonego uznaje się przedwcześnie za winnego. Usiłują uzyskać chociażby możliwość targowania się z prokuratorem o wysokość kary. Ale i tego im się odmawia.

Odbył człowiek karę. „Karzący miecz sprawiedliwości spełnił swoją misję — człowiek odbył karę i formalnie wszystkie drogi stoją przed nim otworem. Ale...” — jak to pięknie pisze specjalny korespondent *Litieraturnoj Gaziety* (nr 27).

Oprócz ustawy istnieją jednak „Przepisy paszportowe”. Człowiek który odbył karę nie może mieszkać w dawnym miejscu zamieszkania. „Nie przyjmowano do pracy, bo nie było meldunku. Meldunku nie było, bo nie było miejsca zamieszkania. A miejsca zamieszkania nie było, bo nikt nie chciał zameldować człowieka, który nie pracuje”. Tak opisano życie jednego z tych, którzy doświadczywszy na sobie „misji” karzącego miecza sprawiedliwości odzyskali — wydawałoby się — tak zwaną wolność.

Zastanówmy się — proponuje dziennikarz. — „Jeżeli człowiek, który wychylił 'czarę gorzkości' do dna nadal pozostaje pozbawiony praw, to czyż nie znaczy to, że 'karzący miecz sprawiedliwości' działa nawet wtedy, gdy powinien tkwić w pochwie?”.

W prasie coraz częściej pojawiają się dane o naruszaniu prawa, o nadużyciach władzy, pojawiają się nawet nieśmiałe wezwania do ukrócenia najbardziej oczywistych ekscesów. Co to jest? Przejaw liberalizmu? Nie, — odpowiada w swoim wystąpieniu Andrej Amalrik. — „Myślę, że w rzeczywistości chodzi nie o liberalizację reżymu, lecz o jego niedołążnienie”.

Publikowanie w prasie materiałów krytycznych zawdzięcza się także upartej, odważnej działalności tych, którzy cierpią dzisiaj w sowieckich łagrach i szpitalach psychiatrycznych. „W okresie stalinizmu — mówi Piotr Jakir — istniała zawsze żelazna kurtyna i nikt nie wiedział co się u nas dzieje. Gnojono miliony ludzi i nikt o tym też nie wiedział. Teraz staramy się by każde aresztowanie, każde zwolnienie z pracy było znane informując ludzi o sytuacji w naszym kraju, o wszystkich popełnianych bezprawnościach”. Swoje wystąpienie Piotr Jakir zakończył słowami: „Na

pewno nas zaaresztują, gdyż dla władzy niewygodni są ludzie, którzy ją krytykują. Ale najważniejsze, że nie wolno się cofnąć — nie będzie nas, to będą inni...”

I chciałoby się wierzyć, że to właśnie Andreja Amalrika, Aleksandra Ginzburga, Władimira Bukowskiego, Piotra Jakira, setki sowieckich więźniów, miał na myśli Mikis Teodorakis mówiąc ostatnio w Moskwie: „Jest wprost nie do pomyślenia, że w 25 lat po Hitlerze znów na świecie istnieją obozy koncentracyjne. Nie można sobie wprost wyobrazić co myśli syn, którego ojciec jest wtrącony za druty kolczaste, co dzieje się z ojcem, którego syn został zamknięty w łazrze” (*Komsomolskaja Prawda*, 25. VIII. 70). Zresztą jest bardzo prawdopodobne, że Mikis Teodorakis, przyjmowany po królewsku w Moskwie, miał na myśli jedynie Grecję.



„Władzom niewygodni są ludzie, którzy je krytykują” — mówi Piotr Jakir. Okazuje się, że władzom niewygodni są również i ludzie, którzy w ogóle myślą. 31 lipca czasopismo *Sowietskaja Rossija* zamieściło artykuł niezmiernie ostro krytykujący pracowników naukowych, uczonych, mieszkańców głośnego *Akadiemgorodka* pod Nowosybirskiem. Autorem artykułu jest pierwszy sekretarz miejskiego komitetu partii. Główny zarzut: przecenianie przez uczonych ich roli w społeczeństwie, ignorowanie wskazówek partii. Sekretarz partyjny tłumaczy to szeregiem przyczyn: młodym wiekiem uczonych (przeciętny wiek mieszkańców *Akadiemgorodka* — 32 lata), oderwaniem od życia (uczeni zbyt zajmują się nauką i nie bywają ani w fabrykach, ani w kołchozach); wreszcie uczeni nie chcą uczęszczać na wykłady polityczne. Bardzo źle wpływa na uczonych — zdaniem autora artykułu — nadmiar cudzoziemców odwiedzających naukowy ośrodek pod Nowosybirskiem. Tylko w ciągu jednego ubiegłego roku było ich około trzech tysięcy.

Trudno znaleźć lepszy przykład niedołączenia reżymu, o którym mówi Amalrik, niż ten artykuł działacza partyjnego, żyjącego w nieprzytomnym strachu przed nauką.



Gdyby zebrać książki pisarzy sowieckich potępione przez oficjalną krytykę, to powstałaby biblioteka, obejmująca wszystkie najlepsze dzieła stworzone przez literaturę sowiecką w okresie pięćdziesięciu kilku ostatnich lat. Z niewiarygodnym wężem wyłapują partyjni literaturoznawcy wszystko co żywe, interesujące, odbijające się od szarego potoku codziennej literackiej produkcji.

Przedmiotem krytyki stała się, natychmiast po ukazaniu się w *Nowym Mirze*, nowa powieść Czyngiza Ajtmatowa „Biały statek”, niewątpliwie jedna z najbardziej interesujących pozycji literatury sowieckiej w ostatnich latach. W powieści jest mowa

o samobójstwie siedmioletniego chłopca, który widzi naokoło siebie bezkarną władzę ordynarnej, brutalnej przemocy i który przestał wierzyć w możliwość lepszego życia. Zafrapowała ona czytelników swoją beznadziejnością, swoim tragizmem. Symbolika powieści jest bardzo prosta. Gdzieś tam, daleko, daleko na jeziorze Issyk-Kul płynie piękny, biały okręt. Ale nigdy nie przybije do brzegu rzeki, nad którą żyje chłopczyk. I zrozumiałem, że jego marzenie nigdy się nie urzeczywistni, że zawsze triumfować będzie bezlitosne chamstwo, chłopczyk nie wytrzyma.

„Jedno tylko mogę teraz powiedzieć — odrzuciłeś to z czym nie godziła się twoja dziecinna dusza. I w tym jest moja nadzieja. Bo cokolwiek by nas czekało na świecie — prawda zawsze przetrwa, dopóki rodzą się i umierają ludzie” — tymi słowami kończy się powieść.

„Oderwana od historycznych i społecznych korzeni i dlatego pozbawiona adresata” — tak określa powieść Ajtmatowa krytyk D. Starikow (*Litteraturnaja Gazieta*, nr 27). Lecz dla każdego uważnego czytelnika adresat jest oczywisty.

Sam autor tak mówi o „Białym Statku”: „Miałem tylko jedno wyjście — napisać tę książkę, albo jej nie napisać. A jeśli już pisać, to tylko tak jak to zrobiłem... Miałem nadzieję, że moja książka zachęci czytelników do budowania barykad przeciw nieprawdzie...”



„Prawda”, „nieprawda” — same te słowa wystarczą, by wywołać niezadowolone strażników „nowej sowieckiej etyki”. Jak należało pisać uczy gazeta *Prawda*. Przeglądając *Prawdę* za okres sierpnia znalazłem w niej dwie wzmianki poświęcone jednemu i temu samemu faktowi, ale w odstępach dziesięciu dni. Przy czytaniu tych wzmianek w pierwszym rządzie ubawiło mnie niewzruszone przekonanie redaktorów centralnego organu KC KPZS, że czytelnicy jutro zapomną o tym, co czytali dzisiaj.

A więc *Prawda* z 14 sierpnia. Rubryka „Ich obyczaj”. Tytuł „To zdarzyło się w amerykańskim sądzie”. Podpis Ju. Ż. Łatwo rozszyfrować (Jurij Żukow, główny komentator pisma).

„Popatrzcie na to zdjęcie — zaczyna się wzmianka (jest fotografia), — kalifornijski bandyta James Maclean z zimną krwią celuje w sędziego Harolda Holey... Za dziesięć sekund sędzia będzie martwy, a policjanci, zapewniwszy ulubioną w Stanach Zjednoczonych równość szans, zastrzelą i bandytę”. Rzeczywiście — powiedzą sowieccy czytelnicy — ależ obyczaj u tych Amerykanów!

Wzmianka jest niewielka. Żukow zdemaskował amerykańskie obyczaje. Wydawałoby się, że wszystko w porządku. Nie mógł jednak wiedzieć komentator sowiecki, że w sprawie o zabójstwo sędziego w kalifornijskim mieście San Raphael będzie zamieszana członkini amerykańskiej kompartii Angela Davis, asystentka profesora filozofii kalifornijskiego uniwersytetu. Gdy fakt ten stał się znany *Prawdzie* (24 sierpnia), pojawiła się nowa notatka.

Tytuł — „Wypadek w San Raphael”. Podpis — własny korespondent *Prawdy* B. Strelnikow.

Teraz czytamy zupełnie inną historię. „Tego ranka w sądzie rozpoczął się proces nad James Maclean, 37-letnim Murzynem, który był oskarżony o zabójstwo strażnika w więzieniu San Quentin... 7 sierpnia wszedł na salę sądową i siadł w rzędach przeznaczonych dla publiczności 17-letni uczeń szkoły średniej Jonathan Jackson. Po kilku minutach zerwał się z miejsca, miał w ręku rewolwer... Jackson uwolnił z kajdanów Macleana i jeszcze dwóch podsądnych. Maclean wygłosił krótkie przemówienie, w którym raz jeszcze zaprzeczył, że brał udział w zabójstwie strażnika”. I tak dalej, i tak dalej. Nie ma już bandyty, jest oskarżony (rozumie się samo przez się, że niesprawiedliwie) Murzyn, potem ukazuje się Angela Davis, także Murzynka. Krótko mówiąc — spisek reakcjonistów. Tak też i kończy się notatka Strelnikowa: „Sądząc po tym wszystkim, czarnosecinną reakcją, uciekając się do metod prowokacji, przygotowuje się do nowego uderzenia na postępowe siły Stanów Zjednoczonych”.

Wniosek jest tylko jeden — nie można czytać *Prawdy* systematycznie. Przeczytaj i zapomnij — a wtedy wszystko będzie w porządku.

Adam KRUCZEK

TOM 31 — BIBLIOTEKI « KULTURY »

STANISŁAW REMBEK

**W POLU**

Najlepsza polska powieść batalistyczna, poświęcona wojnie polsko-sowieckiej w 1920 roku.

W 50-tą rocznicę tej wojny przypominamy Czytelnikom książkę Rembeka, która w Polsce jest zakazana.

Str. 309.

Cena F. 8 (15/-; dol. 2,00)

Kraj

## List z kraju

Zacznę od antysemityzmu w Polsce, bo niestety o to pyta każdy przyjeżdżający do kraju cudzoziemiec. W. Bieńkowski w wydanej przez *Kulturę* książce „Motory i hamulce socjalizmu” pisał:

„Wybuch fali antysemityzmu... poprzedziły wielomiesięczne przygotowania przy pomocy różnych form propagandy, pogłosek rozpuszczanych metodą 'szepstaną', kierowanych przeciwko określonym ludziom, grupom, instytucjom. Rzecz charakterystyczna, iż wobec tej akcji całkowicie bezradne było kierownictwo polityczne mimo, że jedną z pierwszych jej ofiar był jeden z jego członków i w stosunku do którego podziemna kampania odniosła pełny sukces. (Mowa o Spychalskim, którego wywiad wojskowy i cywilny zgodnie postanowiły usunąć z wojska). Kierownictwu politycznemu nie pozostało nic innego jak pójść po narzuconej linii...”.

Rewelacyjny, jak na marksistę, Bieńkowski nie wie już jednak, lub też nie chce powiedzieć, jakie były głębsze przyczyny tej sytuacji. Wiąza się one bowiem nie tylko z prawidłowością w systemie komunistycznym sprawującą, że policja coraz to uzyskuje dominację polityczną. Przewaga policji wynika z tego, że jest ona głównym instrumentem wpływów rosyjskich w Polsce i w innych demokracjach ludowych. Źródłem antysemityzmu także nie jest Polska lecz Rosja. Bezpieka jest w dużej części przedłużeniem KGB, a sowiecka służba bezpieczeństwa stanowi potomstwo carskiej Ochrany. Wyrosła z jej ducha i z jej metod, przejęła i udoskonaliła jej technikę działania. Ochrana specjalizowała się w organizowaniu prowokacji antysemickich w sytuacjach, kiedy trzeba było odwracać uwagę społeczeństwa państwa carów od istotnych problemów politycznych. KGB i bezpieka przejęły ten wypróbowany instrument Ochrany w momencie kiedy trudno im było sobie poradzić z narastającym fermentem ideologicznym w ruchu komunistycznym.

W Polsce wielu ludzi jest dosłownie załamanych opinią zachodu o naszym antysemityzmie. Jest to zupełnie bzdurne. *Kultura*, *Free Europe* i wszystkie polskie ośrodki na emigracji powinny

wyjaśnić opinii krajów zachodnich, jakie są źródła antysemityzmu w Polsce. Ten sam aparat bezpieczeństwa uniemożliwia też realizację żywotnych interesów polskiej racji stanu. Sprzeciwiał się rozmowom z NRF w sytuacji, kiedy Rosja nie tylko rozmawiała, ale i dogadywała się, co mogło spowodować izolację Polski. Torpeduje poważniejszą gospodarczą kooperację Polski z krajami zachodnimi. Utrudnia wszystko to w naszej polityce zagranicznej, co mogłoby przyczynić się do większej samodzielności Polski.

Nie oznacza to, że w Polsce nie ujawnili się antysemita. A jakże, dali o sobie znać ci starego chowu, jak Hrabyk i Piasecki, a także z nowego miotu, jak Gontarz, Kąkol i Walichnowski. To jest jednak wąski margines społeczny awanturników politycznych, których nie brak w żadnym społeczeństwie.

Z pewnością niektórzy uczciwi ludzie w Polsce dali się też zasugerować nagonce na Żydów. Uwierzyli, że Żydzi z kierowniczych kręgów partii byli bardziej niż Rosjanie winni satelityzacji Polski. Wreszcie skład narodowościowy KPP i użycie przez Stalina mniejszości żydowskiej, zresztą obok innych, do sprawowania kontroli nad polską partią, stworzył w łonie PZPR powstanie rzeczywistego problemu działaczy pochodzenia żydowskiego, którzy zajmowali, bez względu na kwalifikacje, tysiące kluczowych stanowisk partyjnych i państwowych.

Obecnie na ważnych stanowiskach partyjnych i państwowych Żydzi należą już do rzadkości. Ale inspiracja antysemicka trwa nadal. Celem jej było bowiem uderzenie w tendencje liberalne i rewizjonistyczne, a wtórnie dopiero w samych Żydów. W ramach zaś walki frakcyjnej antysemityzm służy obecnie głównie do podważenia pozycji samego Gomułki, Kliszki, Cyrankiewicza, Spychalskiego i resztek dawnej „grupy puławskiej” w partii.

„Grupa puławska” była po październiku 1956 r. wielką siłą w partii. Z czasem Moczarowi udało się z pomocą Rosjan podważyć jej pozycję. Przez pewien czas Gomułka opierał swą władzę na roli arbitra między dwoma skrzydłami w partii: liberalnym — w postaci „grupy puławskiej” i nacjonalistycznym, czyli moczarskim. Obecnie sytuacja jest już zupełnie inna. Wpływy grupy liberalnej tak się skurczyły, że Gomułka, Kliszko i ich najbliżsi współpracownicy przestali być arbitrami między dwoma skrzydłami w partii. Stanęli oni wobec bezpośredniej konfrontacji z konspiracją moczarską. Właśnie antysemityzm stał się głównym instrumentem umożliwiającym Rosjanom likwidację skrzydła liberalnego w polskiej partii. Zadanie to ułatwiły te ośrodki polityczne na Zachodzie, które grając na walkach frakcyjnych w partii nie kryły swoich sympatii do liberałów i niechęci do moczarsowców. Kto wie, czy Moczara, gdy uporał się już z „grupą puławską” i wystąpił przeciw samemu Gomułce, nie uratowała od kompletnej przegranej kampania Free Europe. Dawała ona Moczarowi potężne argumenty wobec Gomułki i wobec Rosjan, którzy także zaniepokoiли się nie na żarty jego aspiracjami.

Konkluzja o jaką mi w tej chwili chodzi brzmi: należy skończyć z kompleksem rzekomego antysemityzmu w Polsce; nie wol-

no przerzucać na naród polski odpowiedzialności za inspirację i metody Rosjan i ich tajnych służb w Polsce. Wytwarza się bowiem sytuacja, że tak jak pisano czasem na Zachodzie o „polskich obozach koncentracyjnych” myśląc o Oświęcimiu, tak będziemy brali obecne prowokacje antypolskie na polski rachunek. Ośrodki polskie, prowadzące z emigracji walkę z totalizmem w kraju muszą w tej sprawie nieco dokładniej nakierować swój ogień: nie na antysemityzm polski, ale na antysemityzm importowany do Polski.

Wróćmy teraz do sprawy walk frakcyjnych w partii. Walki te początkowo mogły budzić nadzieje, że doprowadzą do liberalizacji stosunków w kraju. Z czasem okazało się, że nie będą one miały takich rezultatów. Przeciwnie, Rosjanom udało się wyzyskać je do roztoczenia ponownie ścisłej kontroli nad Polską. Obecnie sytuacja jest taka, że grupa rządząca, z Gomułką na czele, ma przeciw sobie przeważającą większość aktywu partyjnego. To właśnie dogadza Rosjanom, bo w ten sposób mają w ręku Gomułkę, który dobrze wie, że rządzi Polską tylko dzięki poparciu rosyjskiemu. Breżniew na ostatnim zjeździe polskiej partii przedłużył polityczną egzystencję Gomułki, ale nie zlikwidował bynajmniej opozycji przeciw szefowi polskiej kompartii. Niepokoi go nacjonalizm Moczara, bo w ogóle „nacjonalizm” jest w erze doktryny Breżniewa uważany za największe niebezpieczeństwo w międzynarodowym ruchu komunistycznym. Ale Moczara i cała antygomułkowska konspiracja w polskiej partii, jak najbardziej Rosjanom odpowiada. Jako środek ewentualnego nacisku na Gomułkę. Jako jego ewentualna alternatywa polityczna w przyszłości, bo jak wiadomo tow. Wiesław jest już zmęczony i tak czy inaczej dożywa swego schyłku politycznego. Partia, na której czele stoi, nie jest już jego partią. Już dawno przestał być jej legendarnym przywódcą, a stał się zawadą dla wszelkiej racjonalizacji politycznej i gospodarczej.

Tymczasem istotne i najważniejsze problemy współczesnej Polski niewiele mają wspólnego z walką frakcji w PZPR. Głównym problemem dzisiejszej Polski jest pozostająca w niezmiennym impasie gospodarka narodowa. Gomułka i jego przeciwnicy w polskiej partii nie wysuwają w tej dziedzinie przeciwstawnych programów. Moczara i partyzantów nie było w ogóle stać na sformułowanie programu gospodarczego, co jest najdobitniejszym przykładem małego formatu całej tej frakcji. Pozostaje ona nadal w ramach intrygi policyjnej, wzmożonej grą wywiadu rosyjskiego i podobnych intryg w partii rosyjskiej.

W gospodarce polskiej istnieje więc sytuacja taka, że nie wchodząc w ramy głównych zainteresowań frakcji, stała się domeną nieskoordynowanych działań różnych ekspertów partyjnych, które to działania są następnie dokładnie unicestwiane przez samego Gomułkę. Jak wiadomo, największym nieszczęściem Polski Ludowej jest gospodarcze hobby I-go sekretarza PZPR. Zdarzyło mi się, jako zaproszonemu specjalście, być na plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego poświęconym problemom

ekonomicznym. Sposób zachowania się na tych zebraniach Gomułki ukazuje cały tragizm, w jakim znajdują się w Polsce działacze gospodarczy. Z właściwym sobie uporem i arbitralnością tow. Wiesław rozбивa w proch misterne konstrukcje pragmatyków ekonomicznych, chcących jakoś obejść konieczność stosowania się do sztywnej doktryny. Gomułka posługuje się swoimi własnymi, niejako prywatnymi ekspertami. Wyniki ich prac są zgoła niepodziewane. Ale ponad wszystko tow. Wiesław kieruje się w gospodarce tzw. chłopskim rozumem. Wygląda to mniej więcej tak, jak słynna sprawa budowy najprostszej na świecie linii kolejowej Petersburg-Moskwa. Kiedy Cesarzowi przedstawiono opracowany przez inżynierów drogowych projekt tej linii, car uznał, że biegnie ona zbyt okólną drogą. Wykreślił na mapie prostą linię, łączącą Petersburg z Moskwą i według tej linii kazał budować kolej. I powstała rzeczywiście najprostsza i najkrótsza linia kolejowa między dwoma metropoliami rosyjskimi. Nie omijała ona jednak ani nierówności terenu, ani kosztownych budowli. Była więc linią najkrótszą, ale i najdroższą. Takie mniej więcej rezultaty daje chłopski rozum Gomułki we współczesnej skomplikowanej maszynierii gospodarczej. Tow. Wiesław nie tylko strzeże doktryny, ale utracą każdą rozsądniejszą myśl i inicjatywę gospodarczą. Na plenach KC niemiłosiernie ruga on i upokarza działaczy gospodarczych, nie wyłączając członków KC i rządu.

W takim to osobliwym stylu ekonomia wiejskiego rugających go parobków Gomułka uwikłał gospodarkę polską w nadmierne i kosztowne inwestycje w kopalnictwie, o całe lata opóźnił motoryzację kraju, a ostatnio przyczynił się do takiego pogmatwania decyzji o bodźcach osobistego zainteresowania w produkcji, że uchwały KC w tych sprawach są powszechnie niezrozumiałe i bojkotowane (także ze względów politycznych) przez aparat gospodarczy.

Przykłady tego rodzaju można by mnożyć w nieskończoność. Iluzje Gomułki w sprawie realności owocnej współpracy w ramach RWPG są chyba równe jego złudzeniom co do możliwości porozumienia Rosji i Chin. Ten stary komunista uformowany w okresie międzywojennym nie chce zrezygnować z żadnych iluzji bezinteresownej współpracy państw komunistycznych. Nie widzi, że w ramach RWPG żadna umowa gospodarcza nie jest, dotrzymywana, jeśli którakolwiek ze stron ma szanse zrobić transakcję dolarową z Zachodem, obejmującą wyroby przeznaczone uprzednio dla bratniego partnera socjalistycznego. Żadne państwo socjalistyczne nie waha się w takim wypadku opóźnić terminy dostaw w ramach RWPG, wywołując tym ostre komplikacje w gospodarce swoich partnerów. Ta naga rzeczywistość jest nie do pogodzenia z doktrynalną wizją komunizmu, której nosicielem jest Gomułka. I jego jednak życie zmusza do rewizji, przychodzą one jednak z reguły za późno. Na poważniejszą współpracę gospodarczą z NRF decyduje się I-szy sekretarz PZPR dopiero teraz, choć były na to szanse już od szeregu lat. Wtedy jednak współpraca gospodarcza z Zachodem była jeszcze przez Gomułkę źle

widziana. Dlatego odrzucił koncepcję kooperacji z koncernem Kruppa, mimo wszystkich wysiłków mającego w Polsce specjalną pozycję Beitza. Także umowa licencyjna z Fiatem przyszła za późno. A każdy rok rządów Gomułki mnożył zmarnowane szanse.

Wszystko to stworzyło taki impas gospodarki polskiej, że przywódca polskiej partii godzą się obecnie na współpracę gospodarczą z Zachodem i nawet z NRF. Ale jest już późno, przegraliśmy walkę z czasem. Wydzwignięcie gospodarki z głębokiego upadku byłoby możliwe tylko przy zastosowaniu całego kompleksu środków. Przemysłenie tego zadania jest z pewnością najważniejszym problemem dzisiejszej polityki polskiej. Nic nie zwiastuje, że PZPR jest zdolna podołać temu zadaniu. Otóż tu otwiera się olbrzymia rola dla ośrodków emigracyjnych, z *Kulturą* i *Free Europe* na czele. Centralny współczesny problem polski — gospodarka narodowa — domaga się uczestnictwa w jego rozwiązywaniu wolnej myśli, a więc także politycznych ośrodków emigracji. Z tym oczywiście, że trzeba by tu pokusić się o pracę poważną, długofalową, obejmującą szerokie zespoły ekonomistów. Nie wystarczy demaskować od czasu do czasu jakiś skandal ekonomiczny w Polsce. Trzeba stworzyć alternatywny program dla polskiej gospodarki, ogłosić go i zmusić partię jego walorami ekonomicznymi do ustosunkowania się do niego i do przyjęcia choćby jego części do realizacji w Kraju. Krótko mówiąc główny wniosek tej części rozważań polega na postulacie skoncentrowania polskiej wolnej myśli, a w tym także środków masowego przekazu do Polski na najważniejszej dla przyszłości kraju problematyce gospodarczej.

Wydaje się, że ośrodki emigracyjne pochłonięte obserwacją żalostnej polityki wewnątrzpartyjnej w Polsce, poza ekonomiką, nie doceniają jeszcze tragizmu sytuacji kraju w dziedzinie wychowania i świadomości społecznej. Sytuacja ta jest zresztą nadzwyczajnie złożona. Wielu ludzi uważa, że nie jest taka zła, jeśli w 1968 r. w czasie wypadków marcowych młodzież akademicka okazała się tak ideowa, zdyscyplinowana i odpowiedzialna politycznie. A jednak sytuacja nie jest wcale sielankowa. Młodzież istotnie była w 1968 r. wspaniała, ale nie zapominajmy, że doznała ona przegranej, dotkliwego wstrząsu, zawodu i ma poczucie niemocy. Skutki społeczno-wychowawcze tej twardej lekcji są w środowiskach akademickich bardzo różnorodne, dobre i złe. Poza tym, zdając sobie sprawę ze znaczenia młodzieży akademickiej we współczesnym społeczeństwie, nie zapominajmy, że jest to tylko część młodzieży i społeczeństwa.

Całe natomiast społeczeństwo jest poddawane manipulacjom, które wywołują jak najgorsze skutki wychowawcze. Chodzi tu przede wszystkim o dwie rzeczy. Jediną pewną drogą awansu społecznego i „kariery” jest w kraju posłuszeństwo wobec *każdej* aktualnej linii partii. W marcu 1968 r. trzeba było godzić się z biciem studentek pałkami milicyjnymi, od kilku lat trzeba publicznie dawać wyraz niechęci do osób pochodzenia żydowskiego, zawsze trzeba rezygnować z własnego rozumienia dobra narodu

na rzecz aktualnej linii partii. To są niezbędne warunki powodzenia i wybicia się w kraju. Nie chcę powiedzieć, że poddaje się im całe społeczeństwo. Jest niezliczona ilość przykładów zupełnie przeciwnych. Ale nie można zaprzeczyć, że poważna część społeczeństwa, młodzieży, wraz z całym aktywnym politycznym poddaje się tym warunkom, dokonując moralnej kapitulacji wobec narzuconych przez partię kryteriów oceny postaw politycznych. Nie miejmy złudzeń, jest to zjawisko tak masowe, że demoralizuje ono bardzo dużą część społeczeństwa. W jeszcze większej skali właściciele PRL-u deprawują społeczeństwo przez istniejący system płac, którego nie potrafią zmienić od 25 lat. Nikt z normalnych ludzi (a więc nie dygnitarzy partyjno-państwowych, propagandzistów i jednostek z niektórych, uprzywilejowanych zawodów) nie zarabia w Polsce tyle, ile jest rzeczywiście niezbędne do życia. Wobec tego wszyscy pracują źle, niewydajnie, nie dbale, a ci którzy mogą kombinują, kradną, nadużywają swych możliwości dysponowania dobrem publicznym. Jest to znów zjawisko tak masowe i powszechne, że właściwie mało kto w Polsce może być w zgodzie z dawnym rozumieniem moralności zawodowej i szanować własność społeczną. Powiadam *może*, bo wielu ludzi po prostu musi uciekać się do środków nieuczciwych chcąc zapewnić rodzime minimum egzystencji. Wielu jednak rozumuje w ten sposób: skoro państwo mnie oszukuje, to nie ma powodu, żebym ja nie oszukiwał państwa. Daje to okazję nie tylko do zapewnienia sobie niezbędnego minimum, ale też do próby bogacenia się kosztem dobra publicznego. Jest na porządku dziennym, że robotnik wynosi z fabryki coś, co może łatwo sprzedać, lub że robi „fuchę” w godzinach pracy. Jest równie normalne, że ekonomista, czy inżynier sprzedaje tę samą pracę w dwóch lub trzech instytutach naukowych. Nie mówię już o takich drobiazgach, jak fikcyjne delegacje na wyjazdy służbowe. Na ogół tych wszystkich rzeczy nie potępia się uważając, że państwo po prostu zmusza do nich obywateli. Wszyscy współczują tylko tym, którzy nie mają gdzie kraść i kombinować. Łatwo wyobrazić sobie jakie spustoszenie w moralności społecznej powoduje ten cały stan rzeczy. Trzeba by dziesiątek lat innych warunków i innej praktyki, żeby to wszystko odrobić. Musimy bić na alarm: panujący system deprawuje społeczeństwo.

Tymczasem podlega ono gwałtownym przemianom. Wymierają generacje pamiętające czasy przedwojenne. Dominuje pokolenie młode wychowane już w Polsce Ludowej. Przeważająca jego część pochodzi ze wsi, przeszła do miasta, co oznaczało oczywiście wielki awans społeczny. Mając wyższe wykształcenie lub średnie zawodowe setki tysięcy tej młodzieży nie ma żadnych tradycji kulturalnych. Jej kultura humanistyczna jest znikoma. Z tej kategorii społecznej rekrutują się tak liczni dziś w Polsce „neandertalczyki”, których niedościgniony wzór ukazał niegdyś Koestler w osobie Gletkina. Na tym elemencie partia opiera dziś całą swoją władzę w Polsce.

Ludzi ci są pozbawieni nie tylko tradycji kultury humanis-

tycznej, ale w ogóle podstawowej znajomości faktów z naszej niedawnej przeszłości. W marcu 1968 r., czy potem, w czasie agresji na Czechosłowację, mieli oni możliwość zobaczenia całej brutalności systemu komunistycznego. Ale mało kto z nich zna prawdę o narodzinach w Polsce systemu, który oni uważają właściwie za naturalny, bo nie widzieli nigdy innego, urodzili się w nim i wychowali. Skróć AL przed AK wywołał w naszym pokoleniu wzburzenie. Większość młodych nie doznaje tego przeżycia. Widziałem w telewizji polskiej wywiady z młodymi w rocznicę Powstania Warszawskiego. Młoda panna przed maturą powiedziała, że powstanie było w 1943 roku. To jest dla nich kwestia wkuwanych na pamięć dat historycznych. Jakże mogą dzielić nasze uczucia, skoro od 25 lat wszystkie środki masowego przekazu pracują nad tym, żeby ich zmylić, oszukać, wpoić kłamliwą interpretację wydarzeń! A dziś robi się to nie przy pomocy sloganów o zapłutym karle reakcji, ale przez emocjonujące filmy kryminalne, w których ubecy są bohaterami, a byli AK-owcy zdemoralizowanymi bandytami. Moczarowcy tkwiący w ośrodkach masowego przekazu gloryfikują wojenne czyny Polaków, ale bynajmniej nie dbają o historyczne proporcje w przedstawieniu wkładu różnych odłamów podziemia.

Najważniejsze jest więc, aby ośrodki emigracyjne z *Kulturą* i *Free Europe* na czele skoncentrowały się na problematyce społeczno-wychowawczej, miały plan skoordynowanej akcji przeciw ogłupianiu społeczeństwa. Sprawy bieżąco-polityczne, kwestia gier frakcyjnych w partii ma znaczenie nieporównanie mniejsze od tej wielkiej problematyki. Natomiast oddziaływanie na świadomość społeczeństwa jest sprawą alarmującą. Występuje bowiem coraz ostrzej zjawisko upodabniania się Polaków do społeczeństwa sowieckiego, okłamywanego już ponad 50 lat. Wiem, że zdanie takie oburzy wielu ludzi na Zachodzie i w kraju, ale piszę je świadomie.

Oczywiście i w Polsce, a według mnie i w Rosji, gdy powstaną ku temu możliwości, natychmiast odezwie się zdrowy instynkt prawdy, tkwiący w samej niezmiennej naturze ludzkiej. Zresztą coraz to ujawnia się on w bardziej świadomych środowiskach społecznych. Intuicyjnie tkwi w całych narodach. Ale do jego wyzwolenia potrzebna jest, poza zmianą warunków politycznych, wiedza o faktach. Ta wiedza jest rzeczą najważniejszą, jaką emigracja polityczna może dawać krajowi.

Główne zadanie polega na tym, żeby przeszkadzać w wychowywaniu „neandertalczyków”, ludzi wiedzących tylko to, co im do wiadomości podano. Trzeba zaś kształtować ludzi świadomych siebie i otaczającej ich rzeczywistości, mających rozeznanie warunków w różnych częściach podzielonego świata.

Ta garść uwag spisanych pośpiesznie, gdy nadarzyła się „pewna” okazja przekazania ich na Zachód, nie wyczerpuje z pewnością obrazu spraw polskich, ale mam nadzieję że będzie pomocna w poważniejszej dyskusji o Kraju.

Roman JAROSŁAWSKI

## Straty kultury polskiej

### Paweł Jasienica

Wiadomość o śmierci Pawła Jasienicy obiegła emigrację błyskawicznie. W tych dniach nasze rozmowy skupiały się na osobie zmarłego. Zgon ten przedwczesny, niepotrzebny, przynębił nas wszystkich, zarówno tych, co na obcej ziemi od 1939 roku, jak i żołnierzy Polski Podziemnej. Tych którzy przeciwko zniewoleniu Polski walczyli od początku, jak i tych, którzy do niedawna „Polskę Ludową” budowali. Nie było nic z kurtuazji, nakazującej mówić o zmarłych dobrze lub wcale. Każdy z nas czytał Jasienicę, jego książki i polemiki. Wpływał na nas. Wszyscy mamy w stosunku do niego zobowiązania, każdy z nas jest w większym lub mniejszym stopniu jego uczniem.

Jeśli zważymy, że władze PRL starały się zohydzić Jasienicę w sposób dosłownie goebbelsowski, to ten powszechny szacunek dla zmarłego nabierze jeszcze głębszego sensu. Jasienica stał się w dniach żałoby klamrą spinającą nasze uczucia. A rzecz to niełatwa zjednoczyć emigrację polityczną! Piszę o emigracji, bo tę obserwowałem. Mam wszelkie podstawy sądzić, że reakcja kraju nie różni się od naszej, wygnańczej.

W smutnych naszych dyskusjach był i szacunek dla wielkiego dzieła człowieka, który był nauczycielem, żołnierzem, publicystą, literatem, popularyzatorem wiedzy, uczonym-badaczem, politykiem, jak i refleksja nad tragicznymi losami Polski i Polaków, których egzemplifikacją jest życiorys Lecha Beynara. W 1922 roku Adam Skwarczyński pisał: „U nas... jednostki i zespoły heroiczne w 100% oddawały siebie na 'ofiarny stos' i zmuszone były — a długo jeszcze będą zmuszone — wielokroć w życiu porzucić swój 'dom'-materialny, doktrynalny, uczuciowy — i na wczorajszym kształcie swym — jak Popiel Słowackiego — postawiwszy nogę, w następnym, wyższym etapie swej drogi budować na nowo”.

To jest polskich losów przekleństwem i realnością, to jest największą komplikacją badawczą w historii, jeśli ocena ludzi

i społeczeństwa ma być uczciwą, to jest, jeśli zjawiska, ludzie, grupy społeczne mają być ocenione „miarą im właściwą” (Askenazy).

Z analizą i oceną Lecha Beynara — żywego, metrykalnego człowieka, jak i Pawła Jasienicy — pisarza i działacza poczekajmy! W tym zdaniu nie ma ucieczki przed koniecznością wartościowania ani też poddawania się insynuacjom. Nie jest to też zwrot epitaficzny. Przeciwnie. Jasienica był postacią wybitną we wszystkich przejawach swej aktywności i trzeba będzie i czasu i studiów i mozołu, by objąć i zrozumieć jego spuściznę drukowaną. A ileż to prac bez najmniejszej szansy opublikowania w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, nam nieznanych, a w których przecież osobowość autora ujawniła się w sposób pełniejszy niż w tych, które zdobyły aprobatę cenzury?

Kłopoty zaczynają się już przy próbie określenia, jakiemu wątkowi działalności nadać rangę dominującą. Sam określał się niejednokrotnie jako „literat piszący o historii”. Był niewątpliwie autentycznym pisarzem. W najszerszym, najpowszechniejszym odczuciu społecznym był jednak historykiem. Dla wielu był nawet nie tylko historykiem lubianym, najlubiejszym, ale i jedynym.

Warto zastanowić się a nawet zbadać, w czym tkwiła niesłychana poczytność prac Jasienicy. Częściowo odpowiedział na pytanie sam autor: „Jeśli dziedziny pokrewne literaturze i raz na zawsze skazane na posługiwanie się *słowem* pisanim, a nie wzorem matematycznym, jeśli dziedziny te — powtarzam — zaczęły gardzić estetyką literacką, to trudno, nie ma ratunku, ogół odwróci się plecami [...] Prawdziwa historiografia nie może, nie ma prawa wyrzekać się opisu literackiego, portretu lub plastycznego obrazu”.

To tłumaczy dużo, ale nie wszystko: czego jak czego, ale popularyzatorów historii w Polsce nie brak, a beletryzacją jej zajmują się systematycznie też pióra wybitne. Ale Jasienica był jeden!

Wydaje się, że niezależnie od wartości literackich, poczytność Jasienicy była i jest konsekwencją jego psychicznego zespolenia ze społeczeństwem. Jasienica *nie pisał tak*, jak społeczeństwo chciało, bo nie szczędził mu — obok pochwał — również i słów gorzkich, bardzo gorzkich. Pisał jednak *o tym*, o czym ono chciało wiedzieć. Podejmował realnie istniejące, niewydumane pytania. I dlatego prace jego, poświęcone czasom tak odległym, mają również walor źródła dla badaczy historii współczesnej i dla socjologów. Nie błaża to rzecz, bo wiedzą badacze, jak trudne i kontrowersyjne nawet w określeniu źródeł jest badanie społeczeństwa pozbawionego reprezentacji politycznej i elementarnych możliwości szczerego wypowiedzania się.

Można natomiast śmiało stwierdzić, że Jasienica w swej skromności obniżał wartość i rangę własnego dorobku. Bo „obraz epoki” i „portret historyczny” to nie chwyt popularyzacyjny, poddyktowany chęcią zdobycia poczytności, lecz ważny integralny element wspaniałego warsztatu naukowego i cel poznawczy. Wielełostownemu przyczynkarstwu, lękliwej intelektualnie ucieczce w

stronę dociekań nad pytaniami „których nikt nie stawia” (L. Tołstoj), analizie nie prowadzącej do syntezy przeciwstawił własne pojmowanie zadań badacza. Nie lekcewał badań cząstkowych ani też ludzi je prowadzących — czytanie jego było imponujące — ale we wszystkim to co sam pisał wnosił ducha syntezy. Była to potrzeba psychiczna, choć miał świadomość przemijalności syntez. Tej syntezie służył m.in. obraz przeszłości, obraz jako rekonstrukcja, odwrócenie i kontynuacja zabiegów analitycznych.

Nie mogę przypomnieć sobie, czy Jasienica wypowiadał się sam na ten temat, ale z lektury zarówno prac naukowych jak i publicystyczno-politycznych wypływa wniosek, że najbliższą mu była wielka „szkoła krakowska” a nade wszystko jej filar, Michał Bobrzyński. Ze szkołą tą łączyło go rozmiłowanie w dobrym piarstwie, krytycyzm w stosunku do przywar własnego społeczeństwa, zrozumienie dla roli kwestii narodowej w Polsce i tej części Europy, niechęć do wszelkiego rodzaju nacjonalizmów. Podobnie jak Bobrzyński, wysoko cenił rolę (pozytywną lub negatywną) wodzów i władców, rolę dyscypliny społecznej. W myśli i działaniu mądrych a energicznych sterników widział ważny, jeśli nie najważniejszy element postępu, rozwoju, siły państwa.

Ta część poglądów budziła najczęściej krytyki ze strony naukowców, była zresztą najłatwiej podważalna. Myślę, że z czasem znajdują się i inne luki badawcze. Każde pokolenie pisze bowiem na nowo swą przeszłość. Przypuszczać należy, że wpływ Jasienicy na badaczy, dostrzegalny już obecnie, z biegiem czasu będzie się jednak pogłębiał. Lepiej zostanie doceniony nowy, przez innych pomijany, a przez Jasienicę wprowadzony do nauki materiał źródłowy, inspiracje nowych regionów badań. Zresztą, już teraz, znajdując się zawsze poza nauką przytwierdzoną do katedr i instytutów, oddziaływał na naukowców wysuwaniem problemów, przed nim nie dostrzeganych.

I jeśli nawet przesadnie oceniał rolę królów, to np. w rozważaniach nad źródłami klęski wrzesniowej, odpowiedzialność jak i możliwości Rządu Polskiego w 1939 roku redukował do granic właściwych, sensownych, naukowych, w czym też był prekursorem, różniącym się zarówno od apologetów jak i oskarżycieli.

Konfiskując prace Jasienicy, wycofując je z obiegu księgarskiego i z bibliotek, władzy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej postąpili jak Xerxes, który kazał wychłostać morze. Zabieg beznadziejny, okrywający śmiesznością, choć zaspakajający, być może, potrzebę upajania się władzą.

W tych dniach sięgnęłam raz jeszcze po dostępne mi prace Jasienicy. Potwierdziło się kiełkujące wcześniej przeświadczenie, że jak wybitnym by nie był dziejopisarz, to ponad sprawy mionione stawał sprawy żywych ludzi, że nawet jako historyk miał zawsze przed oczyma swoich współczesnych. Dla nich rekonstruo-

wał przeszłość, na nich usiłowywał wpływać poprzez wzorce historyczne.

I tu był kontynuatorem wielkich wzorów polityków-uczonych, którzy pozbawieni możliwości działania politycznego i mówienia wprost, zwracali się do społeczeństwa poprzez analogie historyczne. Pod tym względem sytuacja w Polsce Ludowej nie była i nie jest lepsza niż w czasach niewoli. Może nawet gorsza, bo trójzaborowość dawała często możliwość uniknięcia łapy cenzury.

Jasienica często cytował wysoko przezeń ceniony „Poemat dla dorosłych” Adama Ważyka: „Kiedy nie chcemy mówić wprost o ziemi / wtedy mówimy, niebo nie jest puste”. Historia była dlań zastosowaniem się do reguły gry, nie przezeń narzuconej.

Pawła Jasienicę zobaczyłem po raz pierwszy u schyłku 1947 roku lub na początku 1948, w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego, w czasie jakiegoś publicznego wykładu, zorganizowanego bodajże przez jedno z istniejących jeszcze podówczas studenckich stowarzyszeń katolickich. Było to zaledwie kilka miesięcy po wyjściu Jasienicy z więzienia. Przez te miesiące, pisując w *Tygodniku Powszechnym* zdobył sobie autorytet jednego z czołowych polskich niezależnych publicystów. Przypuszczano, że przemawiając, nie skrupowany cenzurą przewencyjną, wystąpi krytycznie w stosunku do ustroju. Młodzież przybyła tłumnie. Jasienica zaskoczył niewtajemniczonych, do których i ja należałem. Przemawiając akcentował słuszność i nieodzowność reform społecznych, dokonanych w Polsce.

Historycy i publicyści, zajmujący się dziejami Polski powojennej, na ogół nie doceniają roli, jaką w stabilizowaniu się obcą siłą przeciw narzuconemu ustrojowi odegrało poparcie udzielone nowemu ustrojowi przez czołowych polskich intelektualistów. Rzeczywistość miała się zupełnie inaczej, niż przedstawił to Gomułka w antyinteligentnym przemówieniu pogromowym w dniu 19 marca 1968 roku. Niesposób nie docenić wpływu, jaki na społeczeństwo wywierało znalezienie się po stronie „Polski Ludowej” ludzi cieszących się takim szacunkiem jak Tadeusz Kotarbiński, Stanisław i Maria Ossowsky, Konstanty i Stefan Grzybowski, Maria Dąbrowska i jej mąż Stanisław Stempowski, „czcigodny” masonerii, przyjaciel Piłsudskiego. A są to nazwiska wybrane na chybił-trafił...

Dlaczego ludzie ci poparli nowy ustrój lub nawet wręcz się weń zaangażowali? Próby tłumaczenia tego zjawiska oportunistycznym, koniunkturalizmem, interesem czy też nawet koniecznością przystosowania się do realnych warunków, próby dość często spotykane zarówno z „lewa” jak i z „prawa” nie zawsze są słuszne. Te czynniki istniały i działały w „masie” ale nie mogły odgrywać roli określającej u ludzi tego kalibru intelektualnego i... etycznego.

Jasienica do tej plejady przed wojną nie należał, ale od razu wszedł do niej. Szybko zdobył powszechne uznanie. W jego ów-



czesnych publikacjach można znaleźć bezosobową lecz szczerą motywację zajętogo stanowiska. Dużą więc rolę odgrywało ciśnienie II wojny światowej i czynnik geopolityczny, przeświadczenie o konieczności znalezienia *modus vivendi* z Rosją i zabezpieczenia się przed Niemcami, wiara, że nowy rząd, nie posiadający co prawda mandatu przyzwolenia społecznego, dokona tego, czego nie potrafiły dokonać rządy poprzednie, opierające się o wolę społeczeństwa.

Wielką rolę w formowaniu się ówczesnego światopoglądu Jasienicy odgrywał „kres moralności mieszczańskiej”, czyli przeświadczenie, że faszyzm i hitleryzm są logiczną, prawidłową konsekwencją moralności burżuazyjnej w jej nawet najlepszym wydaniu.

Niemalą — świadomość ostrości problemów w Polsce lat międzywojennych, problemów narodowych, gospodarczych, społecznych. Widział nadzieję w socjalizmie. Pisał:

„Nie wystarczy wymagać od człowieka, by nie kradł, nie kłamał, nie oszukiwał, nie upijał się i kochał rodzinę. Nie wystarczy ogólnikowy nakaz miłości bliźniego, bez zakazu napychania trzosa na jego koszt i uzurpowania sobie władzy nad nim. Trzeba jeszcze rzeczy bez porównania trudniejszych do osiągnięcia niż osobista uczciwość. A mianowicie: poświęcenia i pracy nad przebudową świata w myśl jasno sprecyzowanych zasad, które nie pozostawiają miejsca na wątpliwości i głoszą, że w pełni moralny jest jedynie ten człowiek, który nienawidzi imperializmu i walczy z nim, jak tylko może. Który nie uznaje prawa do posiadania prywatnych bogactw, za nędzny grosz wydzieranych przyrodzie przez dłonie kolorowe lub białe. Który wyznaje internacjonalizm, to znaczy kocha własną ojczyznę, lecz nie żąda dla niej przywilejów większych niż te, jakie mieć powinien każdy kraj na świecie i swoich uczuć względem ludzkości nie reguluje granicznym szlabanem. Przyjęcie tych zasad jest konieczne, jeżeli nie chcemy znowu oglądać 'fenomenów', polegających na tym, że ludzie uczciwi i nawet dobrzy, od czasu do czasu organizują rzezie i tępą członków innych narodowości niezłym plugawym robactwem”.

Cóż, czyta się te słowa obecnie z lekkim zażenowaniem: Jakież piękne ideały i ileż w nich naiwnej wiary! Jak daleko odszedł ustrój od komunistycznych rojeń! Ale nie zapominajmy, że było to pisane krótko po największym wstrząsie etycznym jaki przeżyła Europa, a słowa te pisał Jasienica na marginesie pamiętników Rudolfa Hoessa, komendanta największej „fabryki śmierci”. Nie tracmy również z pola widzenia i tego, że w dalszym ciągu są to ideały ludzi, którzy — naiwnie lub nie (przedmiot odrębnych dyskusji), walczą o socjalizm z ludzką twarzą!

Jasienica pisał te słowa z autentycznym wewnętrznym przeświadczeniem. Był socjalistą. Był nim w odróżnieniu od ludzi rządzących krajem, dla których ideologia przez się głoszona była tylko frazesem, dogodnym narzędziem realizacji celów, które — z perspektywy lat — tylko z dużą dozą sarkazmu można określić jako socjalistyczne. I dlatego m.in. przytoczyłem ten duży fragment, bo w nim zawierają się również i źródła późniejszego rozminięcia się z reżymem i coraz pełniejszego mu przeciwstawienia.

Lata 1947-1956 to okres wielkiej aktywności publicystycznej Jasienicy. Nawet w czasie „wielkiej posuchy w dziejach publicystyki polskiej” — jak określał okres lat 1950-1953 pisał rzeczy ważne i ciekawe. Pisząc o problemie niemieckim przeciwstawiał się urzędowemu szowinizmowi ideologii PRL („Istnieje zwyczaj przypisywania (hitleryzmu — J.L.) przede wszystkim szczególnym nacjonalistycznym i grabieżczym tradycjom narodu niemieckiego. Ośmielam się podać tę tezę w wątpliwość a nawet uważać ją za całkiem niesłuszną”).

Głęboko religijny, widział konieczność rewizji chrześcijańskich norm moralnych („Etyka żadnego z chrześcijańskich systemów nie zezwala na takie rzeczy jak Oświęcim, który właśnie zorganizowany został przez chrześcijan”).

Pisał o konieczności przewycięzania przeszłości i złych tradycji, o potrzebie układania stosunków z sąsiednimi narodami na nowych, lepszych zasadach (a przy okazji rehabilitował Piłsudskiego i piłsudczyków z zarzutu nacjonalizmu i ustawiał koncepcję federalną jako ostatnią polską koncepcję z szerokim rozmachem).

Popularyzował naukę i uczonych, piętnował biurokrację, walczył przeciwko emigracyjnej zaściankowości. Czytając dziś jego potyczki widzi się również jak pod płaszczykiem polemiki popularyzował słabo wówczas docierającą do kraju *Kulturę*.

Jasienica — jak wówczas mówiono — włączył się. Ale ciekawe, że nigdy nie stopił się w jedno z partyjną i bezpartyjną pospolitą ówczesnej publicystyki. Był i pozostawał sobą, osobowością. Nie mogąc uzmysłwić sobie, jaki układ stosunków łączył go z organizacjami inteligencji katolickiej. Bodajże gdzieś należał, kogoś gdzieś reprezentował. Ale w odczuciu publicznym reprezentował przede wszystkim siebie. Był więc egzemplifikacją specyficznego polskiego zjawiska, dostrzeżonego ongiś przez Wacława Nałkowskiego, człowiekiem-instytucją. I takim pozostał do końca.

W stosunku do ustroju stawał się coraz bardziej krytyczny. Ale podobnie jak inni, przez długie lata wierzył w możliwość odrzucenia balastu stalinizmu i ocalenia żywej treści socjalizmu. Wierzył w wartość i celowość podejmowanego w tym kierunku wysiłku, toczonych walk. W pamięci pokolenia dla którego „Październik” 1956 roku pozostaje najpiękniejszą „wiosną w życiu” tkwią jego najlepsze artykuły z 1955 i 1956 roku, publikowane w *Po Prostu*, *Przeglądzie Kulturalnym*, *Nowej Kulturze*, a zwłaszcza ten, najbardziej chyba ważki, w którym żądał przywrócenia kontroli społeczeństwa nad rządem i administracją terenową i domagał się przywrócenia parlamentaryzmu. I jeśli w październiku 1956 roku coś z tego dokonało się i sejm zaczął odgrywać rolę nieznaną w innych państwach dyktatury sprawowanej „na modłę sowiecką”, wielka w tym zasługa Jasienicy. Jasienica dobrze zastąpił się „polskiemu październikowi”. Niemalą to rzecz! Mimo radykalnego zniszczenia październikowego dorobku politycznego, wytworzyła się głęboka, o wiele trudniejsza do zniszczenia tradycja,

która ożywia i będzie ożywiać coraz to nowe zastępy bojowników o wolność i — nie wstydzmy się tego słowa — socjalizm.

Ale bardzo szybko okazało się, że zdobycze tego okresu były połowiczne i kruche i nietrwałe. „Polski październik” został wprowadzony do „VIII plenum KC PZPR” a szybko i ono stało się czymś wstydlivym, przeżyтым, niebezpiecznym.

Narastający i pogłębiający się od jesieni 1957 roku konflikt społeczeństwa z rządem stał się szczególnie głęboki w warstwach intelektualnych. W opozycji stopniowo znalazła się cała polska elita intelektualna. Różne były i są rodzaje tej opozycyjności, ale poza nielicznymi karierowiczami nikt w polskim świecie intelektualnym już z celami i metodami ustroju nie utożsamia. Proces ciągnący się latami znalazł swoje uwieńczenie w okresie między marcem a sierpniem 1968 roku.

Odchodzenie ludzi ideowych reżym kompensował pozyskiwaniem karierowiczów i ludzi bez zasad. Zwyczajny proces tezauryzacji. Ale wraz z tym proces robaczywienia ustroju przyspieszał się.

W 1968 roku, w czasie najgorętszej hecy przeciwko intelektualistom, prasa krajowa, zadawała demagogiczne pytania, dlaczego intelektualności popierali reżym za czasów Bieruta, są natomiast w opozycji w stosunku do bardziej przecież miękkiych metod Gomułki i Moczara? Odpowiedź na to pytanie jest stosunkowo prosta: W latach wcześniejszych można było się łudzić, bo podówczas mimo zwyrodnień ustroj czegoś dokonał, co było lub zdawało się być ważne, natomiast w latach późniejszych ujawniła się stagnacja ideologii, galwanizowanej zabiegami wręcz wstecznymi.

Jasno sprecyzowane zasady, o których pisał Jasienica, okazały się bluffem. I mętne, i prowadziły zgoła nie do tego celu, o jaki chodziło. Urzędowy optymizm nie pozwalał na wątpliwości, ale wszystko w tym ustroju stawało się zwątpieniem.



Ostatnie lata życia Jasienica poświęcił nauce. W tym czasie powstały dzieła przesądające o trwałym dorobku życia. O rezonansie społecznym tych dzieł pisałem już we wstępie niniejszego artykułu. Dodam tylko jedno, o czym mniej wiadomo: istniały podówczas próby wykorzystania wielkiej poczytności Jasienicy i równie wielkiego jego autorytetu w społeczeństwie w interesie władzy. Niektóre tezy „Polski Piastów” i „Polski Jagiellonów” dałyby się zaadoptować do i tak heterogenicznej, niezespólonej ideologii PZPR.

Na przeszkodzie podobnemu nadużyciu stanął sam autor. M.in. jako autor i sygnatariusz historycznego już listu „trzydziestu czterech” intelektualistów polskich z 1964 roku w obronie interesów kultury polskiej. Jeszcze bardziej zdecydowanie poprzez przemówienie na nadzwyczajnym zebraniu warszawskich literatów w dniu 29 lutego 1968 roku. Przypomnijmy to zebranie.

Zostało ono zwołane na spontaniczne żądanie 233 warszawskich literatów, zaniepokojonych wysoce podejrzaną akcją władz, które w niecodzienny sposób zdjęły z afisza przedstawienie mickiewiczowskich „Dziadów” w Teatrze Polskim oraz zorganizowały prześladowania studentów za rzecz tak niewinną, jak oklaski na przedstawieniu i złożenie kwiatów pod pomnikiem Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu. W powietrzu unosił się zapach dużej prowokacji. Jej planowany przebieg był jeszcze nieznanym, ale najogólniejsze cele i kierunki staku były znane aż nazbyt dobrze. Zebranie pisarzy przebiegało w gorącej atmosferze. Potwierdziło ono, że „władze” mogą liczyć tylko na poparcie kreatur, niewiele mających wspólnego z literaturą.

Przemówienie Pawła Jasienicy zostało ocenione przez władze jako główne i takie było w rzeczywistości, gdyż Jasienica nie zadowalając się krytyką objawów, sięgnął do źródeł istniejącego stanu rzeczy.

Nie byłem na zebraniu, nie dysponuję też stenogramem dyskusji, lecz treść przemówienia Jasienicy znam z kilku zgodnych relacji uczestników zebrania.

Jasienica podobnie jak i inni mówcy potępił postępowanie władz i deklaruował się po stronie prześladowanych studentów. Ale szedł dalej... Wracając do swych postulatów z 1956 roku, postulatów kontroli społeczeństwa nad działalnością rządu i administracji. Stwierdzał, że rząd obecny nie jest emanacją społeczeństwa i nie chce nią być. W ten sposób dotknął najczulszego miejsca dyktatury biurokracji partyjnej. I jako replikę Jasienicy trzeba traktować przyznanie się Gomułki na słynnym wiecu aktywu w dniu 19 marca 1968 roku do sprawowania rządów uzurpatorskich.

Jasienica powiedział, że rząd i administracja stały się domeną karierowiczów i zatraciły resztki ideowości. Dlatego też władza nie może się zgodzić na jakąkolwiek kontrolę społeczeństwa nad sobą. To są logiczne, nawzajem wspierające się i z siebie wynikające konkluzje. Stąd również nieuchronność dławienia zarówno praw obywatelskich jak i kultury narodowej.

Podkreślił rolę, jaką w projektowanej prowokacji odgrywało szcucie na Żydów. Jasienica występował przeciwko antysemityzmowi w dwóch płaszczyznach — zarówno przeciwko szczególnej formie nienawistnego mu nacjonalizmu jak i przeciwko akcji, świadomie dla Polski szkodliwej. Jako historyk stwierdzał, że „nikt nie może gorzej zaszkodzić naszemu narodowi, niż wytworzeniem na zewnątrz przeświadczenia, że jest antysemitki”.

Ludzie zbierający się, przemawiający, uchwalający rezolucje mieli świadomość własnej bezradności. Podejmowali walkę ze świadomością przegranej, ale w przeświadczeniu, że podjąć ją muszą. Walczono o zachowanie szacunku dla samych siebie, wiary w powołanie intelektualisty i celowości uprawiania kultury. Przemawiano i podejmowano rezolucje — to brzmi patetycznie, ale tak było doprawdy — dla historii, dla przyszłych pokoleń.

W Polsce wystąpienie dla historii nie jest pozbawione sensu, świadomość tego istnieje nie tylko wśród dzięjopisarzy, ale i wśród rządzących. Przemówienia nie zatrzymały kolumn policyjnych, szczucia przeciwko Żydom, bicia, aresztowań, oszczerstw. Przeciwnie, nawet chyba rozwścieczyły policjantów. Ale uniemożliwiły Gomułce i Moczarowi występowanie w roli suwerennych przedstawicieli narodu. I ten cel intelektualści w znacznym stopniu osiągnęli.

Trudno jest ocenić, jaki był rezonans postawy intelektualistów w tzw. masach. Nie ulega wątpliwości, że wydarzenia wiosny 1968 roku były policyjną prowokacją. Ale jest faktem sprawdzonym, że ogólnokrajowy rozmach protestacyjnej akcji studenckiej i jej rezonans wśród robotników, dużo słabszy niż liczyli studenci, ale o wiele szerszy niż przypuszczał Moczar i Kępa, przeraził aparat i na krótko scementował dość zdezorganizowany na ogół aparat władzy.

Jasienica stał się jednym z najostrzej atakowanych intelektualistów. Może nawet najostrzej, zważywszy zaciekłość rzuconych nań insynuacji. W ślad za Gomułką w szranki stanęły gazety centralne i terenowe. Szczególną aktywność rozwinęła prasa wojskowa. Zgromadzone razem opluwające Jasienicę artykuły złożyłyby się na całkiem pokaźny tom.

Nastąpiły dwa najtrudniejsze lata w życiu Jasienicy. Oczekiwał aresztowania i rozprawy fizycznej — Stefana Kisielewskiego przecież „nieznani sprawcy” pobili. Uniknął aresztowania ukrywając się. Gorsza oczywiście od niewygód fizycznych i od niemożliwości wydania przygotowanej pracy była niemożliwość odparcia oszczerstw. Bo przed jaki trybunał można wnieść skargę na I sekretarza PZPR, w dodatku „działającego w interesie publicznym”?

Wydarzenia ostatnich dwóch lat podcięły zdrowie Jasienicy i przyspieszyły zgon. Śmierć i pogrzeb były otoczone tajemnicą, by nie dopuścić do manifestacji publicznej. Ale i tak ostatni hołd na cmentarzu powązkowskim Leonowi Lechowi Beynarowi — Pawłowi Jasienicy złożyło to co Polska ma najlepszego: wielcy pisarze i młodzież.

Zakończyło się życie pełne pasji, dążeń, rozczarowań i nowych poszukiwań. Takie jak losy Polski i Polaków. Ale z tych błędzeń rodziła się i rodzi niepowtarzalna wielkość kultury polskiej.

Życie Jasienicy — temat godny wielkiej literatury. Wybaczenie autorowi artykułu, jeśli wielkiego dramatu tego życia nie potrafił należycie przedstawić.

*Józef LEWANDOWSKI*

## O raliqii baz namaszczania

### W poszukiwaniu księdza polonijnego

Od dłuższego czasu jesteśmy świadkami sporu w prasie polonijnej na temat księży przybywających z Kraju i ich postawy wobec władz reżymu warszawskiego. Ukuto nawet nowy termin, który określa księdza z Polski jako księdza-paszportowca. W celu właściwej oceny zaistniałego sporu odnośnie roli i postawy duchowieństwa polskiego na emigracji należałoby uświadomić sobie zadania i funkcję duszpasterstwa migracyjnego w świetle nowych potrzeb polskiej migracji powojennej.

Wierni słusznie oczekują od swoich księży migracyjnych solidarności i zrozumienia spraw, które stały się powodem przebywania ich na wychodźstwie. Sprawa wspólnego języka i zrozumienia między księżmi i wiernymi na migracji była do niedawna jeszcze zadawalająca, a to ze względu na dostateczną ilość kapłanów, którzy jako dawniejsi kapelani wojskowi z okresu ostatniej wojny światowej zostali za granicą, dzieląc los wygnańczy, jako duszpasterze migracyjni. Obecnie jednak, kiedy starsza generacja księży migracyjnych jest na wymarciu, sprawa właściwego zrozumienia migrantów polskich nabiera szczególnego znaczenia i wymaga czujności przy rekrutacji nowego narybku księży migracyjnych. Z powodu braku dostatecznej ilości księży wychowanych i wyświęconych na migracji, ustępująca starsza generacja duchowieństwa polonijnego musi z konieczności zostać zastąpiona młodym pokoleniem księży, wychowanych już w Polsce Ludowej. Stoimy zatem przed trudnym problemem do rozwiązania, a mianowicie, co należy zrobić aby księża przybywający z Polski na pracę duszpasterską wśród Polonii rzeczywiście wypełnili swoje obowiązki wobec społeczności migracyjnej, zarówno jako kapłani i Polacy? Niniejszy artykuł niech będzie jedynie zarysowaniem i zapoczątkowaniem szerszej dyskusji na ten temat, który w prze-

konaniu autora jest obecnie jednym z palących zagadnień dla Polonii.

### *O złożoności problematyki polonijnej*

Specyficzny charakter powołania kapłańskiego stawia duszpasterza migracyjnego w sytuację nieraz bardzo kłopotliwą, a mianowicie, czy być tylko szafarzem sakramentów i ograniczyć swoją działalność społeczną do załatwiania spraw w biurze parafialnym, czy też wyjść na zewnątrz, do środowiska, i czynnie zaangażować się w całość życia kulturalnego swoich wiernych. Dylemat ten, choć w zasadzie pozorny, jest jednak niekiedy — ze względu na fakt istnienia na emigracji środowisk wewnętrznie rozdartych i wzajemnie skłóconych — aż nazbyt oczywisty i aktualny. I wówczas przed duszpasterzem migracyjnym powstaje pytanie: jakie ma zająć stanowisko, aby bez sprzeciwiania się swojemu zasadniczemu powołaniu, jakim jest głoszenie ewangelii światu, wypełnić zadania społeczne swojego posłannictwa w całej pełni?

W celu właściwego pojmowania działalności społeczno-religijnej księdza na emigracji należy wprawdzie zastanowić się nad specyficznością pracy duszpasterskiej wśród ludności migracyjnej, która to praca z racji odmienności środowiska społecznego jest zupełnie inna niż w kraju pochodzenia migrantów. W związku z tym ludność migracyjna żyje zupełnie inną problematyką, a ocena spraw kraju ich pochodzenia z konieczności nabiera odmiennego znaczenia. O rozbieżności problematyki w dziedzinie życia religijnego można przekonać się choćby ze sposobu realizowania uchwał Soboru Watykańskiego II w kraju i na emigracji.

Życie religijne w obecnej Polsce nadal znajduje się na etapie katolicyzmu folkloru. Społeczna aktywność życia religijnego wiernych w Kraju nadal sprowadza się do urządzania pielgrzymek, udziału w procesjach teoforycznych, obnoszenia obrazów i feronów oraz manifestacji uczuć narodowościowo-religijnych w czasie obchodów rocznic dziejowych. I mimo masowego udziału wiernych w nabożeństwach kościelnych i praktykach religijnych, reformy Kościoła Posoborowego z największą trudnością docierają do życia parafii polskiej. Dotychczas wprowadzane zmiany w liturgii dotyczą jedynie drobnych spraw i zależą w zupełności od pomysłowości poszczególnych księży w Kraju. Nowa liturgia mszalna ma zaś być ostatecznie wprowadzona do parafii polskich z pierwszą niedzielą Adwentu br., co stanowi końcowy termin wyznaczony przez Stolicę Apostolską.

Zaistniała wprost paradoksalna sytuacja. Episkopat polski autoryzował w całej pełni reformy liturgiczne dla parafii polonijnych, z równoczesnym ograniczeniem ich realizacji w Polsce. Prymas Wyszyński oświadczył nawet, że reformy Soborowe są zbyt ciężkie dla wiernych w Polsce. Nic dziwnego, że w tej sytuacji księża przybywający z Polski Ludowej nie zawsze są dostatecznie

przygotowani do pracy duszpasterskiej wśród Polonii. Próby zaś wprowadzania metod oddziaływania duszpasterskiego z Polski do parafii polonijnych kończyły się zazwyczaj niepowodzeniem, jak np. nawiedzanie kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej wśród parafii polonijnych w Ameryce Północnej.

Rozbieżności w podejściu do spraw narodowościowo-religijnych nie dotyczą jedynie spraw kraju pochodzenia, ale powstają one również z racji odmienności warunków życia w kraju pobytu migrantów. I dlatego, uwzględniając odmienny charakter życia społecznego w poszczególnych krajach, trudno spodziewać się jednolitości w życiu polonijnym, i oczekiwać jednakowego podejścia do spraw polskich. Na złożony charakter społeczności polonijnej na świecie wpływa cały szereg czynników, między innymi położenie geograficzne i rozłożenie ludnościowe. Polonia na obszarach o wielkim zagęszczeniu Polaków odznacza się w życiu społeczno-kulturalnym większą zwartością, niż w krajach gdzie, poza nielicznymi wyjątkami, Polacy żyją w znikomej liczbie i rozproszeniu.

W zależności od miejsca pobytu i stopnia zagęszczenia migracji polskiej, powstają w poszczególnych krajach świata różnorodne typy społeczności polonijnej o zupełnie odmiennym obliczu i charakterze narodowościowym. W rezultacie Polak na migracji przestaje być tym samym Polakiem jaki żyje i przebywa w Polsce. Na emigracji powstaje nowy typ Polaka o swoistym zespole i systemie wartości kultury polskiej, która rodzi się i powstaje w wyniku spotkania się z kulturą społeczności danego miejsca pobytu Polaków. W szukaniu zaś duchowej więzi z narodem polskim dana społeczność polonijna nie może ślepo naśladować stylu życia jaki panuje w Polsce. Po prostu, Polacy na emigracji muszą wypracować własny styl postępowania zgodny z warunkami miejsca pobytu. Nie można zatem nawracać Polaków na emigracji na polskość, w myśl tezy niektórych działaczy polonijnych z Kraju że Polska leży nad Wisłą i Odrą, oraz wciągać ich w rozgrywki polityczne Polski Ludowej. Zresztą życie kulturalne ma to do siebie, że jego żywotność może być owocodajna niezależnie od miejsca pochodzenia. Na tej podstawie Polonie w poszczególnych krajach zaopłodnione różnymi elementami kulturotwórczymi mogą wytwarzać zupełnie nowe typy kultury polskiej. A więc, z jednej strony chodziłoby o dobrze pojętą uniwersalizację kultury polskiej, a z drugiej strony o właściwie pojętą „polonizację” kultury innych narodów. Ten dwojaki ruch „polonizacyjny” ma się odbywać w duchu dobrze pojętej integracji społeczno-kulturalnej.

Różnorodność społeczeństwa polonijnego w świecie, wymaga od księży przybywających z Polski nowego spojrzenia na rzeczywistość polskiej emigracji. Zbyt kurczowe trzymanie się metod duszpasterstwa polskiego z Kraju prowadziło nieraz do powstawania swoistego getta religijnego i tworzenia małych kolonii polskich w krajach pobytu. Historia katolicyzmu polskiego w Sta-

nach Zjednoczonych dostarcza pod tym względem wiele smutnych przykładów.

*Sytuacja Kościoła w Polsce a neutralność polityczna księży-paszportowców*

Sytuacja migracyjna wymaga nowego spojrzenia na sprawy narodowościowe i etniczne. Pluralistyczne nastawienie dzisiejszego człowieka sprzyja w zasadzie pielęgnowaniu poczucia odrębności poszczególnych grup etnicznych, ale ten fakt nie może zagrażać jedności i wspólnocie całego społeczeństwa danego kraju. Pluralizm nowoczesnego społeczeństwa musi cechować nastawienie uniwersalistyczne i dążyć ku dobru całej społeczności.

Uniwersalistyczne nastawienie na sprawy narodowościowe i etniczne wymaga od duszpasterza migracyjnego głębokiego szacunku i poszanowania odrębności poszczególnych grup społecznych; jego pracę winien cechować duch tolerancji. Paternalizm dawnego kleru polonijnego i partykularne tendencje dawniejszych działaczy polonijnych należą do przeszłości.

Zasada tolerancji nie odnosi się jednak tylko do spraw czysto religijnych, ale obejmuje wszystkie dziedziny życia danej społeczności migracyjnej. Przyczyny bowiem ruchu migracyjnego są różnorodne, a proces krystalizacji różnych postaw społeczności migracyjnych w obrębie nawet tej samej grupy etnicznej, zależy od rozmaitego sposobu *przeżywania sytuacji migracyjnej* przez członków danej społeczności. W społeczności polonijnej napotykamy szereg osób, które chociaż faktycznie żyją stale za granicą, to jednak duchowo nadal przebywają w Polsce. Taki sposób „przebywania” za granicą nie jest jednak typowy dla wszystkich członków Polonii, a głównie reprezentuje tych, dla których pobyt za granicą nie był aktem dobrowolnego wyboru, lecz wynikiem konieczności życiowych czy też aktem politycznego sprzeciwu. Grupa migrantów polskich o takim nastawieniu tworzy siłą faktu migrację sezonową, która pobyt za granicą traktuje czasowo, a sprawy Kraju za istotne i zasadnicze. Nic dziwnego, że działalność tej części społeczności polonijnej jest zupełnie nastawiona na Polskę.

Większość społeczeństwa polonijnego nie traktuje jednak swego pobytu za granicą za przypadkowy czy przejściowy, ale za stały i istotny fakt ich życia. Dla nich sprawy Polski są wyłącznie częścią ich pochodzenia narodowościowego i tradycji rodzinnej. Konsekwentnie, ocena i ustosunkowanie się tej części Polonii na sprawy sytuacji politycznej Polski nabiera innego znaczenia i w dużej mierze zależy od panujących nastrojów polityki światowej w określonym kraju. Ciekawym przykładem pod tym względem może być Kongres Polonii Amerykańskiej, który z organizacji politycznej staje się coraz bardziej organizacją społeczno-kulturalną. Nie do rzadkości należą fakty, że wielu czołowych działaczy K.P.A. utrzymuje stałe kontakty z władzami reżymowymi i kocietuje przedstawicieli komunizmu.

Obecny reżym warszawski zdaje sobie doskonale sprawę z doniosłości faktu zróżnicowania Polonii wobec problematyki narodowościowej i próbuje wykorzystać brak jedności społeczeństwa polonijnego dla własnych celów politycznych. Głównym celem propagandy reżymowej wśród Polonii Zagranicznej jest wmówienie wszystkim, że obecna Polska Ludowa z całą aparaturą rządu komunistycznego w Warszawie jest integralną częścią całego narodu polskiego. W rzeczywistości chodzi o to, aby przez zjednanie sobie opinii starszej generacji Polonii wyeliminować rolę migracji politycznej, i podminować zaufanie w słuszność prowadzenia polityki niepodległościowej przez Polaków za granicą.

W tej sytuacji rola księdza polskiego na emigracji okazała się dla władz reżymu warszawskiego niezwykle doniosłości. Dawniejsza metoda udzielania paszportów wyłącznie księżom-patriotom zupełnie zawiodła zarówno ze względu na małą liczbę kandydatów, jak i na dość szybkie zdyskredytowanie ich działalności przez społeczność polonijną. Zaistniała konieczność rozluźnienia dawnych ostrych przepisów paszportowych i ustanowienia nowych norm oceny zdadności kandydatów na wyjazd. W tym celu władze paszportowe urządzają dla księży wyjeżdżających za granicę specjalne kursa przygotowawcze (udział w nich jest koniecznym warunkiem dla otrzymania paszportu), których zadaniem jest odpowiednie urobienie nastawienia wyjeżdżających kandydatów jeśli idzie o problematykę migracyjną, i ewentualnie zjednanie sobie ich uznania i wdzięczności za troskliwość okazaną im przez władze Polski Ludowej. Chociaż same kursa przygotowawcze nie zawierają żadnej jawnej propagandy komunistycznej, to jednak w rzeczywistości władze paszportowe zamierzają przez nie wytworzyć przekonanie, że główną troską czynników państwowych jest utrzymanie i rozwój dobrego imienia Polski za granicą. Faktycznie paszporty reżymowe mogą otrzymać wyłącznie księża politycznie nieszkodliwi, lub co najmniej neutralnie nastawieni do obecnej rzeczywistości w Kraju.

Staranny dobór kandydatów na wyjazd za granicę ma na celu odstraszenie wyjeżdżających księży od prowadzenia niezależnej działalności politycznej wśród Polonii i uspokojenie opinii publicznej odnośnie sytuacji Kościoła w Polsce. W ten sposób władze paszportowe zapewniają sobie z jednej strony konieczną kontrolę nad wyjeżdżającymi księżmi z Kraju, a z drugiej strony udaremniają im możliwość czynnego zaangażowania się w działalność polityczną, która mogłaby okazać się niezgodna z interesami władz reżymowych. Utrzymywaniu zaś księży w postawie neutralności politycznej może służyć albo terror strachu, do którego byli przyzwyczajeni w Kraju, albo odpowiednia interpretacja słów ewangelii, które potępiają praktykę wciągania religii do spraw polityki i jej rozgrywek.

Z pewnością nie potrzeba tłumaczyć szkodliwości postawy neutralności w sprawach polityki. Sytuacja Kościoła w Polsce zadaje wyraźny kłam takiemu stanowisku. Owszem, ewangelia piętnuje wciąganie spraw Bożych w rozgrywki polityki tego świa-

ta, nigdy jednak Chrystus i religia chrześcijańska nie były obojętne na sprawy polityki w ogóle.

Kościół katolicki w Polsce jest faktycznie prześladowany. I dlatego hierarchia katolicka w Polsce zmuszona była zająć wyraźne stanowisko wobec spraw polityki reżymu komunistycznego, i nie mogła pozostać obojętna na nieustanne ataki walczącego ateizmu. Propagowany obecnie dialog chrześcijan z komunistami i ateistami jest w zasadzie słuszny, ale odnośnie spraw ideologicznych i w celu uzgodnienia postaw światopoglądowych, a nie ich realizacji w życiu politycznym na co dzień. W dialogu bowiem między chrześcijanami a komunistami chodzi głównie o znalezienie wspólnego języka i wzajemnego zrozumienia, które mogłoby prowadzić do współżycia ze sobą ludzi o różnych poglądach i zapatrywaniach. Niestety, utworzenie tak pojętej koegzystencji między ludźmi o różnych postawach światopoglądowych nie jest wcale zamierzeniem komunizmu, któremu chodzi przede wszystkim o wyeliminowanie ideowego przeciwnika, względnie jego podporządkowanie. I dlatego wrogie stanowisko Prymasa i episkopatu Polski wobec rzeczywistości komunistycznej w Polsce jest nie tylko słuszne, ale stało się koniecznością dla zachowania wiary w narodzie polskim.

Stanowisko katolicyzmu polskiego wobec komunizmu i jego polityki powinno być więc jasne i wyraźne. W rzeczywistości jednak stoimy znowu przed dziwnym paradoksem i trudno zrozumiałym zjawiskiem. Stanowisko zdecydowanie wrogie wobec polityki komunistycznej w Polsce praktykowane przez duchowieństwo w Kraju, ulega na emigracji radykalnej zmianie. Księdzu, któremu grozi suspenza za utrzymywanie bliższych stosunków ze ZBOWIDem czy z takimi organizacjami jak PAX i CARITAS — z chwilą opuszczenia Kraju zabrania się dalszego kontynuowania walki z komunizmem pod płaszczykiem nie wtrącania religii do spraw rozpolitykowanej Polonii.

W sytuacji w jakiej znajduje się Kościół katolicki w Polsce, neutralność polityczna kleru byłaby nie tylko zdradą sprawy narodowej ale i zaprzepaszczeniem zasadniczych zadań posłannictwa religijnego. Każde bowiem koncesje uczynione na rzecz komunizmu są niezwłocznie wykorzystywane dla celów propagandowych, a milczenie w sprawach politycznych jest uważane za zgodę wyrażoną na rzecz panujących stosunków polskich. W ten sposób niezdecydowane stanowisko zajmowane przez niektórych księży polonijnych przyczynia się poważnie do osłabienia jedności Polonii w walce z reżymem warszawskim, i podkopuje zwartość narodową w sprawie uzyskania niepodległości przez Polskę.

Wystarczy wskazać na niektóre fakty, aby przekonać się o szkodliwości postawy neutralności politycznej kleru w życiu Polonii. Księża, którzy systematycznie usiłują wyeliminować sprawy polityczne ze swojej działalności duszpasterskiej, nieuchronnie wpadają w konflikt z własnym sumieniem z powodu niewypełniania swojej misji — obrony wiary zagrożonej nieustannie atakami komunizmu i ateizmu. Zaniedbanie zajęcia odpowiedniego

stanowiska w istotnych sprawach polityki prowadzi ich albo do wyobcowania z żywotnych problemów swoich wiernych albo przyczynia się do uspokajania opinii publicznej Polonii, jeśli idzie o położenie Kościoła katolickiego w Polsce. W ten sposób, jeżeli nie wprost, to pośrednio, postawa neutralności politycznej u księży zamienia się na kolaborację przez ułatwianie Warszawie przeprowadzenia skuteczniejszej infiltracji komunistycznej w szeregach Polonii.

Teologia moralna zna nie tylko grzechy wynikające z popełnienia niedozwolonych czynów, ale również grzechy zaniedbania, przez opuszczenie należnych obowiązków. Wystarczy, że ksiądz polonijny będzie systematycznie mówił swoim wiernym o niezależności sprawy polskiej na emigracji od stosunków panujących w Kraju, aby osłabić czujność Polonii na zakusy komunizmu. Uspakajanie opinii publicznej odnośnie niebezpieczeństwa komunizmu powoduje u członków Polonii chęć zbliżenia do Kraju i czynnego nawiązania stosunków z Polską za pośrednictwem ustalonych placówek reżymowych. Po zbliżeniu się do władz reżymowych następuje z reguły stała i wzajemna wymiana, najpierw natury społeczno-kulturalnej, a następnie ideowo-politycznej. Za przykład takiego rozwoju wypadków zbliżenia może służyć postępowanie jednego z moich znajomych księży, który nieraz publicznie chwali się że placówki konsularne Polski Ludowej pomagają mu do nawiązania stosunków z Krajem. Pragnienie przyjęcia z pomocą swoim konfratrom w Polsce zmusza owego księżulka do ubiegania się o względy moczarowców i szukania ich poparcia u *boss'ów* warszawskich. W swojej naiwności, usprawiedliwionej częściowo podeszłym wiekiem, chwalił się niejednokrotnie swoimi wpływami w Konsulacie i Ambasadzie, które ze swej strony używają jego osoby, aby przesyłać różnego rodzaju tendencyjne albumy i materiały dla rzekomego propagowania polskości wśród młodego pokolenia Polaków za granicą.

Oczywiście, nie jest to odosobniony wypadek i chociaż podobne stanowisko takiej ścisłej współpracy z władzami komunistycznymi nie jest na szczęście wśród duchowieństwa polonijnego powszechne, to jednak, ze względu na moralny autorytet księdza wśród Polaków, każdy indywidualny wypadek jest niesłychanie szkodliwy. Społeczność polonijna ma moralny obowiązek samobrony przed posługami duchowymi tego typu i powinna skutecznie się temu przeciwstawić.

#### *O specyficzności powołania do apostołstwa migracyjnego*

Odmierna sytuacja w jakiej żyje społeczność polonijna i specyficzny charakter pracy duszpasterskiej na migracji wymaga od księdza przybywającego z Polski uświadomienia sobie różnic istniejących między rodzajem pracy w Kraju i na Emigracji. Tak jak Polak na migracji nie jest już tym samym Polakiem jaki żyje i przebywa w Kraju, podobnie i ksiądz migracyjny z koniecz-

ności musi różnić się od swego konfratry w Polsce. Nie uwzględnienie tych różnic prowadzi, jak wykazuje praktyka życia codziennego, do konfliktu w sposobie traktowania spraw polskich przez poszczególnych księży.

Nie wszyscy księża przybywający z Polski zostają automatycznie księżmi polonijnymi, chociaż mieliby zamiar pracować na stałe wśród Polonii. W tym względzie zachodzą poważne przeszkody zarówno natury prawnej jak i psychologii powołania.

Z prawa kościelnego każdy ksiądz musi należeć do określonej diecezji lub zakonu. Z punktu widzenia Prawa Kanonicznego nie może być księży niezależnych czy prywatnych, krajowych czy migracyjnych. Ksiądz, który pragnie zmienić swój status i rodzaj pracy apostołskiej musi otrzymać odpowiednie pozwolenie i upoważnienie swego kościelnego przełożonego; w tym celu na przykład inkardynacja księdza do nowej diecezji jest uzależniona od otrzymania ekskardynacji od biskupa miejsca pochodzenia. W tym względzie zarówno Prymas Polski jak i jego przedstawiciele w Rzymie w osobach Biskupów Rubina i Wesołego są całkowicie uzależnieni od dobrej woli poszczególnych biskupów czy przełożonych w Polsce. Wprawdzie Prymas Wyszyński rości sobie prawo roztaczania kontroli nad wyjeżdżającymi księżmi z Polski, to jednak w rzeczywistości nie ma on żadnego upoważnienia prawnego przy planowaniu duszpasterstwa migracyjnego, oczywiście z wyjątkiem księży z własnej diecezji. W obecnej chwili jednak ze względu na panujący ruch ekumeniczny i zasadę kolegialności w Kościele, istnieje o wiele korzystniejsza sytuacja dla współpracy i możliwości bardziej racjonalnego planowania potrzebami duszpasterstwa polonijnego. Należałoby zatem apelować do wszystkich biskupów-ordynariuszy polskich, zapoznawać ich z aktualnymi potrzebami Polonii Zagranicznej oraz odwoływać się do ich poczucia współodpowiedzialności za losy braci-Polaków na wychodźstwie. Poważną rolę może tu odgrywać Komisja dla Spraw Migracji przy Sekretariacie Prymasa Polski i Centrala Duszpasterstwa dla Polonii Zagranicznej w Rzymie. Należy również podkreślić fakt wydawania w Polsce przez Towarzystwo Chrystusowe specjalnego Biuletynu Informacyjnego o Wychodźstwie Polskim dla członków Episkopatu Polski i Seminarium Duchownych w Polsce.

Kwestia zatem kto posiada tytuł Duchowego Opiekuna Polonii, czy nawet kto sprawuje urząd Przedstawiciela Duszpasterstwa Polaków Zagranicą, jest drugorzędna i dotyczy raczej spraw prestiżowych. W istocie rzeczy rozwiązanie sprawy zależy od faktycznego ustosunkowania się biskupów i księży zarówno w kraju pochodzenia jak i kraju pobytu ludności migracyjnej. Rozwój migracji polskiej wykazuje, że z wyjątkiem może Stanów Zjednoczonych, gdzie ze względu na znaczne odległości od Polski zdołano założyć pewną ilość własnych Seminarium Duchownych, duszpasterstwo polonijne w innych krajach prawie wyłącznie zależy od dopływu księży z Polski. Próby wychowania kleru polonijnego za granicą całkowicie zawiodły, a wysiłki utworzenia

specjalnych Seminarium i Kolegiów Duchownych poza granicami Polski kończyły się niepowodzeniem, względnie miały znikomy zasięg oddziaływania, jak np. działalność duszpasterska Zmartwychwstańców. Próby zaś rekrutacji powołań kapłańskich wśród Polonii były skazane na niepowodzenia, o czym może świadczyć Polskie Seminarium w Paryżu, które w okresie 25-ciu lat swego istnienia wydało jedynie 75-ciu księży, z tego jedna trzecia udała się na pracę duszpasterską do Polski.

Nieudane próby utworzenia duszpasterstwa niezależnego poza granicami Polski spowodowały, że rekrutacja księży do pracy duszpasterstwa wśród Polonii odbywała się albo zupełnie przypadkowo albo była organizowana i planowana w Polsce. W ten sposób Kraj stał się faktycznym centrum oddziaływania duszpasterskiego na całą Polonię, przy równoczesnym braku wyczulenia na złożoność problematyki migracyjnej. W rezultacie dochodziło do zabawnych nieporozumień, jak np. pisanie listów pasterskich przez niektórych członków hierarchii kościelnej do Polaków za granicą.

Główny powód niepowodzenia rekrutacji odpowiedniej ilości kapłanów do pracy migracyjnej jest jednak o wiele głębszy i dotyczy specyfiki powołania kapłańskiego. Z psychologii powołania kapłańskiego wynika, że powołanie do kapłaństwa i decyzja wyboru specyficznej działalności apostołskiej stanowią dwie różne sprawy. Tak jak wybór stanu kapłańskiego jest zupełnie dowolny, podobnie decyzja zostania księdzem migracyjnym zależy od jednostki i w niczym nie może być wymuszona.

Powołanie, ponieważ wyrasta z wewnętrznego i osobistego zapotrzebowania na sprawy Boże, pozostanie na zawsze indywidualną tajemnicą każdej poszczególnie wybranej jednostki. Podobnie powołanie do pracy apostołskiej wśród migrantów zależy od indywidualnego wyboru i polega głównie na decyzji przeżywania *sytuacji migracyjnej*. Pod tym względem powołanie na duszpasterza migracyjnego przypomina powołanie do pracy misyjnej.

Praca misyjna duszpasterstwa migracyjnego musi więc być silnie zakorzeniona w życie społeczno-kulturalne swoich wiernych. Przed duszpasterzem migracyjnym, który z natury i mocą swego powołania jest już społecznikiem, stoi nieraz wiele zadań do spełnienia: stworzenie więzi społeczno-religijnej nowoprzybyłym, utrzymanie świadomości narodowej wśród migrantów razem z przyswajaniem sobie nowych wartości kulturalno-społecznych danego kraju, skonsolidowanie wspólnego życia chrześcijańskiego i katolickiego. Tego, czego nie potrafią dokonać zorganizowane grupy działaczy społecznych, może nieraz dokonać kapłan migracyjny.

#### *Zasady i metody oddziaływania duszpasterstwa migracyjnego*

Uświadomienie sobie złożoności ruchu migracyjnego i różnorodne sposoby przeżywania sytuacji migracyjnej wymaga od

kleru przybywającego z Polski wypracowania nowych metod oddziaływania duszpasterskiego. Trwanie przy starych metodach lub ograniczenie się wyłącznie do pracy czysto religijnej, oznaczałoby zubożenie życia społecznego wiernych, co w niektórych wypadkach prowadziłoby do odejścia od właściwego powołania pracy apostołskiej. Każdy kapłan jako „z ludu wzięty i dla ludu ustawiony” musi dążyć do pielęgnowania *wszystkich wartości* swoich wiernych. Uniwersalizm nauki Chrystusowej wymaga „uchrześcijanienia” całej rzeczywistości ludzkiej. Dlatego praca duszpasterska nie może zmierzać tylko do ustanowienia „rządu dusz nieśmiertelnych”, ale musi dążyć do wychowania pełnego człowieka, na co wskazywał jeszcze Pius XII. Tak pojęta praca apostołska wśród ludności migracyjnej będzie skierowana na rozwój dobra każdego człowieka zarówno jako jednostki jak i członka danej społeczności. W tej trosce zaś musi się pozostawić migrantowi nietknięte prawa do osobistego myślenia i poczucia społecznej odpowiedzialności.

Zyjąc w okresie wielkich zmian, dokonujących się w życiu całego Kościoła, zachodzi wyjątkowa okazja przemyślenia na nowo właściwych zadań pracy religijnej wśród ludności migracyjnej. W duchu nowej wizji Kościoła Posoborowego należy odejść od ciasnego partykularyzmu dawnej parafianšczyzny i przestawić się na bardziej otwarte i szerokie podejście do problematyki życia migracyjnego. Oczywiście, powzięcie próby takiego podejścia do pracy apostołskiej jest bardzo ryzykowne i połączone bywa z wieloma niebezpieczeństwami.

W pracy apostołskiej wśród migrantów duszpasterz polonijny musi ponadto uwzględnić wszystkie charakterystyczne właściwości danej grupy społecznej. Do najbardziej zaś istotnych właściwości każdej narodowości należą różnice językowe. Język bowiem uważa się słusznie za podstawowy klucz do duszy danego narodu. Użycie więc narodowego języka ułatwi w pracy apostołskiej osobisty kontakt z daną grupą migracyjną.

Problem powiązania narodowości i języka w życiu religijnym jest problemem doniosłej wagi. Stąd też powstaje konieczność zakładania parafii narodowościowych. W obecnych czasach sprawa przemyślenia właściwej struktury życia parafialnego nabiera szczególnego znaczenia a to ze względu na konieczność utrzymania i kontynuowania wartości tradycyjnych u ludzi żyjących w ruchu migracyjnym. Pius XII pisał w tym względzie: „Należy migrantów otoczyć szczególną troską i opieką Kościoła, by podtrzymać obyczaje i nieskażoną wiarę ich ojców”. W podobnym duchu czytamy w ostatniej Instrukcji papieskiej „O Duszpasterskiej Opiece nad Migrantami”: „Migranci przynoszą ze sobą swoisty sposób myślenia, swój własny język, swoją kulturę oraz swoją religię. Wszystko to stanowi pewne duchowe dziedzictwo myśli, tradycji i kultury, oraz jako takie powinno być pielęgnowane także poza ojczyzną i doceniane jako rzeczy wielkiej wagi”.

W dziedzinie czysto ludzkiej proces integracyjny odbywa się z mniejszymi trudnościami, lecz w dziedzinie religijnej wymaga

on poważnego wysiłku, zrozumienia wiary i dobrej woli. Najnowsze ustawodawstwo kościelne, wyrażone w wyżej wspomnianej Instrukcji, ustala nowe normy postępowania apostołstwa migracyjnego i wskazuje na trzy następujące zasady: 1) zasada poszanowania dla duchowego i kulturalnego dziedzictwa migranta; 2) zasada jedności społecznej i wielości różnych grup etnicznych w danym społeczeństwie; 3) zasada współpracy wszystkich wiernych w Kościele w rozwiązaniu spraw ruchu migracyjnego na świecie.

Ruch migracyjny nie jest jednak wyłącznie zagadnieniem lokalnym, ale poważnym problemem międzynarodowym. Międzynarodowy charakter ruchu migracyjnego wymaga z natury samej rzeczy współpracy wszystkich wiernych w Kościele. W planowaniu migracyjnym należy więc dążyć do *internacjonalizacji* rządów kościelnych i nawiązania ścisłej współpracy między episkopatem kraju pochodzenia i pobytu migrantów.

Konieczność internacjonalizacji planowania migracyjnego wynika z charakteru i sposobu wzrastania społeczno-kulturalnego migrantów. Ruch przesiedleńczy ludności wymaga nieraz kilku pokoleń aby doprowadzić do równowagi i stałości. Socjologia amerykańska wskazuje na okres trzech pokoleń jako na wymagany czas dla pełnego wzrostu i adaptacji. Po osiągnięciu zaś pełnej dojrzałości społecznej nowe pokolenie zaczyna się interesować pochodzeniem swoich przodków i uświadamia sobie konieczność pielęgnowania wartości kultury narodowej ich pochodzenia, jako istotną część ich organicznego wzrastania duchowego.

W świetle zasady „dobra dusz”, planowanie migracyjne wymaga współpracy nie tylko na szczeblu diecezjalnym czy narodowym, ale domaga się dopuszczenia do współudziału w rządach biskupów kraju pochodzenia migrantów. Pozostawienie bowiem całej władzy w rękach biskupów miejsca pobytu migrantów doprowadziłoby do zaistnienia niebezpieczeństwa uniformizacji wszystkich wiernych w anonimową masę. Oczywiście konieczność uwzględnienia wszystkich różnic społeczno-kulturalnych wiernych wymaga od poszczególnych władz poważnego wysiłku i dużo dobrej woli. Sobór Watykański II nawołuje jednak do postawy otwartej i żąda — dążąc do zachowania jedności — uwzględnienia pluralizmu społeczno-kulturalnego wiernych. Autorzy dekretu „O Kościele w świecie współczesnym” dochodzą do następującego sformułowania: „rozwinęte stosunki między różnymi narodami i zrzeszeniami społecznymi otwierają wszystkim i każdemu z osobna szerszy dostęp do skarbów różnych form kultury, w ten sposób przygotowuje się powoli bardziej powszechna forma ludzkiej kultury, która tym bardziej rozwija i wyraża jedność rodzaju ludzkiego im lepiej uwzględni odrębności różnych kultur”.

Niewątpliwie, nowa wizja Kościoła Posoborowego doprowadziła do pewnej próby unowocześnienia ustawodawstwa kościelnego i poszukiwania nowych form apostołstwa na rzecz ludności migracyjnej. W rozłożeniu kompetencji władz brakuje jednak nowemu ustawodawstwu dostatecznie szerokiego spojrzenia na



kolegialność w Kościele, a przez to prowadzi do zawężenia problematyki migracyjnej do spraw lokalnych. W dalszej dyskusji odnośnie zagadnień nowego ustawodawstwa kościelnego należałoby zatem dążyć do rozwoju idei kolegialności rządów w Kościele w duchu uniwersalizmu chrześcijańskiego.

Ruch migracyjny świata i potrzeba specjalnej opieki duchowej nad ludnością migracyjną wystawiają uniwersalizm chrześcijański na poważną próbę. Duszpasterstwo polonijne może w znacznym stopniu przyczynić się do właściwego zrozumienia zasady ekumenizmu i kolegialności w Kościele. Polska bowiem, jako jeden z trzech największych krajów migracyjnych świata musi z konieczności interweniować, a przez to angażować się jako pośrednik między poszczególnymi Konferencjami Biskupów Krajowych miejsca pobytu Polaków, a tym samym przyczynić się do wzajemnego zbliżenia i współpracy między poszczególnymi biskupami świata. Ponadto doświadczenia historyczne narodu polskiego w szerzeniu ruchu unijnego wyznacza Kościołowi katolickiemu w Polsce specjalną rolę w podtrzymywaniu najlepszych tradycji wolnościowych. I dlatego duchowni przybywający z Kraju na migrację mają wyjątkową okazję czynnego włączenia się w najbardziej żywotne sprawy Kościoła Powszechnego, z równoczesnym wypełnianiem misji apostołskiej wśród rodaków żyjących w rozproszeniu. W tym sensie rola duchowieństwa polonijnego ma polegać głównie na pielęgnowaniu i pogłębianiu ducha jedności, opartego na zasadach wolnościowych.

W procesie scalenia wszystkich wiernych w jeden organizm narodowościowo-religijny, księża z Polski muszą jednak uświadomić sobie fakt zróżnicowania problematyki religijnej i w tym celu przestawić się z partykularyzmu spraw krajowych na problematykę ogólnościową Polonii. Społeczność polonijna zaś ze swej strony musi okazać zrozumienie dla młodego pokolenia księży z Polski Ludowej i stopniowo zapoznawać ich z zasadniczymi problemami migracji polskiej. Takie wzajemne zbliżenie między społecznością polonijną a młodym pokoleniem księży z Polski doprowadzi w przekonaniu autora do twórczego dialogu w szukaniu rozwiązań najbardziej palących spraw polonijnych.

*Andrzej WOŹNICKI*

University of San Francisco  
San Francisco, California

## Sprawy i troski

### Kanadyjskie przepisy imigracyjne

Ustawa imigracyjna należy do najbardziej liberalnych, ale praktyka idzie jeszcze dalej. W zasadzie imigracja jest selekcyjna i oparta na systemie punktowym. Urzędnik imigracyjny (tacy urzędnicy istnieją jedynie w państwach nie komunistycznych) klasyfikuje kandydata na imigranta na podstawie: wieku, zawodu, wykształcenia, miejsca do którego pragnie się udać, posiadania w Kanadzie krewnych (jakiego stopnia) znajomości jednego z dwóch oficjalnych języków a wreszcie jego „osobowości”.

Nieznajomość angielskiego lub francuskiego plus brak rodziny, względnie niepotrzebny w danej chwili zawód przesądza o niewydaniu wizy imigracyjnej. Bardzo mało kandydatów posiada wszystkie kwalifikacje a wobec tego językiem u wagi jest ocena osobowości, czyli urzędnik imigracyjny dysponuje stosunkowo szerokim marginesem i jest w stanie nie dopuścić do kraju nieodpowiednich jego zdaniem — kandydatów na imigrantów.

Legalny imigrant korzysta — w razie potrzeby — z szerokiej pomocy rządowej. I tak np. upoważniony jest do zasiłku dochodzącego do wysokości 50 dolarów tygodniowo, ale zobowiązany jest do regularnego uczęszczania na kursy języka angielskiego względnie francuskiego przez okres co najmniej 3 miesięcy. Rząd ponadto — i niezależnie od tego — finansuje kursy dokształcające i przeszkoleniowe dla imigrantów. Również w tym okresie nowoprzybyli imigranci otrzymują zasiłek państwowy.

Rząd federalny udziela kredytów na urządzenie mieszkania, opłaca świeżo przybyłym hotel, zanim znajdą mieszkanie. Imigranci mogą również otrzymywać kredyty na opłacenie kosztów przejazdu czy przelotu do Kanady.

Obok legalnych imigrantów przybywa sporo osób — głównie obywateli państw komunistycznych — którzy mieli wize turystyczne, ale postanowili pozostać. Oddzielną kategorię stanowią dezertyrzy amerykańscy, młodzież uciekająca przed poborem do wojska, marynarze opuszczający swoje statki, itp.

Turyści pragnący pozostać na stałe muszą powiadomić o tym lokalny urząd imigracyjny przed upływem terminu ważności wizy. Przedłużenie wizy na ważnym paszporcie nie nastręcza trudności. Załatwienie wniosku o pozostanie trwa nie mniej aniżeli 6 miesięcy, ale każdy może w tym czasie pracować, uzyskawszy zezwolenie w Urzędzie Imigracyjnym. Czasami jest to procedura nieco dłuższa, ale jedynie w wyjątkowych wypadkach odmawia się zezwolenia na pracę. Natomiast turysta rozpoczynający pracę bez zezwolenia i zgłaszający się następnie o wizę imigracyjną może spotkać się z nakazem wydalenia z kraju. Pogwałcił bowiem bardzo zasadniczy przepis, co przekreśla jego kwalifikacje na imigranta i w dalszej kolejności na obywatela tego kraju.

Deportacja nie jest jednak obecnie tak prosta jak przed 10 a nawet 5 laty. Każdy bowiem nielegalny imigrant (czy legalny nie posiadający jednak jeszcze obywatelstwa) może odwołać się od orzeczenia Urzędu Imigracyjnego do Imigracyjnego Trybunału Apelacyjnego. Jest to urząd równie niezależny jak sądy, który rozpatruje każde odwołanie biorąc pod uwagę nie tylko literę prawa ale i czynniki uczuciowe. Jeśli więc nielegalny imigrant nie popełnił przestępstw kryminalnych to posiada poważne szanse iż orzeczenie deportacyjne zostanie zawieszona na rok lub dwa a następnie będzie anulowane, o ile nie wpłyną przeciwko niemu żadne zarzuty. Natomiast jak najbardziej legalny imigrant może otrzymać nakaz opuszczenia kraju i zostanie deportowany, jeśli stwierdzi się np. iż uprawiał przed przybyciem do Kanady prostytucję, był kryminalnie karany, względnie w Kanadzie trudnił się prostytucją, rajfurstwem, handlem narkotyków itp. Wobec tego typu imigrantów Imigracyjny Trybunał Apelacyjny na pewno nie jest i nie będzie wyrozumiały, to znaczy iż nakazy deportacyjne będą utrzymane w mocy.

Turysta, który pozostał w kraju legalnie, nie korzysta jednak z tych dobrodziejstw co legalny imigrant. Otrzymuje pewną pomoc, ale ma ona charakter raczej doraźny. Nie otrzymuje zasiłku w okresie uczęszczania na kursy językowe. To stanowi jedynie przywilej imigrantów, przy czym zazwyczaj wymaga się dowodu, iż przez rok przed przybyciem pracowało się zarobkowo względnie odbywało się studia.

W Urzędach Imigracyjnych w wielkich miastach prowincji Ontario i Quebec, które pochłaniają gros imigrantów znajdują się urzędnicy władający nie tylko językiem angielskim i francuskim, praktycznie każdy imigrant ma więc możliwość porozumienia się. Jeśli nie ma gdzieś znajomego język portugalski to ściągnie się tłumacza z zewnątrz. Oczywiście odnosi się to do wszystkich języków.

Polityka antyinflacyjna spowodowała pewien zastój w gospodarce narodowej i wzrost bezrobocia. Chwilowo więc jest nadmiar rąk roboczych, ale ten stan rzeczy na pewno nie potrwa długo a wówczas znowu wzrośnie imigracja.

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec  
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO  
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:  
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

## Kronika kulturalna

### Śmierć Mauriaca

Wszystkie gazety pełne artykułów o nim, fotografii, przemówień, wzmianek pisarzy i polityków, dziennikarzy, tyle banałów, tyle powtórek, że dotrzeć trudno do słów żywych, celnych i naprawdę odczuty. Akademia w Akademii, przemówienie żmudne, ministerialne pocziwego Micheleta i świetne Gaxotte'a: „klimat siarki, piorunu i gorączki” (to musiało brzmieć inaczej, silniej po francusku „*climat de souffre, de foudre et de fièvre*” z tymi czterema „f”), nabożeństwo w Notre Dame, Gwardia Narodowa i te twarze wszystkich dostojników z Prezydentem i Prezydentową na czele, twarze którymi zdążono nas już obnudzić poprzez telewizję, *Match'e*, *Paris Soir'y* etc.

Dlaczego to wszystko drażni, przecie Mauriac sam całe życie brał udział w tym wyścigu ku „sławie i chwale”, w młodości nawet z pasją; drażni, bo to, co było w nim istotne, ten ogień co trawił jego życie, jego twórczość, był gdzie indziej, obok i głębiej. „Ja i mój Bóg”. „Ja i miłość cielesna”. Wierność ziemi, Cybeli poządlivej i bezgrzesznej i Pascal tuż: „Trzeba kochać tylko Boga i nienawidzić tylko siebie”.

Ale notatka w gazetach, że pogrzeb będzie miał miejsce *en stricte intimité*, nie w Malagarze, niestety, jego prawdziwej ojczyźnie, ale przecie daleko od Paryża, wśród drzew, z garstką bliskich i najbliższych tylko — przynosi ulgę, bo się wiąże ze stroną głęboką i prawdziwą jego życia i te wszystkie surmy narodowe, przemówienia, Noble i ordery przestają naprawdę istnieć.

„Bo czym jest zapatrzenie wstecz? Można by to przyrównać do chwili kiedy prowadząc samochód równocześnie patrzy się w lusterko wstecz ku przejechanej drodze...”. Pisze Haupt w ostatniej *Kulturze*: „Szczegóły uciekają, były obok nas tak wyraziste, a teraz już ledwo zapamiętane, bo cisną się nowe i nowe...”.

Kierowca musi mieć oczy utkwione przed siebie w to nowe i nowe, wolno mu zaledwie przez sekundę patrzeć wstecz, w lusterko. Jakże to inaczej dziś, pod wrażeniem śmierci Mauriaca, odczułem, jakby mi już wolno było dłużej i dłużej wstecz patrzeć, bo retrowizor znaczy coraz więcej, bo to nowe umniejsza się coraz bardziej, a rośnie obraz w retrowizorze!

Moje pierwsze odkrycie Mauriaca: było to już blisko 50 lat temu, szok, ale czy go lubiłem? Mauriac był trudny do lubienia. Naturalnie były to powieści — świat nieoddychalny, okrutny, oddany z nieporównaną siłą, świat religii odpychającej, zrosniętej z namiętną pasją posiadania, bunt Mauriaca, jego demaskowanie tej strony religii zrosniętej z religią pieniądza, bohaterzy powieści — te matki terroryzujące, niszczące szczęście swych dzieci, te stare kochanki, głodne miłości, nienasycone, zbrodnicze i ten świat — „pustynia miłości” (tak nazwał jedną ze swych powieści). Mauriac umiał jednym zdaniem oddać piekło zazdrości, nienasyceń, ale również jednym zdaniem szczęśliwość wzajemnego kochania dziewcząt i młodzieńców. Świat katolicki wplątany w świat pożądania, odrzucający płęć w czambuł jako groźną i grzeszną, ten świat z rzadka przeszyty sekundami nieporównanego światła, całkowitej ofiary z siebie — świętości.

„Będę żył z Tobą, bo każde inne współzycie jest pełne niebezpieczeństw. Będę żył z Tobą, bo każdy inny pokarm jest trucizną. Będę żył dla Ciebie, bo ten który żyje dla siebie i nie żyje dla Ciebie nie żyje, ale jest martwy”.

Tą modlitwą jansenisty Hamonda kończył Mauriac swe studium o Racinie.



„W tym spojrzeniu na uciekające, minione, wkrada się — pisze jeszcze Haupt — własny kłębek myśli... komponuje to nasz świat osobny, nieprawdziwy, nieistniejący naprawdę”.

Jak zrobić, by pisząc o świecie, który dziś o drugiej w nocy Mauriac zabrał ze sobą do grobu, nic nie było nieprawdziwe.

W roku 1930, a może 1929, odwiedziłem Mauriaca po raz pierwszy. Przeczytałem wówczas „Souffrance d'un chrétien” w *Nouvelle Revue Française*. Ten tekst ukazał się później w wydaniu książkowym dopełniony, za namową katolickich przyjaciół, przez słowo *bonheur*. „Szczęście i cierpienia chrześcijanina”. Chciałem pisać wówczas o Rozanowie<sup>1</sup>. Jakże rozanowskie były te strony, napisane przez człowieka na drugim biegunie i temperamentu i stylu życia. Mauriac był już wtedy gwiazdą w świecie ówczesnych pisarzy. Dochodziły do mnie pogłoski o jego kryzysie religijnym. Zastałem Mauriaca jakże innego od Mauriaca, którego sobie wyobrażałem. Poruszyliśmy zaraz sprawy związane z religią. Siedział skulony na kanapie i tłumaczył mi swoją postawę, opowiadał mi z zadziwiającą szczerością, jakbyśmy się znali od zawsze, mówił

1. Mój esej „Sprzeczne widzenie: Rozanow-Mauriac” ukazał się w Nrze 45 Znak w 1958 r.

że przechodził okres kiedy żyjąc w Paryżu odszedł od katolicyzmu (od chrześcijaństwa, bo dla niego chyba chrześcijaństwo i katolicyzm były pojęciami zawsze jednoznaczny), odszedł zdawało się zupełnie. W nocy, w jakiejś *boîte de nuit*, śpiewaczka wśród bardziej niż dwuznacznych piosenek, pozwoliła sobie na sprośny żart o Chrystusie „i nagle wstałem i wyszedłem, nie rozumiałem co się ze mną stało, ale nie mogłem tego słuchać. Wychodząc uderzyło mnie moje własne zachowanie. O co chodzi? Skąd ta reakcja? Więc Jego kochasz — nie ten świat?” (Znacznie później w jednej z książek Mauriaca odnalazłem tę scenę).

Spytał mnie wówczas, którą z jego książek najczęściej lubię — odpowiedziałem że „Destins” („Losy”).

Zareagował niechętnie: „To najbardziej zamącona z moich książek (*le plus trouble de mes livres*), ale widzi pan — ożywił się nagle — i ona odegrała w jednym wypadku rolę wyzwalającą. Otrzymałem list od młodego chłopca z St.-Cyr; donosił mi że po przeczytaniu tej książki zdecydował wstąpić do klasztoru”.

Odruchowo i beztroško odpowiedziałem: „Jeżeli coś oddaliło mnie od katolicyzmu najbardziej, to właśnie ta Pańska książka!”.

I nagle zobaczyłem, że te moje słowa przeżył jak uderzenie w serce. Cały się skurczył.

„*Ne dites pas cela*”, powiedział półgłosem.

W tym jednym odruchu wyczułem do jakiego stopnia sprawa religii była dla niego przeżyciem całkowitym, aż fizycznym. Właściwie w tej chwili pokochałem Mauriaca. Spotykałem go jeszcze później nie jeden raz, czytałem go zawsze do ostatniego „Bloc-Note”, ale to pierwsze spotkanie znaczyło i znaczy dla mnie najwięcej.

W przeciągu ostatnich miesięcy wciąż zbierałem się do niego z listem, by mu to spotkanie przypomnieć i powiedzieć ile mu w przeciągu długich lat zawdzięczałem. Wciąż pisanie to odkładałem i już mu tego więcej nie napiszę.

Józef CZAPSKI

## Matisse i troglodyta

*On devrait philosopher comme si la „philosophie” n'existait pas à la manière d'un troglodyte ébloui et effaré...<sup>1</sup>*

„Le Mauvais Demiurge”  
Cioran

Paryż — Grand Palais: największa z dotychczasowych w Paryżu wystawa Matisse'a na stulecie jego urodzin. 249 pozycji kاتا-

1. „Należałoby filozofować jak by 'filozofia' nie istniała na wzór troglodyty olśnionego i przestraszonego”.

logu, obrazy, rzeźby; od pierwszych martwych z 1892 roku, od młodzieńczych kopii Chardin'a, Fragonard'a, Ribeiry aż po koronę — dzieło ostatnich lat, witraże do kaplicy w Vence, szafirowe, z kolorowych papierów wycięte akty kobiece, „Basen”, trzy ściany pokrywający, parometryrowy akt (1953 r.) grubą czarną krechłą, jednym rzutem na białym płótnie nakreślony z paru naklejonymi po bokach czerwonymi, z papieru wyciętymi pomarańczami! Połączenie absolutnej świeżości w położeniu kreski z jakże wyważoną lakoniczną kompozycją, nie do przekazania w małej reprodukcji, bo tu sam rozmiar obrazu daje nam nieoczekiwane przeżycie *śpiewu*. Ten obraz nie jest tylko przed nami, on nas ogarnia, ogarnia nas również ten prawie dotykany dech, wzruszenie samego Matisse'a, który go niósł przez życie i nas dziś zaraża.

To cała historia sześćdziesięciu lat rozwoju Matisse'a, zaczynając od inkubacji sztuki klasycznej, impresjonistów, Cézanne'a, Gauguin'a nawet pointillistów, która mu otwiera drzwi do jego malarstwa, do jego fauwizmu z „Luxe, calme et volupté” (1907), z „Tańcem” i „Muzykantami” (1910-1911).

Picasso w 1907 maluje „Les demoiselles d'Avignon”, wybucha kubizm — ani Matisse, ani Bonnard mu nie ulegają (*laissez moi, je ne suis qu'un pauvre impressioniste*<sup>2</sup>, mówi Bonnard), a Matisse broni w wywiadach ścisłego związku malarstwa z naturą, bo oderwana od natury sztuka jest „obok prawdy”.

To, że ani Matisse, ani Bonnard nie dadzą się wprząc w rydwan kubizmu zaciąży na nich przez dziesiątki lat, dostaną zły, czy chociaż gorszy stopień, za karę uznani będą przez niektórych krytyków i historyków sztuki za maruderów i estetów.

W 1910 Kandinski w Monachium maluje swój pierwszy obraz abstrakcyjny, Mondrian w Holandii w 1912, Malewicz w Moskwie wystawia w 1914 sławny „Czarny kwadrat” na białym tle, w pojęciu tych fanatyków abstrakcji i narastającej w miarę lat falangi ich wyznawców i naśladowców sztuka ta przekreśli malarstwo przeszłości i stworzy nową erę, gdzie wyzwolona z wszelkiego związku z naturą dokona cudów i samego człowieka przemieni.

Matisse w tym okresie maluje martwe, wnętrza pracowni o coraz bardziej narastającym bogactwie barwy i arabeski, brutalnie upraszczając, *uczyniając* samą istotę wiecznej gry malarzkiej. Historycy wiążą ten okres z Modern Styl'em, z secesją, która uważana będzie za szczyt wsteczności, by dziś znowu być na nowo uznana, nawet modna. Matisse w tamtych latach odkrywa miniaturę perską, sztukę muzułmańską („wszystko zawdzięczam wschodowi”), jedzie do Tangeru w 1911 i w tym samym okresie (1911-1912) w Moskwie przeżywa wpływ, chyba w jego życiu decydujący, ikony bizantyjskiej i starorosyjskiej. Ileż wpływów!

„Nieuleganie wpływom uważałbym za coś gorszego, niż tchórzostwo (*lâcheté*), brak szczerości wobec siebie samego” — mówi Matisse do Apollina.

2. „Zostawcie mnie, jestem tylko biednym impresjonistą”.

naire'a — „osobowość artysty rośnie, potwierdza się w walce... jeżeli walka ta jest jego — artysty — zgubą — taki już widać jego los”.

Dalsze sale wystawy to obrazy z lat przed, podczas i zaraz po pierwszej wojnie, to serie wielkich martwych o tryumfalnych, radosnych akordach kolorów o arabeskach i płaszczyznach, w których zdaje się Matisse'owi jedynie chodzić o pogłębienie i znów *uczynienie* śmiałe i absolutnie dźwięczne płaszczyzny barwnej, liczne portrety, przeważnie grubą czarną kreską akcentujące bryły, o gamie to głuchej, kryjącej dziwnie niespodzianki i uroki, to wibrującej gwałtownie, docierające do samej zdawałoby się istoty charakteru portretowanych, jak ta „Włoszka” w białej bluzce z czarną strugą włosów na tle butelkowej zieleni tła, czy portret żony z twarzą jak szara maska na tle czarno-szafirowym, na zielonym krześle, z zarzuconym na ramiona ognistym szalikiem. Tuż obok wisi obraz z tego samego okresu, „Drzwi w Collioure”, parę zaledwie płaszczyzn geometrycznych, czujną ręką narysowanych w czarnych, szarozielonych, szaroniebieskich i liliowych tonach, że pomimo ściszonej muzyki kolorów, zdaje mi się to płótno górować nawet nad przepychem martwych tejsze epoki.

Potem idą „Odaliski” z lat 20-tych, pokazano nam je na wystawie bardzo skąpo (czyżby i organizatorzy wystawy uważali jeszcze ten okres za wstydlivy, bo za mało syntetyczny?). Tu znowu mamy niespodziewane akordy, kombinacje coraz to nowych i nad wyraz bogatych układów.

Wszędzie, na wszystkich eksponatach, czujemy, że u podstawy jest instynkt malarza, jego wzruszenie, potem dopiero kontrola największej chyba inteligencji malarzkiej tego wieku, kontrola powodująca dalsze i dalsze podniety dla nowych wzbogaceń i wariacji wizji. Nieustanne wzajemne zapładnianie się wizji i inteligencji chłonnej i wszechstronnej, podświadomości i świadomości.

Artysta przy tym *to* wiąże w jeden węzeł *écriture* kreski z plamą barwną, *to* rozdziela je i wyłącznie poprzez kreskę wyraża, lub znów przerzuca się całą siłą w kierunku samej barwy („rysunek już mnie wcale nie interesuje” — pisze naraz w 1947 roku), a potem znów te dwa elementy wiąże i wraca do płaszczyzny gdzie gra kolor, kreską i arabeską organizowany. Kobiety, przedmioty, szafir morza i palmy w otwartej ramie okiennej, komponuje, transponuje, to eliminując brutalnie jeden z elementów, to go akcentując, coraz to nawet *odwracając* gamę kolorową, szukając jednak zawsze i tą drogą wzmoczonego i uściślonego przekazania swego pierwszego przeżycia na naturze.

Matisse dąży do coraz większej syntetycznej prostoty, a synteza Matisse'a nie jest nigdy pusta, bo, jak sam mówił, eliminacja nie może być z niczego, a tylko z tego co artysta posiada.

3. Cytuję według Giuseppe Marchiori z jego pięknej monografii „Matisse” (wyd. Amilcare Pizzi, Mediolan 1967). Większość cytatów Matisse'a w tym artykule pochodzi z tej książki oraz ze wstępu do katalogu wystawy P. Schneidera.

Nosił on w sobie takie bogactwo obserwacji, tak wielowarstwowe widzenie kształtów i barw świata, miał za sobą realizację tytułu niezliczonych szkiców, notatek przybliżających, że miał z czego czerpać i co poświęcać.

„Jak troglodyta”

Jak przekazać samo przeżycie, które daje mi ta wystawa po blisko czterdziestu latach obcowania ze sztuką Matisse'a, jak pisać o niej, gdy każdy nawet skromny historyk sztuki, krytyk zawodowy, wie ode mnie więcej, posiada więcej materiału porównawczego ze sztuką współczesną i dawną. Szukam pomocy i czytam o wystawie artykuły dobre, średnie i złe i nagle ogarnia mnie zmęczenie i bunt przeciwko tej całej literaturze. Pod wpływem lektur *wyparowuje* ze mnie sama istota przeżycia, to o czym pragnąłem pisać. Dlaczego? „Historyczne” podejście, próba ustawienia artysty w ramach rozwoju sztuki, jest i godziwe i nawet konieczne, czyż i sam, nie będąc historykiem, nie próbuję zrobić tego samego? Dlaczego więc te oceny zdają mi się tak często *obok* istoty rzeczy — chyba dlatego, że nie czuję w nich właśnie śladów intymnego przeżycia, bo te rozważania mają prawo istnieć tylko jako wtórne, następujące *po* a nie *przed* konfrontacją intymną piszącego z obrazem. Bo każde istotne przeżycie sztuki (*rdzeń* tego doznania) jest *poza czasem* i ono jedno, ustala w nas naszą hierarchię wartości, ono i ono tylko nas pali.

W sukurs mojemu buntowi przychodzi prowokacyjny cytat Ciorana — motto tego artykułu — który chciałem tu na swój użytek przetrawestować.

„Trzeba by mówić, pisać o dziełach sztuki jak by 'historia sztuki' nie istniała, na wzór troglodyty olśnionego i przerażonego...”

Ale czy ta istota przeżycia da się w ogóle wypowiedzieć nie wpadając znów w zestawienia, porównania, w historię? Odbiór sztuki, ta dziwna komunika artysty i odbiorcy jest — *innego wymiaru*, który nie ma nic wspólnego z takim czy innym, już z góry przyjętym, ustawieniem historycznym, taką czy inną *idée préconçue*.

Czy historia Świętego Jana Chrzciciela i Salomei (Louvre) namalowana na małej deseczce przez Fra Angelico z nieomylną swobodą i kolorystyczną śmiałością (ileż lat temu patrząc na to płótno myślałem o Matisse), czy „Kuglarz” Boscha z Muzeum Miejskiego z Saint Germain-en-Laye miałyby dla mnie urok mniejszy czy większy gdyby te obrazy były namalowane o 300 lat wcześniej czy o 300 później?

Czy Morandi, o którym tyle lat marzyłem nie znając go, zrobiłby na mnie wrażenie inne, więcej czy mniej wstrząsające na swej paryskiej wystawie sprzed roku zaledwie, czy by olśnił mnie z równą siłą gdybym się dowiedział, że malował swe małce

płócienka o tak rzadkiej, jedynej harmonii, nie wczoraj we Włoszech, a 500 lat temu w Chinach?

Czy dziwna kobieta Giacomettiego, cienka jak szpilka od kapelusza, na dwóch kołach ustawiona, Kleopatra na złotej kwadrydze, byłaby mniej urzekająca gdybym ją odkrył nie w Orangerie pół roku temu, a w piramidzie egipskiej, wśród skarbów grobowych któregoś z faraonów?

Tak samo Matisse, którego odkrywam coraz to na nowo, jakbym go nie znał od lat, dostarcza mi znowu przeżyć poza czasem i stać wobec jego dzieł jak olśniony troglodyta. Czy tego rodzaju przeżycie, punkt wyjścia wszelkiego późniejszego wątku myśli o Matisse, jest w ogóle do przekazania?

Przypomina mi się opowiedziana mi przez Pankiewicza scena, o której już wspominałem. Pankiewicz i Bonnard po paru godzinach spędzonych w Louvrze stanęli przed „Betsabe” Rembrandta i nagle Bonnard wybuchł śmiechem. „Czego się śmiesz” — pyta Pankiewicz. „Bo cóż można zrobić innego — odpowiada Bonnard — cóż można *powiedzieć* wobec takiego arcydzieła”.

Dora Vallier

Ten problem konfliktu między przeżyciem czystej sztuki a przeżyciem wpiętym w taką czy inną historyczną *idée préconçue*, stanął przede mną najżywiej po przeczytaniu eseju Dory Vallier: „Matisse revu, Matisse a revolver”<sup>4</sup>.

Temu historykowi sztuki sporo zawdzięczam, między innymi jej wnikliwą książkę, już dziś klasyczną, o sztuce abstrakcyjnej — trafiła ona do Editions de Poche i zdaje mi się że znanych mi najlepsza i najbogatsza w sensie informacyjny ścisłej.

Jej esej o Matisse był dla mnie szokiem — to próba rehabilitacji Matisse'a! Nie przychodziło mi do głowy, by go trzeba było jeszcze rehabilitować. Kolejne fazy jego twórczości są tu z pełną znajomością i wrażliwością uszeregowane i opisane: Matisse'owi zostaje ostatecznie, w stuletnią rocznicę jego urodzin, wydane świadectwo ze stopniem najwyższym nawet za okres „Odalisek”, w których Dora Vallier widziała przez lata (nie ona jedna, bo coraz to mówi „my”, jak o opinii w pewnych kołach ustalonej) ślady burżuazyjnego wstecznicstwa, upadek zalet malarskich etc. — zostaje mu i ten okres nie tylko wybaczony, ale uznany za etap konieczny, który prowadził również do dzieł doby ostatniej. Więc dopiero wielka wystawa 1970 roku odkrywa temu historykowi, że „motywy potępienia”, „powody zakłopotania” nie istnieją, że rozwój artysty był logiczny i konieczny. Czyż naprawdę trzeba było czekać roku 1970 żeby zrobić to odkrycie?

Autorka pisze o krytyce Matisse'a w czasie przeszłym, niemniej akcent na nią położony dzisiaj świadczy jak bardzo ten stosunek zaważyć musiał w swoim czasie na takim a nie innym ustawie-

4. *Nouvelle Revue Française*, No 7 z 1970 roku.

niu Matisse'a przez krytyka tzw. awangardy w historii malarstwa pierwszej połowy naszego wieku. Dora Vallier wyjaśnia niezdolność sprawiedliwej oceny Matisse'a przez krytykę w latach 1910-1920; główną przeszkodę zaś widzi w „ekranie kubizmu” w jego wizji stromej (*abrupt*), „ustawionej bez przejścia na nowy wiek”. Dora Vallier podkreśla do jakiego stopnia na wszystko co nie wchodziło w ramy koncepcji plastycznej kubizmu był rzucony cień i ten cień według niej nie zostanie rozproszony, dopóki fenomen tego zaciemnienia nie będzie zbadany; przynajmniej, że ofiarą tego padł przede wszystkim Bonnard ale i Matisse, i jego dzieło ucierpiało na tym również.

Czy naprawdę trzeba to jeszcze badać, czy nie jest już jasne, że z tej „historycznej” koncepcji — kubizm i abstrakcja to nowy wiek, a reszta to umarły świat burżuazji — już od lat proch się sypie?

### *Sérénité*

Matisse przez całe życie tak w sztuce swojej, jak również i w życiu dążył do jasności, do przewyciężenia cierpień. Cierpienie uważał za grzech prawie, bo cierpienie niszczyło w nim dar światła i radości, jedynej pożytki którą uznawał dla swojej sztuki.

Hedonista?

Cóż wiemy o tym, z jakim trudem ten wierny swemu powołaniu człowiek zdobywał pogodę?

Kiedy Duhamel zarzucił Valéry'emu, że pisze poematy w zamkniętej epoce, Valéry odpowiedział: „pogoda dzieła nie świadczy bynajmniej o pogodzie twórcy”, a w jednym z niezliczonych notatników Bonnarda znaleziono jego ołówkową notatkę: „ptak, który śpiewa nie zawsze jest szczęśliwy”.

Uważnie czytając urywki listów Matisse'a nie zawsze trafiamy na słowa pogodne, rzadko, ale i on pisze o cierpieniu, nawet rozpacz, ale jakże wstydliwie, bez nacisku.

„Wiele cierpiałem od czasu gdy się widzieliśmy — pisze do Rouveyre'a w 1917 r. — ale miałem filozofię, która pozwalała mi znosić cierpienie. Od paru dni uległem udręczeniu, które by nie powinno już mnie dotyczyć, bo oddałem życie mojej sprawie najistotniejszej, dla której jestem i która może przynieść trochę szczęścia (mojej) wielkiej, największej rodzinie duchowej”. Czy Matisse to pragnienie swoje osiągnął?

Odnajduję wspomnienie własne z 1942 roku, które przed wielu laty zapisałem. To było ciemne dno wojny, chory na tyfus leżałem w szpitalu turkiestańskim wśród innych ciężko chorych i umierających; patrzyłem na niebo niebieskie, okolone białą futryną okna, wspominałem obrazy Matisse'a. Opisując to po paru latach zanotowałem: „ten świat zatracony wydawał mi się dziki i zupełnie jakby już nieosiągalny — a przecież nawet pamięć o nim dawała mi pomoc i pokarm duchowy”. Czy mnie jednemu?

„W mojej sztuce chciałem stworzyć świat krystaliczny dla ducha: tę przejrzystość konieczną...”  
— pisze Matisse.

A innym razem:

„Idziemy ku jasności poprzez uproszczenie idealne”.

1935-1941: Hitler, rewolucja hiszpańska, wojna światowa klęska Francji: Picasso tworzy genialną „Guernikę”, Matisse „Sen” (1940), „Wielki akt różowy” (1935) i ileż innych radosnych obrazów — nie zmienia on ani na jotę swego stosunku do życia i do sztuki; w tych latach grozy niejednemu zdaje się obcy współczesności. I tu może tkwi istota jego samotności — ten hedonista drogo płaci za walkę w sobie, i w swojej sztuce, o pogodę.

W 1940 roku przechodzi Matisse ciężką operację, dwa zawały serca, miesiące i miesiące w szpitalach Nicei i Lyonu.

„Trzeba czekać bez ruchu — pisze 31 marca 1941 roku do Bonnarda — z mieczem Damoklesa nad głową, do czego można zresztą się doskonale przyzwyczaić”;

i sam sobie się dziwi, że można mieć w takim stanie taką pogodę (*sérénité*)!

Mamy wiele świadectw, że do śmierci znosił on swe niemoce i starość z tą samą pogodą i z naprawdą franciszkańską radością, jak dar najcenniejszy witał każdy nowy poranek.

W latach 50-tych odwiedziłem z przyjacielem z Polski wystawę obrazów w Paryżu. Wśród wielu innych, stanęliśmy jak wrzyci przed obrazem Matisse'a, tak świetlistym, tak pełnym radości — kwiaty, palmy, szafir morza, słońce i ptaki.

„W jakim roku on to malował?” — spytał mnie przyjaciel.

— „W 1943-ym”.

— „To niemożliwe!” — wybucha przyjaciel i milknie. Umiłkliśmy obaj. Dla nas 43-ci rok to było odkrycie Katynia, to była zagłada getta, to była Europa w najokrutniejszym zmaganiu.

### *„Poza tę chwilą mody”*

Na wszystkich etapach swej pracy był Matisse urzeczony wizją zazębianą zawsze o naturę, nigdy o czysto cerebralną abstrakcję, szedł ku swojej syntezie i jego oscylowanie między przepychem form i kształtów („Odaliski”), a najsurowszą ascezą to była jego droga do jego syntezy. Ta droga była jego musem, wyrazem jego kontemplacji:

„Artysta nie jest wolny robić co mu się podoba... Nie jesteśmy panami naszego dzieła (*production*) ono jest nam narzucone”.

Kiedy Matisse kończy dekoracje kaplicy w Vence — uważa ją za arcydzieło swego życia — mówi o niej „nie ja tę pracę wybrałem, do tej pracy byłem wybrany”. Zawsze w nim, jak

zresztą w każdym wielkim artyście, tkwi uczucie przeznaczenia, *naznaczenia*.

Czy nie jest dziś zbędne bronić Matisse'a, w czasie jego apo-teozy — paryskiej? Bynajmniej! Całym dziełem swego życia Matisse przekreślał podział sztuki na abstrakcyjną i figuratywną:

„Widzę konieczność — pisze Matisse w 1947 roku — odejścia od wszelkich przymusów od wszelkich idej teoretycznych, by oddać się (sztuce) do dna, całkowicie, ustawiając się *poza tą chwilą mody*<sup>b</sup> (*en me placant hors du moment de cette mode*) *podziału sztuki na figuratywną i niefiguratywną*”.

Po sześćdziesięciu latach panowania abstrakcji w sztuce plastycznej mamy już dziś ogromną literaturę apologetyczną tych nurtów. Oddając hołd temu co ta abstrakcja dała sztuce, co wniosła do naszej świadomości, należałoby podkreślić również *spustoszenia*, które spowodowała skrajnym zwięzieniem swych podstaw; wywołała ona u artystów narastające zubożenie wobec bezgranicznego bogactwa kształtów i treści okiem widzianych, spłaszczyła stosunek oka do świata widzialnego tak, że nawet artyści, którzy dzisiaj do natury próbują powracać, przewyciężać muszą obcość, *strach* przed naturą nieprzestylizowaną, nieprzeżutą przez innych; zubożyła ona samą funkcję oka<sup>6</sup>.

Skrajny naturalizm Pop-artu, czy „Art brute” zdawał mi się zawsze szczęśliwą reakcją na to wysuszenie źródeł sztuki poprzez czystą abstrakcję.

To pryncypialne odwrócenie się od natury pchnęło malarzy do szukania innych dróg wyrazu, nie mających przeważnie już nic z malarstwem wspólnego, co znów doprowadziło do wniosku, że malarstwo umarło! Skutkiem pośrednim i przykładem tego zamącenia pojęć jest między innymi „kanonizacja” Yves Kleina, z jego gładko gąbką zasmarowanymi płótnami, jest uczenie Fontany i jego płócien również gładkich, tyle że naciętych nożem, czy przekłutych ćwiekiem „nie tylko z przodu, ale czasem i z tyłu” — jak wyjaśniają poważni krytycy.

„*Matisse revu, Matisse a revoir*” — nazwała swój esej Dora Vallier — „Matisse na nowo zobaczony, na którego należy znów nowymi oczyma spojrzeć” — tak bym to zdanie przetłumaczył.

Paryska wystawa Matisse'a — owoc całego życia, pracy i myśli wielkiego talentu — obejrzana uważnie, przeżyta, może dziś nie jednemu odkryć *na nowo*, że sztuka jest czymś niepomierne większym od wątpliwych, czy nawet świetnych kawałów, od fa-  
jerwerków i chwilowych sensacji.

Józef CZAPSKI

5. Podkreślenie moje.

6. Podział na malarstwo „siatkówki oka” (*retine*) a „kory mózgowej” (*matiere grise*) ten koncept Marcela Duchamp — cytowany aż do znudzenia, zdaje mi się tylko błyskotliwym paradoksem, bo nie istnieje malarstwo oka bez udziału kory mózgowej, a malarstwo bez udziału oka nie istnieje również — bo jest wówczas czym chcąc, ale nie malarstwem.

## Czy w Tel-Avivie powstanie polonistyka

Referat wstępny nie został wygłoszony. Michael, student dramaturgii na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Telawivskiego przygotowywał materiał do dyskusji nad twórczością Witkacego, ale tuż przed seminarium powołano go na zwykłe, trzymiesięczne ćwiczenia do wojska. Orit, Achuwa, Ruth i inne słuchaczki seminarium, noszącego nazwę „Analiza tekstów z zakresu współczesnej literatury polskiej”, dyskutowały zawzięcie na temat „Szewców” szukając związków z przerabianym wcześniej „Weselem” i z teatrem Mrożka. Niektóre z tych dziewcząt z trudem znajdują polskie słowa, polskie zdania — są w Izraelu po kilkanaście lat, tu ukończyły szkoły średnie i hebrajski jest ich językiem „na codzień”. Ruth — mieszkanka kibucu Megido — ukończyła seminarium nauczycielskie i dziesięć lat pracowała zawodowo w szkolnictwie. Michael — jest w Izraelu 13 lat. Jedna z dziewcząt była w sumie w Polsce zaledwie półtora roku, przejazdem z Rosji. Zanim zorganizowano seminarium wyrażali obawy, czy dadzą sobie radę z zapomnianym językiem, czy nie łatwiej poprzestać na seminarium z literatury angielskiej lub francuskiej.

Program przewidywał m.in. analizę tekstów Zbigniewa Morsztyna, Norwida, Gałczyńskiego, Staffa, Różewicza, Wyspiańskiego, Leśmiana, Miłosza, Witkacego, Mrożka a seminarium skupiło studentów dramaturgii i teorii literatury I, II i III roku. Jednocześnie jednej ze studentek dano szansę przygotowania pracy magisterskiej, ażeby mogła ukończyć studia polonistyczne, rozpoczęte w Polsce. Zajęcia na Uniwersytecie Telawivskim trwały od końca 1969 r. i były związane z nową inicjatywą — z projektem ośrodka slawistycznego.

Uniwersytet Telawivski jest w ogóle młodym uniwersytetem co, między innymi, ma ten dobry skutek, że swoje pomieszczenia buduje od podstaw — są to prawdziwie imponujące kompleksy nowoczesnych gmachów, w czystej, pięknej dzielnicy Ramatawiwu. W przyszłości będzie to teren reprezentacyjny, z szerokimi, przestronnymi alejami, masą zieleni, domami studenckimi, laboratoriami i bibliotekami skupionymi w jednym miejscu. Na razie jednak zajęciom towarzyszy nieustanny huk koparek, wyrównujących piaszczyste nasypy; jest to już jednak raczej „kosmetyka”, bo podstawowy zespół budynków wykończono, i Uniwersytet normalnie pracuje.

Z rozmachem zaplanowano nie tylko wieżowce lecz również zakres nauki. Wydział Humanistyczny między innymi obejmuje katedry teorii literatury i językoznawstwa angielskiej,

francuskiej, klasycznej, niemieckiej, i oczywiście hebraistykę, a także pedagogikę, trzy działy historii, psychologię, dramaturgię. Kiedy w końcu 1969 r. prof. dr Samuel Sandler — jeden z wybitniejszych badaczy literatury polskiej XIX i XX wieku — opuścił Kraj, władze Uniwersytetu natychmiast nawiązały z nim kontakt, już do Wiednia przesyłając propozycje współpracy przy organizowaniu telawivskiej slawistyki.

Slawistyka izraelska nie rozpoczyna bynajmniej od punktu zerowego, albowiem istniały tu pewne tradycje naukowe i kulturalne, uparczywie zresztą pomijane i otaczane milczeniem w Polsce i w Rosji, nawet w latach poprawnych stosunków dyplomatycznych.

Przed II Wojną Światową Profesor Tadeusz Kotarbiński, stojąc na czele Towarzystwa Przyjaciół Uniwersytetu Jerozolimskiego zorganizował wysyłkę książek do Palestyny i dziś Biblioteka Uniwersytecka w Jerozolimie dysponuje skromną — lecz przecież jakże potrzebną „półką polską”, zawierającą kilka tysięcy tomów. Oczywiście, wiele z tych pozycji straciło aktualność naukową i literacką, niektóre zaginęły, inne uległy zniszczeniu, ale to co pozostało służyć będzie przyszłym studentom. Istotny jest chyba sam fakt, że ta piękna inicjatywa miała miejsce i — że po latach wydaje owoce.

Spośród innych inicjatyw wspomnieć warto o Łoży Bnei Brith imienia warszawskiego rabina prof. dr. Moshe Shorra: w roku 1947 ówczesny Brat Przewodniczący Łoży pojechał do Polski i przywiózł z Warszawy sporo książek, ofiarowanych także Bibliotece Jerozolimskiej.

Dwa izraelskie Uniwersytety prowadzą lektoraty języka rosyjskiego (związane jest to również z potrzebami jerozolimskiej so-wietologii) zaś niedawno zmarła poetka, tłumaczka i badacz literatury, Lea Goldberg, prowadziła wykłady z historii literatury rosyjskiej. Były to jednak wszystko zajęcia traktowane trochę ubocznie.



„W Nienadybach” Struga było jedną z ostatnich prac edytor-skich Sandlera na terenie PRL; w czasie wieloletniej działalności pedagogicznej, naukowej, publicystycznej i wydawniczej położył on ogromne zasługi również na polu popularyzacji polskiej literatury. Przez siedemnaście lat był współredaktorem „Biblioteki Narodowej” i kilkuset wydanych przez nią tomów.

Absolwent studiów socjologicznych i filologicznych z dodatkową specjalnością w dziedzinie literatury rosyjskiej, wykładowca uniwersytetów warszawskiego, łódzkiego i wrocławskiego, dawniej sekretarz naukowy Instytutu Literackiego a potem kierownik Działu Badań nad literaturą polską okresu pozytywizmu, gość Sowieckiej Akademii Nauk, Akademii Sztuk w Berlinie, stypendysta rządu francuskiego, prof. dr Samuel Sandler jest autorem ponad trzydziestu książek, rozpraw i dysertacji naukowych a także licznych opracowań, wstępów, artykułów i recenzji. Z waż-

niejszych prac wymienić trzeba „Wokół Trylogii”; „Indyjska przygoda Henryka Sienkiewicza”; „Ze studiów nad Świętochowskim”; „U początków krytyki marksistowskiej w Polsce”; „Reduta Ordona w życiu i poezji” oraz studium: „Andrzej Strug wśród ludzi podziemnych”. Badania te zyskały Sandlerowi opinię jednego z najwybitniejszych współczesnych znawców literatury polskiej okresu pozytywizmu i modernizmu.

Gdy jednak w 1965 roku autorowi prac o Świętochowskim, Sienkiewiczu i Strugu postanowiono nadać tytuł profesora, i gdy sprawę omawiano na Radzie Państwa — Gomułka osobiście zaprotestował i proponował, ażeby rzecz całą odłożyć na czas nieokreślony. Był to prawdopodobnie jeden z nielicznych przypadków osobistej ingerencji I sekretarza w tak delikatną materię. Należy sądzić, iż notatka odpowiedniej treści, sporządzona została przez bezpieczeństwo, które oceniło *niebłagonadioną* postawę uczonoego.

Tym niemniej w 1968 roku w Polsce ukazało się w prasie szereg bardzo pochlebnych ocen działalności Sandlera. W tymże roku wyszła jego „Indiańska przygoda” i edycja „Nienadybów”, a Sandler nie przerywał działalności pedagogicznej i naukowej. Zapewne „wyznaczono” mu szczególną rolę i w tym celu postarano się, ażeby nie dotknęły go czystki i prześladowania. Ze względu na dziedzinę w której pracował, byłby doskonałym sprawdzianem tolerancyjnego i opiekuńczego stosunku władz do „dobrych” Żydów — warto przypomnieć tu znany podział Polaków pochodzenia żydowskiego, dokonany przez Władysława Gomułkę. Byłby jednocześnie „pokazowym” przykładem, jak to władze serdecznie podchodzą do „niesfornych intelektualistów”. Tej roli Samuel Sandler nie przyjął; uznał, że atmosfera życia intelektualnego i politycznego w Kraju wymaga protestu w postaci opuszczenia Polski.

Wybitnego slawistę zaprosiły do współpracy ośrodki uniwersyteckie w Europie i Ameryce. Jednakże szczególne znaczenie inicjatywy telawivskiej stanowiło magnes zrozumiały dla każdego, kto wyczuwa jej głęboki, ważny sens polityczny, moralny i kulturalny.



Jest w tym swoisty paradoks że założenie slawistyki w Tel Avivie zbiega się z zakończeniem tysiącletniej obecności Żydów na ziemiach polskich. Ta sprawa ma jeszcze inny aspekt, ma także znaczenie dla pewnych postaw politycznych Żydów tutejszych — i nietutejszych. Są przecież środowiska przepojone taką goryczą i tak dotkliwie pamiętające doznane krzywdy, że ich niechętna reakcja obejmuje już nie tylko prominentnego reżymu ale nawet język, literaturę, historię i kulturę polską. Są wspomnienia zbyt bolesne, żeby szukać ocen absolutnie sprawiedliwych. Sprawa ta jest jeszcze bardziej skomplikowana dlatego, że tak znaczny procent obywateli państwa Izrael pozostaje nadal w kręgu polskiego języka, polskiej książki i czasopism. Jeżeli wywodzą



się z rodzin zasymilowanych, to dopiero w następnym pokoleniu nastąpi autentyczne zhebraizowanie — takim przetapiającym tygłem jest szkoła i wojsko. Ale nawet ci, którzy jeszcze przed wojną mieli styczność z hebrajskim (gimnazjum — działalność organizacji syjonistycznych), nawet ci, którzy biegle poznali język w mowie, prędzej sięgną po książkę pisaną po polsku i niekiedy — nie zdając sobie z tego sprawy — pewne pojęcia literackie i kulturalne wywodzą stamtąd. Po dziś dzień prawdopodobnie więcej wiedzą o pozytywizmie polskim niż o współczesnej literaturze izraelskiej, zwłaszcza jeżeli język stanowi dla nich barierę nie do przebycia — co nie jest tu wcale rzadkie, nawet u przybyłych przed laty — i w polszczyźnie poszukiwać muszą codziennej strawy duchowej. O nowoprzybyłych nie ma co mówić, ich lektury, upodobania literackie i postawy kulturowe długo jeszcze związane będą bezpośrednio z tym, czym nasiąkli od najwcześniejszych lat.

W szczególnej rzeczywistości izraelskiej, gdzie niekiedy jedynym łącznikiem pomiędzy siedemdziesięcioma narodowościami i językami jest nie poczucie wspólnoty kulturowej ale wspólnoty losu — przeszłości i przyszłości — musi być miejsce na owe subkultury, wniesione przez ludzi przybyłych z Europy, Azji, Ameryki, Australii, Afryki. Początkowo teza ta spotykała się z wyraźną wrogością. W „polskiej” sprawie doszedł także do głosu ów niewyrównany rachunek krzywd i meandry polityczne reżymu PRL, które tak tragicznie „ostatecznie rozwiązały” kwestię żydowską. Ale gromkie okrzyki niektórych miejscowych ideologów chlubiących się monopolem na „prawdziwy izraelski patriotyzm” szły sobie, zaś życie przyniosło inne rozwiązania. Znalazło się zresztą wielu ludzi rozsądnych, zdających sobie sprawę z niepodzielności, integralności kultury XX wieku. Dziś nikogo nie dziwi że malarz pochodzący z Polski wystawia w Tel Avivie autentyczną „słowiańską” scenę wiejską ze zniwiarzem odpoczywającym pod drzewem, albo domki w śniegu czy kościółek wiejski spod Bieszczad — i że pejzaż i koloryt kraju młodości towarzyszą mu niezależnie od orientacji politycznych. Wydaje się, że jedynie środowiska ludzi o tzw. „mentalności konfekcyjnej” demonstracyjnie odgradzają się od kultury i języka wyniesionego z Polski. No, i oczywiście, skrajnie, demagogicznie nastawione koła szowinistów.

W każdym razie, jest to problem skomplikowany i zainicjowanie slawistyki w tym momencie stanowić może „odtrutkę” na uogólniającą niechęć do polskiej kultury — szczególnie zaś dotyczy to lektoratów, seminariów i wykładów polonistycznych. Niezależnie od tego ta inicjatywa jest odpowiedzią na niewątpliwe zapotrzebowanie społeczne i kulturalne blisko jednej piątej ludności Izraela.

Jaka jest aktualna sytuacja i jakie projekty na przyszłość?

Istnieje projekt organizacji ośrodka slawistycznego i pracuje komisja uniwersytecka, która przedstawiła program zajęć. Istotne jest to, że ośrodek jest zaprojektowany jako studium (i katedra) kultur i literatur słowiańskich, co rozszerza zakres dzia-

łania i wprowadza nowe dziedziny, nie ograniczając możliwości tylko do problemów ściśle teoretyczno-literackich lub językoznawczych. W zasadzie słuchacze będą mieli szansę wyboru jednego z trzech następujących kierunków: rusycystyka, polonistyka lub językoznawstwo słowiańskie, i będą mogli odbyć normalne, przewidziane regulaminem studia, zakończone egzaminem i stopniem B.A. W przyszłości natomiast otworzy się możliwość uzyskania stopnia M.A. i nawet — sięgając dalej — przewodów doktorańskich.

Jednocześnie studium i katedra prowadzić będzie działalność „usługową” w stosunku do innych organizmów Wydziału Humanistycznego. Słuchaczy kierunku teorii literatury obowiązują, na przykład, seminaria i analiza tekstów literackich angielskich, francuskich czy niemieckich (dwa seminaria do wyboru). Teraz dojdzie im wybór dodatkowy, w postaci seminarium z zagadnień literatury polskiej lub rosyjskiej.

Pierwszym etapem tak szeroko nakreślonych planów musi być, oczywiście, lektorat — przewiduje się lektoraty różnych szczebli z języka rosyjskiego i polskiego a w przyszłości także czeskiego. Prawdopodobnie niektóre lektoraty rozpoczną zajęcia już w roku akademickim 1970/1971.

Wspomniane wyżej propozycje idą w tym kierunku, aby wprowadzić na przyszłej slawistyce dwa kursy wykładów monograficznych. Pierwszy — obejmie prawdopodobnie romantyzm polski (lub samego tylko Mickiewicza), a drugi Puszkina albo wielką powieść rosyjską. Wykłady i zajęcia z językoznawstwa słowiańskiego poprowadzi dr Weksler, slawista z Uniwersytetu w Columbia. Toczą się pertraktacje w sprawie obsady pozostałych stanowisk (lektoraty!). W tym roku akademickim prof. dr Samuel Sandler wyjeżdża do USA, zaproszony przez chicagowski Uniwersytet na roczny staż naukowy i pedagogiczny. Nie jest jednak wykluczone, że o ile rozmaite kwestie natury finansowej zostaną szybko rozwiązane, to bądź seminarium bądź wykład monograficzny zainicjowany zostanie jeszcze w roku akademickim 1970/71, i prowadzony będzie w tym czasie przez pracowników katedry. Trzeba przyjąć jednak, że właściwa organizacja slawistyki przypadnie na lata 1971/72.

Jakie perspektywy czekają ewentualnych absolwentów? To pytanie ma zasadniczy sens, nawet jeżeli przyjmujemy, że każdy uniwersytet pragnie działać w maksymalnie szerokich ramach i Wydział Humanistyczny nie posiadający slawistyki jest w jakiś sposób zubożony. Jednak w szczególnej sytuacji Izraela państwo nie może pozwolić sobie na wysiłek, który przynosi wyłącznie korzyści teoretyczne.

Pozornie zapotrzebowanie na polonistów zostało — szczególnie ostatnimi czasy — całkowicie zaspokojone. „Pozornie” — albowiem fakt, że pojawiło się wielu ludzi władających tym językiem nie oznacza jeszcze iż są oni „fachowcami” w dziedzinie polonistycznej. Nie potrzeba tego nikomu tłumaczyć. Przyszli absolwenci będą posiadali określoną specjalność w ramach studiów humanis-

tycznych, będą więc przygotowani np. do podjęcia pracy nauczycielskiej. Mimo, że studiować będą polonistykę lub rusycystykę — ich zasadniczym językiem jest przecież hebrajski i obowiązują ich wiele ogólnych przedmiotów humanistycznych, w tym także hebraistycznych. Nawet ich konkretna specjalizacja ma dziś zastosowanie w obecnym izraelskim systemie szkolnym. Ze względu na nowych emigrantów maturę eksternistyczną można zdawać częściowo „po polsku”. To znaczy, w tym języku można przygotować jeden z egzaminów z Tanachu (jest to podobno najtrudniejszy przedmiot, szczególnie dla „nowych”, a perypetie z tym związane ujawniają jak słaba jest wśród ludzi z Polski znajomość Starego Testamentu). W ramach „matury ułatwionej” zdaje się polski jako „obowiązkowy język obcy” z wybranymi zagadnieniami gramatycznymi i literackimi włącznie. Program wydany przez tutejsze Ministerstwo Oświaty wyraźnie określa problematykę (np. „Pan Tadeusz” Mickiewicza albo „deklinacja w języku polskim”) i wymagania. Przypuszczać należy, że jeszcze przez najbliższe lata potrzebni będą zarówno nauczyciele jak egzaminatorzy przedmiotu.

Wielu absolwentów slawistyki znajdzie prawdopodobnie zatrudnienie w najrozmaitszych instytucjach, opracowujących historię Żydów w diasporze. Badania te są obecnie inicjowane na szeroką skalę. Wymagają ludzi przygotowanych w zakresie języka polskiego, historii i kultury. Ubocznym efektem tej działalności mogą być prace monograficzne, poświęcone poszczególnym miastom i miasteczkom polskim, w których Żydzi mieszkali przez tysiąclecie. Nieomal każde z blisko tysiąca ziomek ma ambicje wydania „księgi pamiątkowej” i — wcześniej lub później ambicje te zapewne zrealizuje.

Wreszcie rozliczne instytuty poświęcone badaniom współczesności potrzebują fachowców. Inne pole pracy otwiera się w bibliotekach, w zakładach trudniących się zbieraniem bibliografii i przekładami z języków obcych. Dochodzą do tego placówki badające koniunktury rynkowe, nie mówiąc już o zadaniach usługowych wobec jerozolimskiej sowietologii, które slawistyka wypełni tym łatwiej, że zakrojona jest tak szeroko, że obejmuje zarówno literaturę jak i kulturę słowiańską.

Nadto — jeżeli w przyszłości wznowione zostaną stosunki dyplomatyczne pomiędzy Izraelem a krajami bloku komunistycznego (uniwersytety zadania swoje planują na lata) to oczywiście absolwenci wyższych studiów, władający biegle hebrajskim i co najmniej dobrze — rosyjskim i polskim, oraz zorientowani w problematyce — będą wręcz „na wagę złota”.



Nawet w okresie względnie poprawnych stosunków na linii Tel Aviv - Moskwa i Tel Aviv - Warszawa nikt w Polsce nie dbał o potrzeby kulturalne dawnych obywateli PRL. Dbano o Polonię amerykańską propagując wycieczki do Starego Kraju i wykazując wielką troskę z powodu „zamerykanizowania” młodego poko-

lenia. Zapraszano na wakacje dzieci Polonii francuskiej, chętnie i na jak najkorzystniejszych warunkach umożliwiała się nauczycielom polonijnym z NRF studia doksztalające w Warszawie. To wszystko nie dotyczyło tylko Tel Avivu. Ten naturalny rezerwat polskości, polskiego języka i kultury nawet przed 1967 rokiem pomijano milczeniem. Oczywiście, przyjeżdżali do Izraela „eksportowe” polskie zespoły estradowe a po powrocie aktorzy opowiadali o wypełnionych salach i o wielkiej — choć często skrywanej — tęsknocie za Krajem. Ale ani gazety ani inne środki masowego przekazu w Polsce nie eksponowały tych izraelskich wojaży, nie opisywały reakcji publiczności, nie podkreślały sukcesów. Prawdopodobnie te przyjazdy miały tylko charakter komercyjny.

Od 1967 r. wielotysięczne środowisko Żydów polskich w Izraelu programowo odcina się od źródeł kultury, która jeszcze nadal jest ich kulturą. W Tel Avivie najlepsze interesy można dziś robić przywożąc płyty Osieckiej, Młynarskiego i Demarczyk. W dwóch polskich bibliotekach można zamówić wprawdzie prawie wszystkie książki wychodzące obecnie w Kraju — ale — co za paradoks — transakcje na ogół dokonywane są okreśną drogą, poprzez Niemiecką Republikę Federalną. W podtelawivskich osiedlach i miastach istnieją także polskie czytelnie, które nowości sprowadzają przez... Belgię (czytelnia w Holonie, w Riszon Lecyjon). I zupełnie jak w Warszawie, w Krakowie, we Wrocławiu księgarze chowają „pod ladę” ciekawsze pozycje.

Problem księgozbioru będzie więc dla przyszłej slawistyki, a dla polonistyki szczególnie, bardzo kłopotliwy. Ośrodek liczy tu, tak samo jak i w innych dziedzinach, na pomoc ośrodków slawistycznych w Europie i Ameryce a także na pomoc polskich organizacji i instytucji emigracyjnych. Oryginalne wydawnictwa nie rozwiązują jeszcze sprawy propagowania literatury polskiej i istotnym zagadnieniem są też przekłady na język hebrajski. Z ważniejszych pozycji — tłumaczono Sienkiewicza, Mickiewicza, Orzeszkową, Rudnickiego, Żeromskiego.

W jakimś drobnym stopniu lukę wypełnią może przyszli słuchacze slawistyki. Już dziś niektórzy studenci seminarium „Analiza wybranych tekstów z polskiej literatury” myślą poważnie o pracy tłumacza i o przyswojeniu hebrajszczyźnie — niektórych współczesnych autorów polskich. Być może, wkrótce ukażą się w druku „Aforyzmy” Leca, bajki dla dzieci Brzechwy i jednoaktówka Mrożka. Słuchacze teatrologii pracowali nad „Freuda teorią snów” Cwojdziańskiego.

Tutejszy rynek czytelnicy byłyby prawdopodobnie bardzo chłonny, choćby ze względu na małą stosunkowo ilość hebrajskich pisarzy i hebrajskiej literatury oryginalnej. Główna działalność wydawnicza opiera się o przekłady z angielskiego i niemieckiego — przyszła slawistyka ma wielką szansę wychować nowe pokolenie tłumaczy z języków słowiańskich.

## Czy nieznana Dąbrowska ?

Zeszyt ze stycznia/lutego br. *Kultury* przynosi przedrukowane z wileńskiego *Czerwonego Sztandaru* z 1 listopada ub.r. fragmenty dwóch przemówień Marii Dąbrowskiej, związanych z jej pobytem w Moskwie w 1953 roku. Zarówno fakt ogłoszenia tych tekstów, jak i tytuł notatki „Nieznana Maria Dąbrowska” sugerują, iż przemówienia te rzucają jakieś nowe a nieoczekiwane światło na pisarkę.

Przed wszystkim stwierdzić trzeba, że jest to Dąbrowska tylko w połowie „nieznana”. Fragment bowiem jej przemówienia, wygłoszonego w moskiewskim radio był już drukowany. W roku 1963 ogłosiła go w artykule „Maria Dąbrowska w ZSRR”, opublikowanym w książce zbiorowej *Pięćdziesiąt lat twórczości Marii Dąbrowskiej*, zaś sama Jadwiga Staniukowicz, która posłała teksty Dąbrowskiej do *Czerwonego Sztandaru*. Fragment ten jest tam nieco inaczej sformułowany niż w wileńskiej gazecie, ale identyczny z nim w treści. Najwyraźniej przynajmniej jedna z wersji tego fragmentu musi być przekładem z rosyjskiego. I trudno dopatrzeć się w tym przemówieniu radiowym czegoś, czego Dąbrowska miałaby się wstydzić. Mówi tam ona o „miłości do słowa drukowanego” rosyjskiego czytelnika. Jest to fakt, który stwierdzić mógł każdy, kto był w ZSSR. Tak goście oficjalni, jak i ci, co znaleźli się tam po niewoli. A za prawdę nie biją — w wolnym świecie.

Nieznany tekst jest fragment przemówienia Dąbrowskiej w moskiewskim Centralnym Domu Literatów. Ale tu mogą się nasuwać wątpliwości co do jego autentyczności. Oto dlaczego.

Artykuł p. Staniukowicz z r. 1963 jest doskonale konwencjonalną laurką jubileuszową. Chciała ona stwierdzić, że czytelnik sowiecki uwielbia polską jubilatkę i że *vice versa* znakomita polska pisarka jest pełna uwielbienia dla ZSSR. O fakty jednak, którymi by mogła udokumentować te twierdzenia, nie było łatwo. Pisarstwo bowiem Dąbrowskiej nie było w Rosji poczytne. Kiedy p. Staniukowicz pisała swój artykuł, *Noce i dnie* nie były jeszcze przełożone na język rosyjski. Przekład ukazał się później, w roku 1964. Trzeba było dopiero odwilży z lat rządów Chruszczowa, aby powieść mogła ukazać się po rosyjsku. W wydaniu masowym ogłoszono w Rosji tylko marginalną nowelę *Na usi wesele*. Nic dziwnego, że w słowach Dąbrowskiej, wygłoszonych przez radio moskiewskie, brzmi nuta wyrzutu: „Pragnęłabym, aby jeżeli nie dzisiaj, to chociaż w przyszłości moja twórczość przydała się również czytelnikom radzieckim”.

Nie łatwo też było o dowody entuzjazmu Dąbrowskiej dla ZSSR. Jedyny przykład, jaki p. Staniulewicz mogła przytoczyć, to właśnie owe przemówienie radiowe. Tekstu przemówienia, wygłoszonego w Centralnym Domu Literatów, wtedy jeszcze nie zna. Ale wie, że Dąbrowska przemówienie takie wygłosiła. Powołuje się tu na sprawozdanie, jakie ogłosiła *Literaturnaja Gazieta* z 15 października 1953 roku.

Sprawozdanie to jest nieobojętym dla nas dokumentem. Dowiadujemy się z niego, że na zebranie w Domu Literatów przybyło obok ludzi teatru czworo polskich pisarzy, Dąbrowska, Kowalska, Strykowski i Woroszyłski. Przemawiali Dąbrowska, Kowalska i Strykowski. W sprawozdaniu streszczono przemówienie Strykowskiego i zacytowano fragment przemówienia Kowalskiej. O Dąbrowskiej tyle tylko, że przemawiała. Gospodarze moskiewscy na pewno doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że Dąbrowska nie przyjechała do Rosji jako dama do towarzystwa Anny Kowalskiej, ale przeciwnie, że jeśli

kto z tej czwórki reprezentuje literaturę polską, to przede wszystkim ona. I gospodarze ci znani są też jako wielcy skrupulanci w sprawach protokołu. Jeśli zatem Dąbrowską w sprawozdaniu tym tak sprostowano, musiały istnieć po temu ważne przyczyny. Przemówienie jej musiało być na tyle niekonwencjonalne, na tyle odbiegać od szablonu, od tego co chciano usłyszeć, że postanowiono ją ukarać. Przecież tak ujęte sprawozdanie to afront, wyrządzony Dąbrowskiej.

Tekst przemówienia w Domu Literatów nie był dostępny p. Staniulewicz za życia Dąbrowskiej, w roku 1963. Wypłynął dopiero teraz. Skąd? Z jakich zbiorów? Przekład to z rosyjskiego czy oryginał? Milczy o tym notatka, tak skrupulatna w prezentowaniu czytelnikom tytułu naukowego p. Staniulewicz.

Warto być w tych sprawach ostrożnym. Kto ciekaw, może zajrzeć do numeru *Izwestij* z 25 kwietnia 1941 r. Znajdzie tam artykuł Boya-Zeleńskiego „Rozkwit polskiego teatru we Lwowie”. Podpis pod nim, „Professor I. Boy-Zeleński”, musiał zostać wykoncypowany w redakcji *Izwestij*. Boy miał zbyt dużo poczucia humoru na to, aby się ośmieszać takim groteskowym podpisem. Jest w tym artykule na pewno niemało autentycznego tekstu Boya. Tak żywo, zgrabnie, z werwą pisać o teatrze tylko on potrafił. Ale czy wszystko, co w artykule tym czytamy, zostało wystukane przez jego maszynę? Czy to on sam napisał, że pod rządami sowieckimi we Lwowie „teatr uzyskał twórczą swobodę” („teatr poluczył tworczeskiju swobodu”)? Redakcja zbiorowego wydania *Pism* Boya (nakładem PIWu) artykułu tego — jakże taktownie — do wydania nie włączyła. Pozostał „nieznany Boyem-Zeleńskim”.

W. W.

## Komunikat

### FUNDUSZ PAMIĄTKOWY IM. HARRY A. JANKIEWICZA

Uniwersytet w Houston, College of Optometry podaje do wiadomości, że został utworzony Fundusz pamiątkowy im. dr. Harry A. Jankiewicza, wybitnego okulisty, który zmarł w dn. 25 stycznia rb. Celem tego Funduszu jest udzielanie stypendiów studentom Uniwersytetu w Houston, poświęcającym się tej dziedzinie nauki. Uniwersytet wzywa wszystkich członków tego zawodu do poparcia Funduszu, oraz do nadsyłania darów na adres: University of Houston, College of Optometry, for „Harry A. Jankiewicz Memorial Fund”, Houston, Texas 77004.

Jak się dowiadujemy jest to pierwszy Fundusz utworzony przez amerykański uniwersytet dla uczczenia pamięci wykładowcy polskiego pochodzenia.

## Książki

### Dygresje o polskim marksizmie

Następujące uwagi będą mieć charakter ogólny, jednak wiele z nich wyłoniło się przy lekturze broszury Henryka Skolimowskiego „Polski marksizm” (Londyn 1969, „Odnowa”) i praca ta będzie często cytowana, przeważnie dla zilustrowania błędnych tendencji, które w niej rzucają się w oczy, jakkolwiek nie są wyłącznie jej właściwe.

Wszelkie rozważania na ten temat powinno otwierać zdanie w rodzaju tego, które Skolimowski rzucił mimochodem dopiero na str. 69: „Nie powinniśmy zakładać z góry (jak to się często czyni na Zachodzie), że ktokolwiek jest marksistą, jest nietwórczym, a kto jest twórczym, jest nie-marksistą, gdyż takie rozumowanie to kiepska logika”. Podobne rozumowanie, jak słusznie dodaje Skolimowski, pozwalało hitlerowcom udowodnić niepolskość Chopina z pomocą następującego sylogizmu: geniusz nie może być Polakiem, Chopin był geniuszem, ergo Chopin nie mógł być Polakiem.

Nie ma w tym ani cienia przesady. W stosunku wielu osób do marksizmu emocja zastąpiła myślenie, frazes demagogiczny zastąpił świadomość, warknięcie zastąpiło potrzebę dowiedzenia się czegokolwiek. Zdarza się, że byle nieuk krzywi się na samo nazwisko Marksa, nie wiedząc, o co w ogóle chodzi i tym bardziej nie uświadamiając sobie, że Marks jest mimo wszystko jednym z największych badaczy i myślicieli epoki: niezależnie od swoich błędów i uproszczeń (któż ich nie popełniał) i tym bardziej niezależnie od złowrogiej funkcji propagandowej, do jakiej zużyli jego myśl i część jego dzieł przywódcy partii rządzącej przy pomocy terroru w pewnym imperialistycznym mocarstwie.

Inne mocarstwo, niemniej złowrogie, powoływało się w podobny sposób na Nietzschego. Czy przez to Nietzsche przestał

być wielkim człowiekiem, pisarzem i filozofem? Ani Marks i Engels, ani Kant, Schopenhauer i Nietzsche, ani setka innych wielkich myślicieli wraz ze swymi ideami nie odpowiadają za niegodziwe cele, do jakich ich użyto; a tym bardziej za to, czego niegodziwość wynikała z ich myśli w sposób pośredni. Jest to prawda, choć truistyczna, którą w odniesieniu do Marksa i marksizmu trzeba wciąż uświadamiać większości antykomunistów, aby ich przeświadczenia nie działały przeciwko nim samym. Można być nawet antykomunistą i zarazem marksistą; jest wielu takich; można być komunistą lub działać jak komunistą nie wyznając marksizmu albo w ogóle żadnej ideologii, albo wyznając ideologię sprzeczną z marksizmem, jakąkolwiek, nawet i chrześcijańską.

Wcale nie chcemy przez to powiedzieć, jakoby marksizm nie zasługiwał na krytykę.

Zarówno dzieła i poglądy samych Marksa i Engelsa, jak wielu ich następców, zgodnych między sobą czy skłóconych i denuncjujących się wzajemnie jako odstępcy lub rewizjoniści, domagają się obszernej krytyki. Wartość ich jest bardzo niejednakowa w różnych dziedzinach. Tak np. teorie ekonomiczne Marksa stanowią chyba najcenniejszą, najtrwalszą część jego dorobku; wypadły w historię z historiozofią, socjologią i historią kultury bywają odkrywczymi, a bywają tendencyjne i opaczne; logika i epistemologia są prawie bezwartościowe. W sumie jest to ogromny zestaw myśli i wiedzy, do dziś produktywnych i zasługujących na badanie lub nawet kontynuację; choć pod niejednym względem już zdystansowanych lub zdyskwalifikowanych.

W każdym razie najgłupszym z możliwych sposobów ustosunkowania się do marksizmu jest jego ignorowanie i lekceważenie.

Taki stosunek jest poza tym ślepotą. Jeżeli nie z innych przyczyn, to choćby dlatego, że marksizm jest (bez winy, choć może nie bez zasługi Marksa i wielu marksistów) podstawą dość skutecznie funkcjonującej od pół wieku ideologii państwa, które jak nikt inny zagraża światu i cywilizacji; że jest on również — choćby tylko powierzchownie przyswojonym — hasłem rozkładowej działalności wielu sił i ruchów społecznych, starających się podkopywać i dezintegrować nasz świat i cywilizację od wewnątrz. Kto w tej sytuacji zadawała się pogardliwym frazesem, idzie tym siłom na rękę i dba tylko o swój bezwład umysłowy, swoje frazesy, swój spokój i wygodę, nie interesując się naprawdę losami świata.

*Marksistowski katechizm jako punkt odniesienia*

Aby z sensem dyskutować o marksizmie, trzeba o nim naj-

pierw coś wiedzieć. Niestety na porządku dziennym jest zabieranie w tej sprawie głosu przez ludzi, którzy nie potrafią wymienić tzw. czterech praw dialektyki; niezbyt dokładnie pamiętają marksistowski schemat formacji społeczno-ekonomicznych; nie słyszeli o marksistowskich definicjach prawdy i wolności; nie potrafią wymienić stadiów, przez jakie przechodziło zmieniające się „marksistowskie” rozumienie państwa i rewolucji od Marksa do Stalina. Te zagadnienia, wybrane niemal na chybił trafił dla przykładu, mogą zarazem służyć jako test kontrolny: jeśli choć w jednym z wymienionych punktów pamięć czytelnika nie nasuwa całkiem konkretnych i precyzyjnych odpowiedzi — to znaczy, że czytelnik nie zna podstaw doktryny marksistowskiej; i miejmy nadzieję, że nigdy nie próbował jej dyskutować, za ani przeciw.

Nie ukrywajmy jednak, że spora część czytelników interesujących się rolą marksizmu we współczesnym życiu umysłowym i politycznym, nie ma tych spraw tak na świeżo w pamięci.

Dlatego, rozpoczynając jakikolwiek dyskurs (np. w formie popularnej broszury) z niespecjalistami, trzeba najpierw przypomnieć co najmniej te z podstawowych pojęć marksizmu, którymi się mamy zajmować: aby rozmowa czy lektura miała w ogóle jakikolwiek sens.

Marksści i specjaliści od marksizmu są w tym szczęśliwym położeniu, że popularyzacja podstaw marksizmu — zgodnie z jego założeniami socjotechnicznymi — ma znakomite tradycje. Istnieją liczne wzorowe, klasyczne już zarysy podstaw marksizmu np. Kautskiego, Plechanowa i Politzera, a także gładko i przejrzysto napisany wstęp samego Engelsa „Rozwój socjalizmu od utopii do nauki”. Przykład tego ostatniego dziełka jest tym bardziej pouczający, że składa się ono właśnie z kilku rozdziałów referujących podstawy własnego systemu, a wyjętych z obszernej i przeważająco polemicznej książki na temat o wiele bardziej specjalny: por. to co powiedzieliśmy wyżej o potrzebie dostarczania czytelnikowi zwięzłe uporządkowanych prolegomenów, jeśli nie ma pewności, że przystępując do lektury sam je posiada.

Wzorowym przykładem, jak czynić nie należy, jest „Polski marksizm” Skolimowskiego. Książka ta na pewno nie jest pracą naukową, przeznaczoną dla specjalistów — nie ma w niej metody ani dyscypliny wywodu, nie ma spostrzeżeń ani odkrywczych wniosków stanowiących o naukowym charakterze pracy. Jest to więc praca popularyzatorska — jednak w większej części nic nie dająca temu, kto nie jest dobrze obyty z pojęciami i specyficzną terminologią marksizmu. Autor nie dał nawet najbardziej zwięzłego zarysu doktryny marksistowskiej, takiego, jaki zmieściłby się na paru stroniczkach i od biedy wystarczyłby, aby na jego tle pokazać, w jakim zakresie polska myśl marksistowska wykazy-

wała oryginalność; bez tego wszystkie wywody autora wiszą w powietrzu; nie tylko dlatego, że czytelnik może nie mieć ich z czym skorelować, ale i dlatego, że sam autor, nie ustalwszy uprzednio siatki odniesień, nie dokonał takiej korelacji nawet sam dla siebie: a przynajmniej konsekwentne dopełnienie tego procesu myślowego nie jest widoczne.

W odniesieniu do marksizmu we wszelkich jego odmianach i do wszelkich doktryn z nim spokrewnionych szczególnie ważna jest ta siatka odniesień oraz ich kompletny schemat, m.in. dlatego, że myśl marksistowska rozwija się przeważnie w warunkach ograniczenia, przymusu, tropienia nieortodoksy — podobnie jak to bywało z myślą chrześcijańską. Autor pisze o Kołakowskim (str. 52): „U scholastyków ujrzał przykład, w jaki to sposób idzie się własnymi drogami, w jaki to sposób odstępuje się od uświęconych doktryn i zmienia się je w sposób zasadniczy, a równocześnie sprawia się wrażenie, że się tylko wyklarowuje i wyjaśnia te doktryny, wychodząc przy tym z założenia, że każda doktryna może być bardziej wyklarowana. Jest w zwyczaju traktować egzegezę jako coś trywialnego, jako coś co jest zaprzeczeniem nowości. Musimy zwrócić uwagę jednak, że wszystkie najwybitniejsze doktryny filozofii scholastycznej powstawały jako rezultat egzegezy. Zatem egzegeza... czasem prowadzi do powstania nowych doktryn”.

Trafnie wskazawszy tę prawidłowość niezwyklej wagi, Skolimowski nie umiał już doprowadzić do właściwej puenty i poinformował nas tylko, że tak też było w wypadku Kołakowskiego, zamiast zasygnalizować sprawę nieporównanie ważniejszą: że jest to jedna z reguł narzucających formy twórczego myślenia w ramach marksizmu, a zwłaszcza zinstytucjonalizowanego marksizmu, jaki panuje np. w Polsce od ćwierci wieku.

### *Marksizm zamknięty i marksizm otwarty*

Zasadniczy problem i temat sporu w doktrynie marksistowskiej: czy marksizm jest systemem zamkniętym czy otwartym. Z pozoru sądząc, problem taki nie istnieje wewnątrz samego marksizmu: wszyscy marksści zgadzają się, że marksizm jest systemem otwartym, a wszyscy przeciwnicy twierdzą, że jest zamkniętym. W rzeczywistości jednak najbardziej zaciekły spór o to rozgrywa się wśród samych marksistów, z tym tylko, że nazywa się go sporem o to, jak należy rozumieć „otwartość” systemu. Te werbalne sztuczki oczywiście nie mają wpływu na istotę problemu.

Polski marksizm „wyróżnia się oryginalnością, klarownością

i rygiorem myślowym, które na ogół są niespotykane w tradycyjnej filozofii marksistowskiej, z wyjątkiem dorobku myślowego samego Marksa”, jak słusznie podkreśla Skolimowski (str. 9), pisując to znakomitym tradycjom polskiej filozofii międzywojennego dwudziestolecia, zwłaszcza filozofom szkoły analitycznej (Łukasiewicz, Leśniewski, Tarski, Kotarbiński, Ajdukiewicz, Tatar-kiewicz) i kilku innym (Ingarden, Chwistek, Witkacy). Tradycje te, ich „racjonalność i bezkompromisowość ścisłego myślenia”, z początkiem lat 50-tych „odebrały moc atakowi marksistowskiemu, prowadzonemu z pomocą ideologicznych sloganów i komunałów” (str. 42). W ostatecznym wyniku „połączenie problematyki marksistowskiej z narzędziami i postawami nowoczesnej metodologii i semantyki przyczyniły się do wykrystalizowania nowej filozofii: polskiego marksizmu, który jest marksizmem analitycznym, krytycznym i twórczym... Otoczenie nasycone myślą krytyczną, przeniknięte filozofią racjonalistyczną, musiało wywrzeć wpływ na dogmatyczny charakter marksizmu. Z drugiej strony polscy marksiści zbyt serio potraktowali inną maksymę, mianowicie, że marksizm z istoty swej jest twórczy, że jest systemem otwartym. Trzeba z naciskiem podkreślić, że maksyma ta zawsze była postulowana, ale nigdy spełniona. Kiedy polscy marksiści starali się pokazać że marksizm jest filozofią twórczą, kiedy to wypracowali nowe idee w latach pomiędzy 1956 a 1968 udawadniając, że marksizm może być systemem otwartym, wtedy to bicz boży spadł na nich. To rozszerzenie marksizmu okazało się nie do przyjęcia dla prawowiernych, ortodoksyjnych marksistów. I dlatego w roku 1968 wśród polskich marksistów nastąpił pogrom, ekskomuniki, egzorcyzmy. Jest w tym ponury paradoks. Właśnie wtedy, kiedy powiodło im się w urzeczywistnieniu twórczego i otwartego systemu, przeprowadzono wśród nich czystkę — za ich twórczość, za ich oryginalność” (str. 9-11).

Ta charakterystyka trafia w sedno.

Cenny, wprost nieodzowny dla zrozumienia tej sprawy jest wstęp w postaci zwięzłego przeglądu tych właśnie tradycji wspólnie filozofii polskiej dwudziestolecia międzywojennego, nie zawsze znanych i uświadamianych przez niespecialistów. Można darować Skolimowskiemu, że przegląd ten jest bardzo niekompletny; trudniej darować, że streszczenie to jest — jak na popularyzację — zbyt techniczne; czytelnik mniej obyty z historią i problematyką filozofii nie bardzo się chyba połapie, w jaki sposób mgliście tam opisane prace i poglądy wpłynęły na uszlachetnienie polskiego marksizmu.

Główny paradoks marksizmu (nie tylko polskiego) polega może mniej na tym, że co lepsi z marksistów „zbyt serio traktują swe zadania przemienienia marksizmu na filozofię żywą i twórczą”

(str. 97), a bardziej na tym, że w tym celu trzeba sięgać po bodźce i przejmować metody zewsząd, tylko nie z samego marksizmu: choćby ze scholastyki i mistyki średniowiecznej, z polskiej filozofii analitycznej czy z innych źródeł. Tylko przez nie może jeszcze prowadzić droga do twórczej myśli w marksizmie: czyli do tego, od czego zaczął się marksizm w wykonaniu samego Marksa, który — jak wiadomo — już za życia odżegnywał się od „marksistów” i podkreślał, że on nie jest „marksistą”.

Istota marksizmu (jak wielu innych zdrowo pomyślanych doktryn) polega bowiem na tym, że im rzetelniej realizować jego założenia, tym bardziej marksizm przestaje być marksizmem i zmienia się w zwykły racjonalizm, nie będący już niczyją ideologią ani doktryną, tylko po prostu zbiorem wyników uzyskiwanych przez krytyczne umysły w rozmaitych dziedzinach wiedzy. Nawet etykieta (naiwnie pojmanego) materializmu staje się zbyt rozmazana, aby mogła do czegoś służyć.

Nic dziwnego, że taka linia rozwoju, w naturalny sposób wynikająca z podstawowych założeń marksizmu, nie budzi entuzjazmu tych, którym potrzebny jest zbiór sloganów, a nie żadna wiedza. „W Związku Sowieckim są setki a chyba tysiące filozofów, uprawiających i rozpowszechniających marksizm, i równocześnie jeśli zważymy nikłość ich osiągnięć, a często szokujące ubóstwo myślowe ich dzieł, to musimy wtedy przyznać, że polski marksizm jest zjawiskiem wyjątkowym. I faktycznie po drugiej wojnie polscy marksiści byli pionierami na wszystkich niemal polach marksistowskiej filozofii i socjologii. Nie było to dobrze widziane przez marksistów sowieckich. Czy w grę wchodziła zawiść połączona ze świadomością własnej niemocy intelektualnej, czy też założona z góry zasada sowieckiej nauki, że wszystkie myśli oryginalne i wynalazki mają swe źródło w Rosji, faktem pozostaje, że sowieccy filozofowie niechętnym okiem patrzyli na poczynania Polaków, chociaż niekiedy po kryjomu ich naśladowali, aby nie powiedzieć plagiaryzowali” (str. 92-93).

To też trafna uwaga i właściwie ustalająca wyjątkową wagę polskiego marksizmu w skali międzynarodowej: jakkolwiek lekomyślnie brzmi ta lekceważąca ocena Rosjan, jednostronna i bezkrytyczna, wraz z towarzyszącą jej płytką próbą psychologicznej motywacji.

Warto by jednak dla wyrazistości podkreślić, jak znikome, prawie zerowe są na tym tle osiągnięcia intelektualne marksistów niemieckich czy francuskich, mimo wielkiej liczebności, aktywności i w pewnym sensie doborowości środowisk marksistowskich w N.R.D. i we Francji. Ale w zakresie marksizmu są to raczej krajowe filie centralnej wytwórni sloganów, niż tereny działalności umysłowej.

Nie ma sensu utożsamianie ideologii ze złem, jakie czyni się pod jej pokrywką. Nie ma sensu naiwna opinia Skolimowskiego, że „marksistowski humanizm i wszystkie ideały marksistowskiej filozofii człowieka są zbiorem komunałów, jeśli pod ich pokrywką prześladuje się mniejszości narodowe” (str. 99). Na tej samej zasadzie można by nazwać „zbiorem komunałów” chrześcijaństwo, skoro pod jego pokrywką działała inkwizycja i do dziś często działa ciemnogród; ale nikt rozumnie myślący nie będzie tych rzeczy w tak prostacki sposób kojarzył.

Prawdziwą słabością marksizmu jest jego anachroniczność, zacofanie, obficie rozsiane w nim relikty zapóźnionego rozwoju, który niewiele postąpił w ciągu minionego stulecia, a jeszcze mniej, odkąd marksizm stał się szyldem ustrojów totalitarnych i odkąd związała się z nim w praktyce reguła, o której dziś można powiedzieć: „Zaden system nie może aspirować do rangi humanistycznego i ludzkiego, jeśli niszczy tych, którzy go usiłują doskonalić” (str. 99). Taki marksizm jest niewątpliwie systemem zamkniętym; jest to nie system światopoglądowy, lecz werbalna deklaracja ideowa władzy, partii, maszyny państwowej. Inny marksizm, choćby nawet częściowo pokrywający się z tamtym, mianowicie marksizm godny nazwy systemu światopoglądowego, może być systemem otwartym.

Nie ma sprzeczności i jedno drugiego nie wyłącza.

W drukowanych pracach marksistów (może prócz indywidualnych wyjątków w rodzaju Kołakowskiego) spotykamy zwykle mieszaninę obu tych składników. Proces oceny i opisu musi się zacząć od ich wyodrębnienia.

### *Dowolność podziału i jej skutki*

Filozofia to termin, jak wiadomo, wysoce relatywny. Zakres tego pojęcia zmieniał się nieustannie i przeważnie zacieśniał, kiedy różne dyscypliny, jedna za drugą, usamodzielniały się w osobne nauki i przestawały wchodzić w zakres filozofii. Z kolei różne systemy do dziś rozmaicie określają ten zakres na własny użytek. Ograniczmy się więc do przypomnienia dość oczywistej zasady — że o ile w ogólnej systematyce nauk jest to zagadnienie dość istotne, to przy omawianiu pojedynczego systemu lub doktryny wyodrębnienie w nich składników filozoficznych i poza-filozoficznych bywa zabiegiem akademickim, bezcelowym, a nawet zamykającym obraz całości.

Do niewielu systemów reguła ta stosuje się tak wyraziście jak do marksizmu.

W systemie tym zagadnienia *par excellence* filozoficzne, jak

ontologia czy epistemologia, mają kształt szczątkowy lub anachroniczny. Zasadnicza rola w konstrukcji systemu przypada tym problemom, których współcześnie raczej nie zaliczylibyśmy w ogóle do filozofii. I na odwrót: doktryna marksistowska jest potężnie powiązana z takimi dyscyplinami jak np. ekonomia i socjologia, jest na nich oparta i w znacznej mierze od tych dyscyplin nieodłączna. Nie można więc rozpatrywać marksizmu jako samej filozofii, czy głównie filozofii; podobnie jak dziwactwem metodologicznym byłoby rozpatrywanie filozofii chrześcijańskiej bez teologu.

Jeśli więc ktoś postanawia się zająć nie marksizmem jako takim, tylko filozofią marksistowską, to albo ogranicza się do mniej istotnych części składowych systemu, albo musi wciąż wykraczać poza ramy, które sam sobie zakresił.

Pokazowego przykładu na to dostarczył Skolimowski. Wbrow tytułowi swej książki „Polski marksizm” informuje już w jej pierwszych zdaniach, że będzie mówił „o polskiej filozofii powojennej, a w szczególności o polskim marksizmie”, przez co rozumie „filozofię marksistowską, która powstała w Polsce po drugiej wojnie światowej, a w szczególności w okresie pomiędzy latami 1955-1968”. Inaczej mówiąc — nie *cały* marksizm, tylko jego część filozoficzna; nie *cały* marksizm *polski*, tylko powojenny, i też nie z całego okresu, tylko z połowy. Trudno zrozumieć, jakie motywy oprócz przypadku mogły spowodować wydanie książeczki omawiającej nie temat wymieniony w tytule, ale jego część, tak dziwnie wykrojona z całości.

Zrozumiałe jest, że Skolimowski ze względu na swoją specjalizację naukową (jego główną pracą jest „Polish Analytical Philosophy”, 1967) interesuje się raczej filozofią w ścisłym tego słowa znaczeniu i logiką. Nie można jednak tak dalece naginać tematu do swoich zainteresowań — albo należało ten temat sprezyzować i opracować go bardziej metodycznie jako „Niekłóre z wpływów polskiej filozofii analitycznej w koncepcjach filozoficznych polskich marksistów ostatniego dziesięciolecia”. Po pewnym dopracowaniu książeczka Skolimowskiego miałaby rację bytu jako studium na tak ograniczony temat i pod takim mniej więcej tytułem. Wtedy znów należałoby zrezygnować z takich dygresji jak np. wizjonerstwo i mistyka Kołakowskiego oraz jego uczuciowe reakcje na symbolikę postaci Chrystusa; polityczne ambicje i rozgrywki Schaffa; oraz inne podobne a rozlegle traktowane tematy, nie mające nic wspólnego ani z doktryną marksizmu, ani z wpływem filozofów analitycznych.

Ponieważ jednak autor sam siebie rozgrzeszył z kompletności, zobaczmy, czego nie uwzględnił.

Nieobecnością świecą zwłaszcza podstawowe nazwiska polskich socjologów (*nota-bene* słynących w świecie stokroć bardziej niż

jakikolwiek polski filozof-marksista, może od niedawna z wyjątkiem Kołakowskiego, i przez to bardziej niż ktokolwiek inny nadających się do reprezentowania polskiego marksizmu), zarówno prekursorów, jak i współczesnych. Stanisław Brzozowski został uhonorowany osobnym rozdziałkiem, zresztą aż żenująco płytkim i pobieżnym — gdy równocześnie prowadzone są nad nim rozległe i głębokie studia i w Kraju, i na emigracji; nawet cytaty autor czerpie nie z pism samego Brzozowskiego, ale z książki Miłosza o Brzozowskim „Człowiek wśród skorpionów”. Cokolwiek ten szkic byłby wart — nie spełnia on w książce żadnej roli, jeśli później między Brzozowskim a Kołakowskim zionie pół wieku próżni. Autor nie wspomniał nawet o postaciach tak rzucających się w oczy jak L. Krzywicki, St. Czarnowski czy St. Rudniański, którzy — w dodatku — zajmowali się nie tylko socjologią, ale choćby i religionistyką, i takimi samymi zagadnieniami z zakresu filozofii człowieka jak te, które autor szeroko omawia np. w twórczości Schaffa.

Wreszcie ledwie mignęły nazwiska polskich marksistów — ludzi-badaczy tak ogromnego formatu jak Stanisław i Maria Ossowscy.

A wszak ci ostatni byli jeszcze bardziej od poprzednio wymienionych czynni nie tylko w socjologii, ale i w dyscyplinach bardziej filozoficznych, i to również w tych samych czasach, na których Skolimowski koncentruje swoją uwagę! Wystarczy wymienić tytuły i daty następujących dzieł, wydanych w latach 1946-1963, a przeważnie po roku 1956, w tym niejedno mające do trzech wydań polskich oraz książkowe wydania obce, zwłaszcza w przekładach na angielski: przede wszystkim St. Ossowskiego „Z zagadnień estetyki”, „O osobliwościach nauk społecznych”, cytowane nawet przez Skolimowskiego „Marksizm i twórczość naukowa w społeczeństwie socjalistycznym” czy „Struktura klasowa w społecznej świadomości”. To ostatnie dzieło poświęcone jest w znacznej części tak fundamentalnym zagadnieniom marksizmu jak pojęcia podziału klasowego i walki klas: jak wiadomo, problemy znacznie wykraczające poza socjologię czy ekonomię, znajdujące się w samym centrum tego, co w marksizmie można nazwać filozofią; i nigdzie chyba nie opracowane głębiej, bardziej wnikliwie i odkrywczo. Niemniej fundamentalne są dzieła Marii Ossowskiej, jak „Podstawy nauki o moralności”, „Moralność mieszczańska”, „Motywy postępowania” czy „Socjologia moralności” z zawartą w niej słynną rozprawką „O pewnych przemianach etyki walki”. Skolimowski nawet nie wspominał o tych najwybitniejszych może pracach w dziedzinie aksjologii, jakie ogłosił kiedykolwiek marksista; za to wymienił S. Morawskiego, M. Fritzhandę i H. Jankowskiego! Wymienił kilku autorów zaj-

mujących się historią filozofii — ale całkowicie przemilczał autora i dzieło ważniejsze od wszystkich przez niego wymienionych: Tadeusza Krońskiego „Rozważania wokół Hegla” (1960).

Są to opuszczenia tym bardziej szokujące, że przemilczając np. olbrzymie dzieło życia Ossowskich, autor odnotował na identyczny temat — tylko że śmiesznie dyletanckie i nieproporcjonalne w tym kontekście — uwagi Schaffa, który „wykazał, że człowiek może być sfrustrowany i wyobcowany nie tylko w społeczeństwach kapitalistycznych, lecz także w społeczeństwach socjalistycznych i zadanie filozofa polega na dostrzeżeniu tej alienacji” (str. 83). W jednej i tej samej dziedzinie filozofii człowieka nie zauważyć Ossowskich, a poświęcić parę stron jednej książce Schaffa? To brzmi jak dowcip.

Tyle uzupełnień, bynajmniej nie aspirujących do kompletności, a jedynie pokazujący ogrom braków i przeoczeń, które sprawiają, że praca Skolimowskiego nie spełnia nawet szkieletowo zapowiedzi zawartych czy to w tytule, czy choćby we wstępie.

Trudno mieć pewność, ile w tym wszystkim jest metody, a ile przypadku. Nie jest to jednak ważne, gdyż chodzi tu o problem ogólny: a książeczka Skolimowskiego jest tylko jaskrawą ilustracją złych skutków, jakie wynikają z nieprzemyślanej próby wydzielenia części z przedmiotu (którym tu jest marksizm) w sposób kolidujący z właściwościami dzielonego przedmiotu.

### *Nie mieszać filozofii z literaturą*

Wspomniane już popularyzatorskie prace klasyków i tzw. mniejszych klasyków marksizmu, przez klarowność wykładu — choć niekoniecznie myśli — ułatwiają zadanie zarówno następcom, jak i antagonistom. Nie wszyscy jednak umieją korzystać z tych ułatwień.

Nie można opisywać pojęć i systemów filozoficznych za pomocą takich np. zdań: „Kołakowski w znaczeniu jak najbardziej dosłownym doznawał bólu istnienia... w świecie, w którym ideały trzaskają jak zapalki i w którym człowiek jest tylko trzcina... moralną i cierpiącą... Kołakowski należy do kategorii proroków biblijnych; posiada naturę demoniczną, natchnioną niemal mistycznymi wizjami...”. W ten sposób można tylko ośmieszyć siebie i temat, o którym się pisze. Czegoś podobnego nie mógłby pomyśleć ani napisać Marks ani Engels, Lenin, Stalin, Ajdukiewicz ani Kotarbiński, Bertrand Russell ani Carnap, Schaff ani Kołakowski: nikt zajmujący się filozofią, logiką, matematyką, polityką ani propagandą, biografiami ani cokolwiek konkretnym. To nie jest sposób myślenia i formułowania używany w nauce ani w po-



pularyzacji, w krytyce ani w literaturze. Poprzestańmy na tym negatywnym stwierdzeniu, gdyż nie zajmujemy się tu krytyką książeczki Skolimowskiego i chodzi nam jedynie o wnioski metodyczne. Rzecz w tym, że konkretną wiedzę trzeba przekazywać konkretnie; nawet z tego, co mgliste i zagmatwane, specjalista winien wydobywać konkretną i prostą treść; czy pisze pracę naukową, popularyzatorską czy esej literacki.

Własne prace Kołakowskiego stanowią na ogół przykład klarownej myśli i wyrazu — nawet jego prace nie naukowe, ale literackie przypowieści filozoficzne w tradycji francuskiego Oświecenia. Trudno jednak wywnioskować cokolwiek z frazesów o demonach, prorokach, wizjonerstwie i mistycyzmie albo z licznych zdań w rodzaju: „spinozański panteizm, lub może jest to pan — spirytualizm ogarnia i przenika całkowicie Kołakowskiego koncepcję człowieka” (str. 53). Po przeszło 20 stronach takiego stylu wciąż nie potrafilibyśmy sprecyzować w punktach, jakie są właściwie poglądy Kołakowskiego i w czym się różnią od marksistowskiego katechizmu? Takie frazesy bowiem nic nie mówią o poglądach, filozofii i osiągnięciach poznawczych Kołakowskiego, a stwarzają tylko teatralnie groteskowy obraz jego postaci, w dodatku wręcz komiczny, jeśli pomyśleć, że mamy do czynienia nie z jakąś postacią z guseł w „Dziadach” Mickiewicza tylko z 40-letnim trzeźwo myślącym naukowcem.

Obok tego punkt ciężkości jest przeniesiony na sprawy zupełnie niezwiązane z marksizmem, oderwane od filozofii i wręcz antyintelektualne: Kołakowski „jest fenomenem polskiej filozofii, szczególnie dlatego, że jego nazwisko łączy się czasami z nazwiskiem Herberta Marcuse’a i Che Guevary jako duchowego ojca studenckich rewolucji” (str. 11). Jak można porównywać naukowca, w dodatku tej klasy co Kołakowski, choćby z najsympatyczniejszym przywódcą ludowym — albo opierać jego pozycję jako filozofa na tym, że jest krajowym bożyszczem *hippies’ów* jak Che Guevara? Może wobec tego — *vice versa* — na katedry uniwersyteckie i do następnego tomu „Historii filozofii” dostaną się Fidel Castro, Kerouac, John i Yoko Lennon? A czemu nie Twiggy?

Inny przykład: „Jego przekonania są chyba tak głębokie, jak i Marksa... Głębsze, gdyż w Kołakowskim jest coś z wizjonera i mistyka, co sprawia, że jego przekonania i twierdzenia są tym bardziej zniewalające” (str. 68-69). Wzrusza nas fakt, że Skolimowski uznał Kołakowskiego za głębszego i bardziej zniewalającego niż Marks; oby wszyscy komuniści na świecie, z wyjątkiem intelektualistów, przyjęli ten pogląd. Na ogół jednak do weryfikowania przekonań i twierdzeń służy własny rozum oraz pewna technika wchodząca w zakres dyscypliny intelektualnej, a nie

cudza magia i mistyka, zwłaszcza w dziedzinie współczesnej filozofii; i tylko taką metodę zalecalibyśmy ludziom zajmującym się krytycznie badaniem marksizmu.

Wszystko jedno, który to będzie marksizm: ten od sloganów, czy ten od myśli i koncepcji; niemiecki czy francuski, sowiecki czy polski, o którym celnie pisze tenże autor, że jest polskim marksizmem, ponieważ problemy czerpane z doktryn Marksa są w nim „traktowane z metodologicznym kunsztem i przenikliwością, które cechują polską filozofię analityczną”. Marksizm ten nie jest bowiem, jak z tego wynika, stekiem głupstw i nie należy go przekazywać w tej ostatniej formie.

Zresztą nawet i głupstwo — gdybyśmy mówili o innych odmianach marksizmu — bada się po to, aby wyciągnąć z niego treść i ważne nieraz wnioski, dające się wyrazić precyzyjną myślą i słowem.

Jerzy SZPERAK

## Powstanie Warszawskie inaczej

Miron Białoszewski poeta, Miron dramaturg, od niedawna Miron prozaik i pamiętnikarz. Poeta niesamowity, dramaturg zaskakujący poetycką zagadkowością; prozaik o przedziwnej oryginalności formy i wizji.

Poetę znamy z „Obrotów rzeczy”, pierwszy chyba zbiorek jego poezji: wrażliwość na dźwięk słowa, dobór odkrywczych metafor, skrótów myślowych sięgających szyfru, ułamków świata tajemnicy, jakby odbitych w odpryskach strzaskanego zwierciadła. Jego świat cudowności dla czytelnika często niedostępny — zawieszony czarowny.

*Dnami garnków  
latają  
jaszczury starych rąk  
Gzymsy koków  
pod gzymsami szaf.  
Butle okien  
zatkane korkami twarzy.  
Kamienie*

patrzą  
porowato  
z różowych zmarszczek  
pod fioletowym podbródkiem.  
(„Jednym palcem wystukane”)

albo:

... Zgaście światło  
oto magazyn kontemplacji  
cały jesteś pokryty sercem  
rozgrzesz mnie!  
Włóż, włóżcie papierowe kwiaty do czajników  
pociągnijcie za sznury od bielizny  
i za dzwony butów  
na odpust poezji  
na nieustanne uroczyste zdziwienie.  
(„O mojej pustelni z nawoływaniem”)

Miron pisał swój „Pamiętnik” mając 45 lat, w roku Powstania liczył 22. „... byłem wtedy — pisze — bardziej naiwny i sentymentalny, nie wycwaniony, po czemu i czasy były naiwne, pierwotne, nieco beztroskie, romantyczne i podziemne, wojenne”.

Był więc Miron wtedy istotnie naiwnym młodzieniaszkiem, pamiętającym te czasy jako „beztroskie i romantyczne”. W tej też tonacji naiwno-poetyckiej utrzymany jest cały *Pamiętnik*, pisany przez człowieka dojrzałego.

„Będę szczery — pisze — przypominając sobie siebie tamtego, w faktkach może za dokładny, ale za to tylko prawda będzie”.

Któż już nie pisał o Powstaniu Warszawskim, któż o nim jeszcze pisać nie będzie? A jednak Miron po 25 latach dał nam swoim ułamkowym słowem wizję tamtych wypadków nową i niepowtarzalną.

Myli się Janusz Wilhelmi, autor wstępu do tego *Pamiętnika*, że czytelnika zrażą zdania sztuczne, kalekie, sztucznie wysilone, „które odbiera się jak rodzaj gwałtu popełnionego świadomie na języku”. — Nie ma tu ani sztuczności, ani gwałtu na języku, ale jest sztuka i absolutnie własna, swobodna niby rozmowa, nad wyraz sugestywna forma. Zresztą J. Wilhelmi przeczy sobie samemu bo już na następnej stronie pisze, że ten *Pamiętnik* potrafił w ogromie materiału „odnaleźć miejsce własne, dotąd niewypełnione i wzbogacić poprzednie publikacje słowem własnym i oryginalnym”.

W niezwyklej relacji Mirona widzimy *Powstanie* pod innym zupełnie kątem aniżeli poprzednie publikacje. Nie o walkę zbrojną tu chodzi, o tym pisali inni, a o walkę przetrwania miliońskiego miasta, o sposób przeżycia. Powstanie było dla opisywanych przez Mirona mieszkańców Warszawy klęską, podobną do powodzi lub trzęsienia ziemi i tej klęsce trzeba było stawiać czoło, ratować się. Zbiorowy, zapamiętały, po swojemu też boha-

1. Miron Białoszewski: *Pamiętnik Powstania Warszawskiego*. P.i.W., Warszawa 1970.

terski instynkt samozachowawczy stanowi materię tego *Pamiętnika*.

Powstańcy i „powstańcynie”, jak Białoszewski nazywa walczące kobiety, pojawiają się tylko przygodnie, w głębi obrazu; podobnie Niemców nie widzimy, jest tylko śmiertelna trwoga, że na ścianę schronu-piwnicy, w drżącym świetle ołtarzowych świeczek, padnie cień ich hełmów i karabinów... a wtedy...

Na stronach tego *Pamiętnika* znajdujemy tragizm sytuacji, humor ówczesnego młodzieniaszka i czystą poezję.

Z początku było pomstowania ale i entuzjazm, poczucie solidarności. Zaczęto się organizować, od razu, kuto piwnice dla przejść podziemnych, budowano barykady, organizowano wypady po żywność, do rannych, do odsypywań, do gaszeń, niektórzy przycupywali za filary i załomy schronów inni szli całymi gromadami.

„Powstanie — dziwne, bo tego słowa nie używano się przedtem w życiu. Tylko w historii, z księzek. Już nudziło. A tu raptem... jest, i to takie z 'hurraaa' i tłumem na tubudu”.

W niemieckiej tygrysce, w furazerce, z opaską przeskakuje powstaniec murek podwórzowy...

„Pierwszy powstaniec! — krzyknęliśmy.

— A wiesz Mironku, że ja bym się jemu oddała — powiedziała Irena w zachwycie przez firankę...”

Cały ten lud ek Warszawy, któremu się nie najgorzej wiodło pod okupacją ze szmuglem, przemytem i dostawami do getta, póki istniało, przyjął Powstanie jak ostatnią bitwę do przetrwania. „Tamci” mieli przyjąć, już byli blisko, grzmiała artyleria. Więc kiedy nagle gruchnęła wieść że Powstanie upadło, to lud warszawski, już mocno poszkodowany, wpadł w rozpacz.

— Powstanie upadło.

— Mój Boże — zerwały się piwnice, schody, baby, tłumy — tyle wysiłku i na marne, mój Boże. Niemożliwe.

— No, tak.

— Mój Boże — załamywali ręce, latali po podwórzach. Po niejakiach — na początku — narzekaniach — ta zaprawa, solidarność. — Bo rozpacz była.

I nagle lecą z krzykiem, z gazetkami, z odwołaniem, że nieprawda...”

Miron jak cała Warszawa pod ogniem niemieckiej broni czeka nadejścia Czerwonej Armii.

„Święto 15 Sierpnia — czytamy — nagle postanowiono obejść, uczcić. Na przekór. Od razu.

To święto kościelne było jednocześnie rocznicą tzw. „Cudu nad Wisłą”. Którego wcale nie było. Oprócz metafory nic się nie zdarzyło (!). Ale to chodziło o przedwojenne... Tym razem czekało się też na cud nad Wisłą. Też z nimi. Po drugiej stronie. I za Żeraniem. Ale żeby przyszli.

— Żeby już weszli.

— Żeby już przyszli.

— Żeby już byli”.

Czekano więc, w płonącej Warszawie, na ten „cud” co się istotnie nie zdarzyło... Nikt zza Wisły nie przychodził w pomoc walczącym.

I zaczęło się piekło. Szła groza jakiej dotąd nie było... Słońce, upał, dym, pożary, huki... Atak szedł zewsząd ale najgorszy z nieba... samoloty wstawały o świcie i bombardowały dom po domu, leciały stadami... I zaczęło się uciekanie z dzielnicy do dzielnicy, przed pożarami, przed bombami, kruszącymi pociskami artyleryjskimi i tymi z granatnika zwanego „krową” — strasznymi, zgrzyt nakręcania przypominają ryk krowy, potem liczono sekundy. I dopiero następowały wybuchy...

Z piwnicy do piwnicy, z gruzów w gruzy... a każdy unosił co mógł, żywność przede wszystkim, mąkę, suchary, makaron, cukier... Taszczyło się te worki, przepychając podziemnymi otworami, przenosiło ostrzeliwanymi ulicami, jednym susem, z narażeniem życia — byle tego żarcia nie zabrakło... A w schronach — piwnicach ustalił się matriarchat. Uzbierane w gruzach drzazgi, trzy cegły a na nich gary dymiące. Instykt samozachowawczy. Przy kuchniach ołtarzyki, obrazki, figurki święte, świeczki, śpiewy, litanie, różańce... drobienie zacierek i drobienie różańców — nawet technika — pisze Miron — podobna. I to bez przerwy i śpiewy. Kiedy w jednym schronie zaczynało „Pod Twoją Obronę” to w innym już kończono, szła pieśń dalej i dalej: O Paani, O Paani nasza!... wśród gwizdu pikujących samolotów, huku pocisków. „O Pani, o Pani, o Paani nasza...”

Swen, kolega Mirona, improwizował nabożeństwa, litanie, suplikacje. Za jego przewodem przysięgano poprawę, postanowiono żyć zgodnie. To pomagało na kilka dni, a Swen robił to nie tyle z pobożności co z aktorstwa. Jego *Suplikacje powstańcze* śpiewał cały lud schronowy Powiśla.

Z piwnicy w piwnicę, z gruzów w gruzy zakopywano się jak krety, ale i to nie pomagało, bo i gruzy były bombardowane.

W ciągu jednego z takich strasznych nalotów, na Rybakach zjawiła się kobięcina w jasnym płaszczu i zaczęła recytować na głos w łomocie pocisków Psalm 91,

*Kto się w opiekę odda Panu swemu...*

*... On ciebie z łowczych obieży wyzjuje*

*I w zaraźliwym powietrzu ratuje...*

Wycie pikujących samolotów, wybuchy bomb, kurz, dym, osuwanie się murów... całych pięter... Ludzie kulili się przy filarach, może wytrzymają?

*Aniołom swoim każe cię pilnować*

*Gdziekolwiek stąpisz będą cię piastować...* — recytowała dalej kobieta... Świeczki migały w pomroce... Zasypie, nie zasypie?...

Starówka walczyła ostatkiem sił. Kolumna Zygmunta stała jeszcze, stała długo, aż i ją zwałił pocisk, jeden z wielu.

„Nie uchronili nas królowie. Ani myśmy nie uchronili naszych królów.

*Tego co po nich. Wszystkiego. Wszystkiego.*

*O moja Piwno! Od Augustianów! Od nieszporów!... Psalmów i Siedmiu Bolesci... Te nieszpory. Te żydowskie sprawy w kościele z gotyku w XX wieku. Językiem Kochanowskiego. I kiedy dochodziło do:*

*Ty jesteś kapłan do końca wieku  
Wedle obrządku Melchizedecha...*

*wzruszyłem się najwięcej”.*

Miron, dziecko Warszawy, znający ją na wylot, wzruszał się jej zburzeniem jak śmiercią żywej osoby. Miron unika opisów bitewnych, półstowem wspomina masakrę na Woli i los pozostawionych na Starówce — „inni już o tym pisali” — tłumaczy się. Ale walącą się Warszawę widzi jak nikt dotąd, oczami dziecka i poety.

Ucieczka poprzez barykady Leszna, w Przejazd, na Długą... „*Na lekkim skrócie Długiej, po lewej, pałac pod Czterema Wiatrami. Pali się calutki... wyje ogień w oficynach we froncie. Szumią, spadają belki. Tympanon z płaskorzeźbami jeszcze jest. Migają medaliony... I te Cztery Wiatry. Na filarach bramy. Mają złoczone skrzydła. Igrają. Świecą. Jeszcze bardziej roztańczone jak zwykle. Lecimy dalej... Na końcu Długiej za iluś barykadami dożarza się niebiesko-zielona kula na dzwonnicy Dominikanów. Dziwne. Reszta spalonego hełmu z blachy? Chyba. Lecimy...*”

Miron chodzi po wodę dla całej rodziny, po ziarno do jakiegoś opuszczonego młyna, zawsze pod ostrzałem, pod bombami. Najprzód jadło się dwa razy dziennie, potem tylko raz, a jak nie starczy mąki na zacierki — trzeba będzie kraść. Trudno.

Dalszy schron to kościół Dominikanów.

„*Pod ścianami rząd kuchenek. Gary. I wszystkie dymią, przed każdą stoi, kuca baba. W kościele tłok. Skręcamy w bok. Pełno. Ołtarze. A dużo ich. Obijane złotem, srebrem... Baroki. Figury. Roztańczone. Święte gwałtowniki, mistyki... Kręcą się od ołtarza, na boki w górę w skosy... Pod ołtarzami, pod każdym, na schodkach postacie. Żywe. Swojski barok — też i też w skosy, w boki, tylko w dół i w wymiętoszonych ciuchach...*”

Po upadku Starówki — kanały. Właz na Placu Krasińskich, pod ostrzałem. Tłumy. Pierwszeństwo mają żołnierze i ranni... Miron dźwiga rannego, wody (tak zwanej!) po kolana, krok za krokiem z przystankami, ściany porośłe grubo oślizgłą pleśnią, ani się oprzeć, ranny cięży, jęczy, prosi pić, choćby tej wody z kanału. Nie wolno... Od Placu Krasińskich do Wareckiej jeszcze „naszej” — pięć godzin! Wychodzą już późnym wieczorem, znów najprzód ranni, na noszach i ci dźwigani, ale zabrano tylko lżej rannych, inni zostali...

„*Wszyscy czuli się winni za tych zostawionych. Cywile to mniejsza... Ale ci powstańcy? Ci ciężko ranni? Ci najgorzej. Bo mundurowi i w kupie. I bezradni. I z tymi — co? Łudziliśmy się, że tak jakoś, jednak...*”

Dla Niemców nie żołnierze to byli, a „bandyci”, tak nazywali powstańców... Warci kuli. A sojusznicy przyznali Armii Krajowej

prawa kombatantów w miesiąc po wybuchu powstania, 31 sierpnia, kiedy już setki naszych żołnierzy uprzednio rozstrzelano.

Pięć godzin, chlup, chlup... górą pociski, echo niesie to, niesie... ranny jęczy, cięży, byle się nie pośliznąć, podobno trupy leżą na dnie... W jakim stanie wychodzili ludzie z kanałów — pamiętamy. A relacja Mirona nieśpieszna, dokładna, bezpośrednia — dopowiada niejedno.

Z domów płonących do domów wypalonych cuchnących spaleniżną, w blaskach nieubłaganego słońca. Na trzech poziomach żyła wtedy Warszawa: na wierzchu — walcząca, w piwnicach — schrony dla tysięcy, i pod ziemią w kanałach — ostatni ratunek lub śmierć.

W ramy Mironowego obrazu wpisana została Warszawa druga, jego Warszawa, skazana na zagładę, ta co rozsypując się w cegły, wapno, drzazgi i trzcinę zdradziła wszystkie swoje sekrety...

„Sypnęła się. Wkopała. I te sto lat wkopała. I te dwieście. I te trzysta. I te więcej. Wszystko się wydało. Od książąt Mazowieckich. Do nas. I z powrotem... Staś, Sobieski, Sasy, Wazy, Wazy, Sasy, Sobieski, Staś, Fukier, Sobiescy, Marysiénka, Sakramentki...” Wszystko co Mironowi dziecku zdawało się wspaniałe i wieczne, wszystko sypało się, trzeszczało, tryskało, dom po domu. „Wisiaty z dziur po balkonach... gzymsy podstawkowe, konsole z blachy. Huśtały się. Brzęczały. Tłukły. Cienkie, puste w środku... W ogóle Warszawa zdradzała się ze wszystkich swoich sekretów... Nie ma co ukrywać”.

I ta rozsyпка domów, pałaców, kościołów bolała chyba więcej młodemu Mirona aniżeli krzyże na skwerach z dziurawym hełmem.

Padły ostatnie punkty oporu. Kościuszkowców wycofano z Czeraniakowa, nie było żadnych nadziei na pomoc „tamtych” — i sześćdziesiątego trzeciego dnia Powstania ogłoszono kapitulację.

I tu Miron oddaje po swojemu niezwykłość tego i następnych dni, to wyrojenie się ludzi spod ziemi, te wędrówki wśród gruzów, rozważania, wahania: iść czy nie iść? Zostać w gruzach jak radzili jedni, czekać na „tamtych”? Czy zdać się na łaskę i niełaskę „tych”? Roboty? Obóz? Czy rozważka? Po wielkim powszechnym myciu, po niekończących się naradach i wahaniach ruszono ławą do wyjścia, przez Śniadeckich, Plac Politechniki i dalej wzdłuż pola Mokotowskiego. Ileż było jeszcze tego luda zaszytego w gruzach, mimo, że przecie tyle już wygarnięto z uprzednio zdobytych dzielnic...

Szli powstańcy, cywile, nosze z rannymi, tłum nieprzeliczony, tłok, noga za nogą... Miron ze swoim towarzystwem nie tracił humoru i optymizmu, idąc w to nieznanne. Bez szkody przebył obóz w Pruszkowie (R.G.O. wydawało doskonałą zupę) i dalszą drogę w zaplombowanych wagonach do Reichu do bardzo przyziemnego obozu, na trawkę. Tam ich sortowano.

W ostatnich stronach swego *Pamiętnika* Białoszewski przemilcza ważki fakt, że w okropnym stłoczeniu Pruszkowskiego obozu nie było już mowy o solidarności. Płomieniem wybuchały kłótnie, urągania, padały słowa nienawistne, przekleństwa.

„I po co to wszystko było? Zmarnowanie narodu! I miasta! Inteligencja! Ona winna wszystkiemu, żeby ich cholera...” I tak dalej, powszechnie. Ale Miron umyślnie utrzymał swój *Pamiętnik* do końca, w tonacji jemu właściwej.

Powstanie Warszawskie wpisane jest w dzieje naszego narodu, dzieje niepodobne do innych narodów. Naznaczyło ono dwie generacje, a następna dowie się o nim z pieśni i powieści, tak jak my poznawaliśmy Powstanie Styczeńskie.

Niezwykły *Pamiętnik* Mirona Białoszewskiego dopełni obrazu.

Maria CZAPSKA

## Trochę o prozie amerykańskiej

Kiedy parę miesięcy temu Erich Segal wydał niewielką książkę, którą raczej powinno się nazywać scenopisem filmowym, i zatyłował ją „Love Story”, nikt, a na pewno już nie jego wydawcy, Harper & Row, nie spodziewali się, że będzie ona takim nieprawdopodobnym sukcesem na rynku czytelnicy. Nie było bowiem w tej książce seksu, gangów ani nawet haszyszu. Nie było też klasycznego dworu na Południu i zwad rodzinnych. W ogóle na temat tego, czego w tej książce nie było i nie ma można by napisać dużo, ponieważ jednak stała się klasycznym *hit*, wydaje się, że warto by skierować uwagę w stronę tego co w niej jest.

A więc jest w niej klasyczna, a raczej klasycznie banalna historia miłości, przy czym, on jest bogaty ale pogardza rodzinną forszą, a ona jest biedna, ma świetne nogi i szczęściem udało się jej dostać stypendium do Radcliffe College.

Akcja toczy się w Bostonie i okolicach (co dla mnie osobiście jest okolicznością łagodzącą, bo bardzo mi się Boston podoba), a dla ułatwienia życia czytelnikom i autorowi toczy się głównie dialogiem. Jest to dialog z gatunku tego, który kojarzy się z Saganą, a więc nie zanadto dramatyczny, połyskliwy i bardzo łatwo przyswajalny. Opisy też są bardzo uproszczone, a już analiz psychologicznych nie ma zupełnie. Charakterystyki postaci mieszczą się w krótkich zdaniach dialogu i są żałośnie skąpe, żeby nie powiedzieć ubogie.

Młoda para poznaje się w bibliotece, dochodzi do porozumienia zaraz po meczu footballowym i wszystko byłoby świetnie, gdyby nie snobistyczna i bogata rodzina chłopaka.

Rodzina wyraża veto, chłopak staje kantem i wynosi się ze snobistycznego bostońskiego *suburb*'u, w okolice nieco dostępniejsze finansowo. I znowu byłibyśmy niedaleko *happy end*'u, bo

młoda żona zarabia w bibliotece a chłopak nauczył się lubić makaron z sosem pomidorowym, gdyby nie białaczka.

Dziewczyna bezapelacyjnie i definitywnie umiera, a chłopak godzi się z rodziną, która okazuje mu wiele współczucia.

Popularność książki jest oszałamiająca. Kiedy się jedzie *subway*em co druga osoba pożera oczyma „Love Story”. Żeby to wyjaśnić trzeba by jednak sięgnąć do socjologii i zrozumieć skomplikowane motywy zapotrzebowań emocjonalnych tłumu. Amerykańska kobieta może sobie kupić sukienkę będącą kopią oryginalnego Pucci, za jedne skromne 35 dolarów; za sumę dużo mniejszą może się dowiedzieć z szeregu naukowych i kompetentnych publikacji dlaczego jej partner nie jest interesujący w łóżku, coś jednak z potrzebą uczuć, a zwłaszcza uczuć tak wysublimowanych jak miłość?

Segal trafił tutaj swoją pozycją w dziesiątkę i chociaż w poważnym tygodniku nawymyślano jego książce od *soap drama*, nic się już tutaj nie zmieni. „Love Story” siedzi twardo na pierwszej pozycji *best-seller*ów i nie zanoszą się na to, żeby miała z tego miejsca szybko spaść.

Tak jak Segal jest cikliwy i sentymentalny, tak książka Lois Gould „Such Good Friends” utrzymana jest w tonacji intensywnie ironicznej.

Segal kończy na białaczce, bo wydaje mu się ona rzeczą ostateczną, Lois Gould zaczyna od śpiączki wątrobowej, chociaż z punktu widzenia medycyny jest to wybór równie ostateczny i dramatyczny. Na szczęście na tym się analogie między nimi kończą.

W „Such Good Friends” bohaterka Julie, staje nagle wobec faktu zapowiedzianej śmierci męża który poddał się niegroźnemu zabiegowi chirurgicznemu. Godziny spędzone w klinice i przy telefonie, spotkania z przyjaciółmi i rozmowy z nimi, stają się podwójnie intensywne od momentu, w którym Julie odkrywa diariusz seksualnych rozrywek męża, pedanta, lubiącego zapisywać: kiedy, ile, jak, i z kim. Julie błąka się po domu i po szpitalu, przygląda się kobietom, o których sądziła naiwnie że są jej przyjaciółkami, odgaduje skrót z diariusza, słucha z napięciem komunikatów specjalistów, dla których reakcja organizmu jej męża jest niezrozumiała, i przede wszystkim intensywnie myśli.

Dużo jest w tej książce erotyki, jest to jednak erotyka traktowana ironicznie. Bohaterka przesypia się z dwoma przyjaciółmi męża, chcąc zrozumieć lepiej jego pamiętnik, ale ani ona ani oni nie biorą tego zbyt poważnie.

Odmowa pójścia do łóżka, w tej sferze kulturalnych (akcja toczy się w środowisku wydawniczym Nowego Jorku i dla wrażliwych jest powieścią z kluczem) i pobłażliwych ludzi, byłaby po prostu nietaktem, a wiadomo, że o wiele więcej można zrozumieć po, niż przed. Bohaterka, Julie została przez męża doskonale wytrenowana w kierunku techniki oralnej, mimo że miała swego czasu pewne nieznaczne trudności z przełykaniem, i obydwa jego przyjaciele w pełni to doceniają. To, że jeden

z tych panów jest lekarzem, aktualnie czuwającym nad wyrwanym pacjentem z *coma hepatica*, zupełnie nikomu nie przeszkadza. Śmierć jest nieunikniona, erotyka jest nieunikniona, kulturalni ludzie po prostu pilnują, żeby istniały przegródki w ocenie zjawisk, tylko chaos prowadzi do żywiołowych reakcji, lepiej być więc pedantycznym erotomanem, niż impulsywnym a zagrożonym smakośmakiem.

Książka nigdy, w żadnym momencie nie staje się niesmaczna. Zawdzięczamy to kulturze autorki, ale chyba głównie owemu chłodnemu klimatowi ironii.

Jest to bowiem ironiczne sprawozdanie z przypadkowej śmierci, przypadkowego małżeństwa, przypadkowych miłostek, chciałyby się wreszcie powiedzieć, przypadkowego życia.

Technicznie pozycja jest bez zarzutu, dobrze napisana, unikająca mielizn cikliwości, i dreszczyków podniecenia. Jest poza tym ogromnie aktualna, nawiązująca do wydarzeń i sposobu życia amerykańskiej *upper middle class*, idealnie wiernie, wręcz do odtworzenia detali. Ani jednak z wierności detali, ani z techniki, ani z ironii, choćby się chciało ją pochwalić, nie powstaje literatura. Powstaje, kiedy zacierają się prawdziwe uczucia i prawdziwe pasje. Nawet jeśli bohaterowie autora są mali, autor musi nad tym cierpieć. Lois Gould wydaje się być ze swej bohaterki — Julie, po prostu zadowolona.

Gould wydaje mi się spokrewniona z typem pisarstwa reprezentowanym przez Mary McCarthy, ale Mary McCarthy reprezentuje dużą klasę intelektualną, a jej bohaterki mają nieco szersze perspektywy. Byłby to także inny odcień ironii, bo McCarthy jest mściwa, bezlitosna, wręcz zażarta. Jej postacie wchodzi w konflikty i zostają zniszczone, nigdy nie rozchodzą się w mglistej aurze pobłażliwości. Nie umiem przewidzieć jaką drogą pójdzie Lois Gould, ale musiałoby to być opowiadanie się za czymś bardziej żywiołowym niż uczucie spokojnej ironicznej zgody na... życie.

Pisarze o których mówiłam dotychczas, to pisarze młodzi. Eudora Welty, autorka „Losing Battles”, to już niemal instytucja. Urodzona i wykształcona w sercu Missisipi, większość swoich pozycji prozatorskich poświęciła problemom południa. W „Losing Battles” cała powieść dzieje się w upalną sierpniową niedzielę, kiedy licznie reprezentowana rodzina zbiera się by uczcić 90-lecie urodzin babki, założycielki rodu.

Akcja obejmuje głównie wspomnienia poszczególnych członków rodziny, i utrzymana jest w tonacji lekko humorystycznej. Starą panią zawodzi nieco pamięć, wydarzenia zmieniają się po latach, konflikty błędna albo przeciwnie uwypuklają się. Ogniwem łączącym okazuje się niedawno zmarła stara nauczycielka, która wszystkich znała i każdemu wdarła się szczególnie charakterystycznie w biografii. Eudora Welty pielęgnuje intensywnie atmosferę *folk*, dzięki czemu ma wielu zwolenników. Powieść warto odnotować bo jest w swoim gatunku znamienna, na europejskie standardy jednak, byłaby za długa, i chyba za mało dramatyczna.

Ponieważ instytucji literackich krytykować nie wypada, zwłaszcza przybyszowi z daleka, chciałabym więc po prostu bardzo dyskretnie zamarkować mój brak entuzjazmu dla tego rodzaju opasłej i ruralnej twórczości.

I wreszcie Ray Bradbury, z nowym tomem opowiadań, wydanych przez Alfreda A. Knopf w Nowym Jorku.

Tom jest zbiorem nowel, rozmaitej długości i o rozmaitej tematyce. Bohaterami Bradburego są zwykli, mali ludzie, z ich potrzebą niezwykłości, potrzebą wyjścia poza szary, smutny dzień o zanadto znanych konturach. Niezwykłość niedotyka ludzi znakomicie usytuowanych i zakorzenionych. Dotyka tych, którzy słabo wrosli we własny grunt, bo albo nie potrafili, albo gleba nie chciała ich przyjąć. Tak będzie we wspaniałym opowiadaniu „Any Friend Nieckleby's is a friend of mine”, i tak będzie w „The Tombling Day”. Czasami z marzenia rozwinię się fantastyka, i nie będzie można odróżnić co było początkiem a co jest końcem.

Język Bradburego jest bardzo piękny, pełen poetyckich metafor, zaskakujący, idealny instrument bogatej wyobraźni. Większość opowiadań bazuje na uczuciu strachu, ale nie jest to strach okrutny, przeciwnie, w pełni ludzki, pełen odcieni, strach oczyszczający, przyjazny. Najlepiej ujmuje to portier w irlandzkim hoteliku, kiedy mówi: *...there is a long winter ahead, let's something happen...*

I dzieją się różne rzeczy, dzieją.

Jedynym w pełni fikcyjnym opowiadaniem jest „The lost City of Mars”, historia sztucznego miasta, które przerosło ludzi. Miasta, które stało się pułapką i które zamyka się nad nieświadomymi przybyszami niczym złowieszczą rośliną z bagien.

Tom czyta się wspaniale, i poleciłabym go zwłaszcza tym, którzy przypuszczają, że uprawiając *science fiction*, można pominąć subtelności ziemskiej psychologii.

I wreszcie na koniec warto wspomnieć, że ukazały się aż dwie pozycje dotyczące pamiętnego incydentu z amerykańskim statkiem „Pueblo”. Jedna to pamiętnik kapitana statku, Bucher'a: „My Story”, a druga — „The True Story of The Pueblo Affair” Trevora Ambristera. Dramat Pueblo przedstawiony jest w miarę obiektywnie, ale centrum obu książek toczy się wokół pytania, dlaczego kapitan Bucher zdecydował się na poddanie statku Kореаńczykom. Dlaczego nie oddał ani jednego strzału? Dlaczego się nie bronił?

Chociaż książki zyskały bardzo przychylną prasę, chociaż wyjaśniono cały szereg detali, centralne pytanie pozostało nadal bez odpowiedzi. Będą więc to tylko dwie pozycje o zdarzeniu czysto wojennym, zaistniałym w czasach pozornego pokoju. Na pewno pozycje ciekawe, ale i dla literatury, i dla znawców strategii wojennej, niepełne.

Jolanta DWORZECKA

## Polonica amerykańskie (II)

Z uznaniem powitać należy inicjatywę jednego z czołowych amerykańskich wydawnictw uniwersyteckich Massachusetts Institute of Technology Press, które za jednym zamachem wydało trzy współczesne powieści polskie w angielskim przekładzie<sup>1</sup>. Jakkolwiek wybór jednej z nich może budzić pewne wątpliwości jeśli idzie o „reprezentatywność” nowej polskiej prozy, to jednak czytelnikowi amerykańskiemu dano możliwość zapoznania się z głównymi kierunkami, tematyką i poziomem artystycznym trzech autorów prozę tę współcześnie przedstawiających.

*Czarny potok* Leopolda Buczkowskiego (I wyd. pol. 1954) jest jedną z najosobliwszych powieści wojennych jakie kiedykolwiek napisano. Złożona z luźnie powiązanych scen, fragmentów i dialogów powieść o samotnej walce polskich i żydowskich partyzantów na południowo-wschodnich terenach Polski przemawia do wyobraźni czytelnika mocniej niż większość tradycyjnie skomponowanych książek o wojnie. Siła jej wyrazu artystycznego i głęboko humanistyczna wymowa postawiły ją w rzędzie czołowych osiągnięć literatury polskiej lat pięćdziesiątych, a przyswojenie jej czytelnikowi zagranicznemu poza wzbudzeniem przeżyć estetycznych pozwoli być może na korekturę pewnych pojęć o rzekomym antysemityzmie Polaków, zwłaszcza w świetle wydarzeń ostatnich dwóch lat.

Głębszy i bardziej symboliczny, a tym samym bardziej uniwersalny charakter ma powieść Konwickiego *Sennik współczesny* (I wyd. pol. 1963). Skonstruowana w formie wielkiej metafory współczesnego życia książka Konwickiego oparta jest na motywie poszukiwania własnej osobowości przez człowieka, którego wojenne losy zaważyły na całej jego psychice. Zetknięwszy się w symbolicznej dolinie Soły, miejscu skazanym na zagładę przez połączone siły natury i człowieka, z przedziwną grupą rozbitków życiowych bohater Konwickiego usiłuje odnaleźć sens swego życia i postępowania w obliczu przemożnych sił historii i przede wszystkim wojny, której upiory prześladowają go na każdym kroku. Ogromny sukces tej powieści w Polsce powinien powtórzyć

1. Leopold Buczkowski: *Black Torrent*, transl. by David Welsh, The MIT Press, Cambridge, Mass. and London, 200 pp., dol. 5,95; Stanisław Dygat: *Cloak of Illusion*, transl. by David Welsh, The MIT Press, Cambridge, Mass. and London, 220 pp., dol. 5,95; Tadeusz Konwicki: *A Dreambook for Our Time*, transl. by David Welsh, The MIT Press, Cambridge, Mass. and London, 282 pp., dol. 5,95.

się za granicą, jej problematyka bowiem daleko wybiega poza ramy jednego tylko kraju, jakkolwiek jest to powieść w pełni zrozumiała tylko w kontekście polskiej historii i polskiej współczesności.

Najnowsza tematycznie choć najbardziej tradycyjna jeśli idzie o formę jest powieść Stanisława Dygata *Disneyland* (I wyd. pol. 1965), stanowiąca ironiczny komentarz do wielu dzisiejszych mitów społecznych, takich jak np. kreowanie sportowców na bohaterów narodowych. Jakkolwiek dość naiwna historia młodego „mistrza sportu” usiłującego walczyć z hipokryzją otoczenia i z samym sobą nawiązuje do gombrowiczowskiej tradycji, którą Dygat od lat usiłuje kultywować, powieść tę trudno uznać za osiągnięcie artystyczne dorównujące obu wspomnianym wyżej książkom a tym samym za rzecz zasługującą na wydanie w serii M.I.T.

Wszystkie trzy powieści przełożył David Welsh bezbarwnie i nudno, osiągając zdumiewający efekt monotoności gdy zarówno cwaniacy Dygata jak wołyńscy Żydzi Buczkowskiego mówią dokładnie takim samym językiem jak repatrianci z Wileńszczyzny Konwickiego. W rezultacie wszystkie trzy powieści czyta się jak dzieła jednego, a nie trzech ogromnie różnych autorów. Przekłady pełne są w dodatku nonsensów wynikających z niezrozumienia tekstów lub niczym nie usprawiedliwionych dowolności wobec oryginałów. Tak więc wołyński „łozzak” zmienia się w egzotycznego łośia, rosyjski karabin maszynowy Diegtiarowa w „ciężką menażkę” itp. Z tym wszystkim jednak wydanie serii trzech powieści uznać należy za wydarzenie ważne. Wolno mieć nadzieję, że stanowiąc ono będzie od dawna oczekiwany przełom w dziejach polskiej powieści na amerykańskim rynku.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

## Saga rodu Wężyków

Niezależna, swobodnie pisana, wymykająca się spod kontroli komunistycznych cenzorów, powieść o współczesnej Polsce jest zawsze dla nas, emigrantów, interesująca. Zawierając elementy prawdy i szcerości, jest też ważnym dokumentem, świadectwem, jakich wciąż jesteśmy głodni. Takie świadectwa dali, spełniając całkowicie obowiązki pisarzy Guzy, Staliński, Wygodzki, czy Andrzejewski. Mamy już pokazać zastęp pisarzy epików swobodnie i prawdziwie ukazujących nam tragiczną rzeczywistość PRL.

Powieść Marii Kamil pod tytułem „Saga Polska” doszłusowuje do tego szeregu choćby z tej przyczyny, że opisuje właśnie życie człowieka pod reżymem komunistycznym, dokładniej: życie rodziny Wężyków, która boryka się

z zakłamaniami, fałszem, okrucieństwem urzędników i aktywistów, walczy z przeciwnościami i niepewnością losu w pierwszych latach powojennych; stabilizuje się jako tako po Październiku i wreszcie, dotknięta falą ucisku i przesładowań, chroni się na Zachodzie dołączając do „nowej fali emigracji”.

Powieść, nazwana patetycznie „Sagą polską”, jest właściwie historią życia małej grupki ludzi. Bohaterką pisanej w pierwszej osobie książki jest Teresa, zaczynająca w roku 1939 studia filozoficzne na Uniwersytecie Warszawskim.

Trudno powiedzieć, ile w książce jest elementów autobiograficznych i na ile Teresa, jej mąż, Andrzej Wężyk, syn i ludzie napotykanii w opowieści odpowiadają ludziom żyjącym. Faktem jest, że autorka kryjąca się pod nazwiskiem Kamil przeżyła w rzeczywistości przygody swej bohaterki i że razem ze swoją rodziną kilka lat temu znalazłszy się poza granicami PRL wybrała życie na Zachodzie.

Opowieść pisana jest więc ze świadomością rzeczy. Znajdujemy w niej przeżycia wojenne młodej dziewczyny, która sama nie angażując się w walkę z okupantem, studiując na podziemnym uniwersytecie, obserwuje sprawę bacznie, młodym okiem i stara się przy tym sądzić realne życie kryteriami swych ulubionych filozofów, jak Montaigne i moralista hiszpański Gracjan.

Obok zastanawiań się na szczeblu filozofów autorka przekazuje czytelnikowi śmieszne i zaskakujące anegdotki z życia pełnego sprzeczności i wynaturzenia. O tym jak Andrzej Wężyk został z partii wyrzucony i pozbawiony pracy za odmowę wygłoszenia referatu o Stalinie. O tym jak Teresa sama zapisuje się do partii. O tym jak Andrzej wraca na łono PZPR i modli się w kościele, aby mu legitymację odnowili. O pracy w redakcji, gdzie obok magistra filozofii siedzą nieucy i tępaki i wyzywają się w poczuciu ważności. O wielu innych sprawach znanych choćby z książki Flemminga. Czytelnik i tu śmieje się przez łzy, poznając rzeczywistość polską od strony najłatwiejszej, bo anegdotycznej.

Wężykowie z powieści dają sobie radę z tępakami, półinteligentami, z przesładowaniem i złośliwością. Znalazłszy się za granicą wybierają wolność.

Następuje nowa część sagi. Emigracyjna. Może ta część właśnie jest najwartościowsza ze względów badań socjologicznych. Jak mówiliśmy, życie w PRL zostało już szeroko opisane i nie brak wciąż aktualnych uzupełnień w formie felietonów, wspomnień, opowieści. Dola nowych emigrantów, tych którzy przez Wiedeń, Kopenhagę, czy Sztokholm dołączają do wolnego świata po ucieczce czy wysiedleniu z Polski jest stosunkowo mało znana.

Wężykowie osiedli w Niemczech, w Monachium. Starania o urządzenie się w tym mieście, pomoc rodaków, znajdowanie nowych przyjaciół i przeczytywanie trudności są opisane drobiazgowo, interesująco i zaskakują swoją innością od poprzedniej części książki. Warto przeczytać, aby mieć pojęcie, jak trudno i jak łatwo zarazem wejść w życie Zachodu świeżemu emigrantowi z Polski.

Konkluzją opowieści Marii Kamil jest poczucie przegranej. Odejście od życia w Ojczyźnie, emigracja, uznane zostało jako klęska, chociaż wiele wskazuje na to, że w życiu rodziny Wężyków nastąpiła znaczna poprawa i zbudziły się nowe nadzieje na przyszłość w wolnym świecie.

Kilka lat temu Maria Kamil uzyskała sukces na konkursie *Wiadomości*. Jej opowiadanie pod tytułem „Demeter, Matka moja pisze do mnie z Polski” zostało nagrodzone.

Czesław DOBEK

\* Kamil Maria: *Saga Polska*, powieść. Str. 387. Oficyna Poetów i Malarzy. Londyn, 1969.

## Niemiecka książka o Polsce

Książka Karola Hartmana pod tytułem „Polen”, w języku niemieckim, zasługuje na to, żeby jej poświęcić nieco uwagi. Wydana przez firmę Glock und Lutz (1966) w Norymberdze, w serii „Kultur der Nationen” jako 17 tom tego wydawnictwa, stosuje się do głównych założeń, nakreślonych przez wydawców: dać obraz aktualnego stanu danego kraju na tle historycznym i socjologicznym i zilustrować go danymi statystycznymi.

Autor zna doskonale temat, a bogata bibliografia, zamieszczona na końcu książki świadczy o gruntownym przygotowaniu materiału. Stanowi ona cenne źródło informacji, zawiera mnóstwo danych z przeszłości i teraźniejszości Polski. Iście niemiecka pedanteria zaopatruje fakty w daty i cyfry i pozwala nam zapoznać się na przykład z ilością uczniów w szkołach, z liczbą wydawnictw książkowych i tłumaczeń pisarzy polskich i obcych, z datami układów międzynarodowych, zawartych z Francją w 1923, Belgią — 1925, Jugosławią — 1931, Węgrami — 1934 itd.

W rozdziale o prasie znajdujemy również prasę emigracyjną: *Kulturę*, *Wiadomości*, *Dziennik Polski* itd. Nie brak i prasy podziemnej: 30 gazet już w końcu roku 1939, a 600 w 1944, tajne gazety w języku niemieckim (14), w języku angielskim i francuskim na użytek jeńców wojennych itp.

Autor mówi o prześladowaniach, o walkach o byt narodowy, o akcji podziemnej, tak w okresie porobiorowym jak i podczas ostatniej okupacji. Hartman podkreśla na przykład doskonałą organizację tajnego nauczania podczas ostatniej wojny. Przedstawia również wysiłki polskich naukowców broniących się dzisiaj przed nakładaniem im knebli i więzów przez reżym komunistyczny i Sowiety.

Tematem książki jest polska kultura. Autor wybrał szereg dziedzin kulturalnych jak: szkolnictwo, naukę, literaturę, muzykę, teatr, film, i prasę, przedstawiając ich rozwój w Polsce niepodległej, porobiorowej, międzywojennej i po drugiej wojnie światowej.

Rozdział o literaturze daje sylwetki ważniejszych pisarzy polskich. Autor zna problem słabej znajomości naszej literatury za granicą i porusza go również, potwierdzając, że nawet w Niemczech, najbliższym sąsiedzie Polski, znajomość tej literatury pozostawia wiele do życzenia. Z drugiej strony jednak, jeżeli się policzy tłumaczenia polskich dzieł na język niemiecki, cytowane przez Hartmana, to się widzi, że jest ich w Niemczech może więcej, niż gdzie indziej. Będąc niedawno w Hamburgu nie dostałam się do teatru na sztukę S. Mrożka „Wacław”, bo bilety były wysprzedane od kilku dni, co nie zdarza się w Brukseli.

Autor poświęca też trochę miejsca mniejszościom narodowym, ich prasie, ich działalności naukowej.

Książka Hartmana, drukowana z maksymalnym wykorzystaniem miejsca (wąskie marginesy, małe tytuły), nabita tekstem, zawiera 500 stron, 24 ilustracje, kosztuje w Belgii 425 fr.

Jadwiga POMORSKA

## Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie

### Bibliografia

198. CHOJNACKI, Władysław: *Bibliografia zwartych druków konspiracyjnych wydanych pod okupacją hitlerowską w latach 1939-1945*. Warszawa, 1970, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, str. 309 (3).

Cenne opracowanie bibliograficzne, będące odpowiednikiem „Centralnego katalogu polskiej prasy konspiracyjnej” Lucjana Dobroszyckiego. Przynosi opisy 1069 druków zwartych, podając w przypisach informacje o zbiorach, w których znajdują się ocalone egzemplarze. Posuwa znacznie naprzód stan wiadomości o piśmiennictwie z okresu II Wojny Światowej, umożliwia umiejscowienie druków a w wielu wypadkach — ustala ich autorstwo i rozwiązuje pseudonimy.

### Folklor

199. NOWA KSIĘGA PRZYSŁÓW I WYRAŻEŃ PRZYSŁOWIOWYCH POLSKICH. T. I: A-J. W oparciu o dzieło Samuela ADALBERGA opracował Zespół Redakcyjny pod kierunkiem Juliana KRZYŻANOWSKIEGO. (Redaktor tomu: Stanisław ŚWIRKO). Warszawa, 1969, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 881.

(Nowe opracowanie „Księgi przysłów polskich” Samuela Adalberga (1894) rozszerzające zasób przykładów i pojęcie przysłowia w wielu kierunkach np. przez znacznie szersze zobrazowanie przysłów ludowych. Prace przygotowawcze trwały lat 15, zatrudniając w Pracowni Prysłowioznawczej zespół złożony z kilkunastu osób. Całość obejmuje trzy tomy i dodatkowy t. IV (aparatury krytyczny i bibliografia). Życzyć należy, by ukazały się jak najprędzej.

### Sztuka

200. WELLISZ, Leopold: *Wspomnienia i refleksje o moich zbiorach grafiki polskiej*. Katalog rysunków i rycin Feliksa Jasińskiego i Leona Wyczółkowskiego w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie. Warszawa, 1970, Muzeum Narodowe w Warszawie, str. 72+25 plansz z reprodukcjami prac graficznych Norwida, Feliksa Jasińskiego, Stan. Wyspiańskiego, L. Marcousis'a i Wyczółkowskiego.

Wartościowa publikacja, przynosząca rzeczowe informacje o zbieraczu i cennej kolekcji uratowanej częściowo z pożogi wojennej przez Tad. Cieślowskiego. Nakład: 300 egzemplarzy (sic!).

### Historia literatury

201. LUDOROWSKI, Lech: *O postawie epickiej w Trylogii Sienkiewicza*. Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 224. (Instytut Badań



Literackich Polskiej Akademii Nauk, Historia i Teoria Literatury, Studia, 25).

Wniosek końcowy: „Trylogia zawdzięcza swą jedność mistrzowskiemu, pełnemu inwencji urzeczywistnieniu wymogów epopeicznych: epiki antycznej i rycerskiej w strukturze historycznej powieści. (...) Sienkiewicz zastosował w sposób niepowtarzalny koncepcję strukturalną „Iliady” — ów epopeiczny plan walki — i „Odysei” — plan wielkich przygód na szlakach nieustannej wędrówki. Te dwie koncepcje — przetworzone i syntetycznie scalone — ujawniły olbrzymie możliwości konstrukcyjne. Ich efektem jest wielka kreacja świata epickiego w Trylogii”.

202. LAM, Andrzej: *Polska awangarda poetycka. Programy lat 1917-1923*. I: Instynkt i ład. II: Manifesty i protesty. Antologia. Kraków (1969), Wydawnictwo Literackie, t. I: str. 245 (3); t. II: str. 457 (3), ilustr.

Obszerne, oparte na trudnodostępnych materiałach opracowanie historii i przemian różnych odcieni awangardy. Doskonała antologia szeroko pojętych manifestów i wartościowe noty biograficzne o autorach przedrukowanych wypowiedzi programowych. Książka bardzo starannie wydana i dobrze ilustrowana.

#### Literatura piękna (poezja)

203. OSTROWSKA, Bronisława: *Biała godzina*. Wybór poezji. Wybór i wstęp Stefana Lichańskiego. (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 244 (2).

Odkrywczy wybór poezji, przywołujący autorkę głośną w okresie Młodej Polski, przycichłą i odsuniętą na plan dalszy przez Skamandrytów we wczesnym dwudziestoleciu. Zaleca się odczytanie „Koła święconej kredy” i wierszy ostatnich. Np.:

*Jestem w zaklętym kole świętych świętem*

*Na krześle giętym*

*Przy kaloryferze,*

*W giętych krzesel szpalerze,*

*Pod elektrycznymi świecami.*

*Przedemną ołtarz, gdzie patrzę z kolei*

*Na fabryczny krucyfiks, na sztuczny cyklamen,*

*Na tablice z przykazaniami*

*Niezlomne:*

*„Nie pluć”, „Nie żebrać” i „Strzec się złodziei”.*

*... Strzec się złodziei...*

*Amen. Amen. Amen.*

(„Koło święconej kredy”)

#### Literatura piękna (proza powieściowa)

204. STOJOWSKI, Andrzej: *Romans polski*. Warszawa, 1970, Czytelnik, str. 175 (1). Powieść autora „Podróży do Nieczajny”, powracająca do kronik rodzinnych w ramach tego samego kompleksu miłości-nienawiści. Potwierdza pośrednio trwałą atrakcyjność problemów „wysadzonych z siodła”, mezalianców, ścierania się polskości z obcymi kulturami w praktyce zastraszonych czy sfrancuziałych rodzin itp. Inaczej pisał o tym Korzeniowski (w „Kollokacji”), inaczej Kraszewski, inaczej Lam. Inaczej pisze Stojowski. Przeczytać warto.

#### Pamiętniki

205. KARSKI, Gabriel: *W przymglonym lustrze*. (Łódź, 1970), Wydawnictwo Łódzkie, str. 168 (2).

Wspomnienia, częściowo zbeletryzowane, przykładowie pogodzonego z losem ex-ziemianina i ex-urzędnika MSZ. W sylwetkach „Moich sławnych przyjaciół” ciekawe i wartościowe wspomnienie o Gabrielu Narutowiczu.

206. ORŁOWICZ, Mieczysław: *Moje wspomnienia turystyczne*. Wybór i opracowanie: Wanda Ferens. Przedmowę napisał Ryszard Wroczyński. Wrocław, Warszawa, Kraków, 1970, Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo, str. XXVI, 694, front, portr., 61 plansz, ilustr., bibliografia. (Instytut Naukowy Kultury Fizycznej. Źródła do Dziejów Kultury Fizycznej).

Mieczysław Orłowicz, ur. 1881, zm. 1959, przeżył połowę życia we Lwowie, połowę w Warszawie. Wspomnienia dotyczą, niestety, tylko części okresu lwowskiego, urywając się na roku 1908. O dalszych losach i działalności Orłowicza podano zasadnicze informacje w starannie opracowanych aneksach.

#### Biografie

207. KERSTEN, Adam: *Na tropach Napierskiego*. W kręgu mitów i faktów. (Warszawa, 1970), Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 249 (3), bibliogr.

Mimo usilnych poszukiwań archiwalnych Kersten nie zdołał stwierdzić, czy prawdą jest hipoteza o królewskim pochodzeniu Aleksandra Leona Napierskiego-Kostki, uważanego za nieślubnego syna Władysława IV, na podstawie własnych jego zeznań w śledztwie. Wydaje się, iż w roku 1651 działał na Podgórzu z ramienia Chmielnickiego (— może także Rakocznego). Próba wzniecenia powstania skończyła się dla Napierskiego katastrofalnie: głoszone przez niego hasła „mimo ich antyszlacheckiego ostrza” nie przekonały i nie pociągnęły górali. Napierski zginął „chłopską śmiercią” — wbity na pal, współoskarżonych o stwierdzonym pochodzeniu szlacheckim naprzód ścięto a następnie poćwiartowano w Krakowie.

208. ŁOJEK, Jerzy: *Dzieje pięknej Bitynki*. Opowieść o życiu Zofii Wittovej-Potockiej (1760-1822). (Warszawa), 1970, Instytut Wydawniczy „Pax”, str. 396 (4), ilustr., bibliogr.

Pierwsze naukowe opracowanie biografii słynnej Zofii Greczynki, żony Szczęsnego Potockiego, dla której stworzony był park „Sofiówka” pod Humanem. Piękna kurtyzana, wywodząca się z Konstantynopola, o niepewnym rodowodzie i nazwisku (Głavani?), zamężna naprzód za Józefem Witttem, komendantem twierdzy kamienieckiej a następnie Szczęsnym Potockim, panem na Tulczynie, na liście rzeczywistych lub domniemyanych kochanków miała kolejno: Karola Boscampa-Lasopolskiego, który ją szkolił na łąziebną Stanisława Augusta, Potemkina, Nowosilcowa a wreszcie Szczęsnego Jerzego Potockiego, swego pasierba. Autor biografii oparł się na materiałach archiwalnych z Tulczyna, znajdujących się obecnie w Kijowie a udostępnionych mu, niestety, tylko częściowo. Pozwoliło to na sprostowanie licznych nieścisłości w studiach Dra Antoniego J. (Rollego) na temat Zofii Potockiej i Tulczyna.

209. DUNIN-WASOWICZ, Krzysztof: *Jan Stapiński, trybun ludu wiejskiego*. Warszawa, 1969, Książka i Wiedza, str. 305 (3), ilustr. (Seria: Światowid. Biblioteczka popularno-naukowa pod red. A. Klubówny).

Autor uważa, że „Stapiński miał wszystkie cechy trybuna ludowego: zmysł organizacyjny i umiejętność zjednywania ludzi dla sprawy ludowej”. Uważał, iż zdziałał więcej od ks. Stojałowskiego i ze szczególnym uznaniem omawia dorobek redaktorski Stapińskiego („Przyjaciel Ludu”) i wpływ, jaki wywarł na Witosa, Franc. Wójcika i Józ. Putka. Stapiński „stał się głównym twórcą pierwszej nowoczesnej organizacji chłopów w Galicji”.

## Historia (XIX wiek)

210. KOCÓJ, Henryk: *Niemcy a powstanie listopadowe*. Sprawy powstania listopadowego w niemieckiej opinii publicznej i w polityce pruskiej 1830-1831. Zagadnienia wybrane. Warszawa, 1970, Inst. Wydawniczy „Pax”, str. 179.

Autor dochodzi do wniosku, iż pod pozorem neutralną postawą Prus kryła się dążność do wspierania Rosji i szkoderstwa sprawie polskiej. „Berlin podobnie jak Petersburg, dążył do jak najszybszej kapitulacji powstania. Niepodległa Polska była dla dyplomacji pruskiej czymś nienaturalnym”. Autor nawiązuje do wyników prac Askenazego i Dutkiewicza, uzupełniając ich wnioski dalszymi argumentami.

## II Wojna Światowa. (Wspomnienia)

211. MAJCHROWSKI, Stefan: *Za drutami Murnau*. (Warszawa, 1970), Ministerstwo Obrony Narodowej, str. 188 (4).

Związała, dobrze udokumentowana relacja o Oflagu VII A w Murnau w Bawarii, „Musterlagerze” — obozie wzorowym w opinii Niemców, przez który przeszło kilka tysięcy jeńców polskich z września 1939 a następnie duża grupa AK-owców z powstania warszawskiego. Autor, sam ex-jeńiec, uważa, iż oficerowie polscy w Murnau „stworzyli własne społeczeństwo i własne życie”. „W Murnau czas nie zatrzymał się. Jeńcy potrafili go wyzyskać i zachować równowagę psychiczną”. „Dzięki licznym kursom samokształceniowym, bibliotece, teatrowi itp. „lata niewoli nie poszły na marne”. W rozdziałach o życiu kulturalnym obozu autor nie pominął emigrantów: Bronisława Przyłuskiego i śp. Tadeusza Sułkowskiego.

212. WALENTYNOWICZ, Marian: *Wojna bez patosu*. Z notatnika i szkicownika korespondenta wojennego. Warszawa, 1969, Instytut Wydawniczy „Pax”, str. 283 (3), ilustr.

Notatki pamiętnikarskie i rysunki zmarłego w roku 1967 korespondenta wojennego I. Polskiej Dywizji Pancerniej ze szlaku od Caen przez Falaise, Belgię, Holandię do Wilhelmshaven. Wydane bardzo starannie.

## Nadesłane nowości wydawnicze

BAK (Władysław). *Nie wierzę*. Powieść. Str. 116 i nlb. (Wyd. „Palpress”, Tel-Aviv, 1970).

*Katalog Wystawy Zbiorów Historycznych*. Opracowanie Maria Danilewiczowa i Zdzisław Jagodziński. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, Londyn, 1970).

ZYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Dwoje ludzi*. Sztuka teatralna. Str. 29 i

1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1970).

NAWROCKI (Stanisław). *Policja hitlerowska w tzw. Kraju Warty w latach 1939-1945*. Seria: Badania nad okupacją niemiecką w Polsce — Tom X. Str. 297 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1970).

KAJKA (Michał) i LENGOWSKI (Michał). *Opowiadania uciężne*.

Str. 123. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1970).

OKECKA-BROMKOWA (Maryna). *Sekretarzyk babuni*. Wspomnienia. Str. 219 i 5 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1970).

MORELÓWSKI (Jan). *Sędzia za kratami*. Wspomnienia z lat 1939-1942. Przedmowa Józefa Wittlina. Wyd. II. Str. 92 i 2 nlb. (New York, 1970).

SKUDRZYK (Stanisław O., T.J.). *50 lat w Zakonie*. Str. 184 i 4 nlb. (Hamburg 1968).

MICIŃSKI (Bolesław). *Pisma*. Eseje, artykuły, listy. Przedmowa Jan Błoński. Str. 616. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”. Kraków, 1969).

ŚWIĘCICKI (Marek) i NOWOTARSKA (Róża). *Gentleman z Michigan*. Powieść. Str. 309 i 5 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970).

MATEJKO (Aleksander). *Awans społeczny afrykańskich klas pracujących po uzyskaniu niepodległości (na przykładzie Zambii)*. Str. 265-294. Nadbitka z Nr. 1/1970 Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny (Warszawa, 1970).

HAŁAN (Anatol). *Cham*. Powieść wierszowana. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Julian Serediak, Buenos Aires, 1970).

STACHIW (Matwój Dr). *Tretia sowietśka republika w Ukraini*. Str. 244. (Wyd. Shevchenko Scientific Society, New York, 1968).

STROBEL (Georg W.). *Deutschland - Polen, Wunsch und Wirklichkeit*. Str. 72. (Wyd. Atlantic Forum, Bonn-Bruxelles-New York, 1969).

USCHAKOW (Aleksander). *Das Erbe Stalins in den deutsch-polnischen Beziehungen*. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. Verlag Wissenschaft und Politik, Koeln).

*The Joseph Conrad Collection in the Polish Library in London*. Catalogue (Nos. 1-399). Opracowanie Jadwigi Nowak. Str. 59 i 5 nlb. (Wyd. Biblioteka Polska, Londyn, 1970).

MORGAN (Geoffrey) i LASOCKI (Wiesław A.). *Soldier Bear*. Ilustracje Biro. Str. 123 i 7 nlb. (Wyd. Collings, London, 1970).

HODNET (Grey) i POTICHNYJ (Peter J.). *The Ukraine and the Czechoslovak Crisis*. Str. 154. Occasional Paper No. 6. (Wyd. Department of Political Science Research School of Social Sciences Australian National University, Canberra, 1970).

BROMKE (Adam). *Poland and West Germany: A Belated Dente*? Str. 195-210. Nadbitka z Canadian Slavonic Papers, XII, 2, 1970.

MATEJKO (Aleksander). *Planning and Tradition in Polish Higher Education*. Str. 621-648. Nadbitka z „Minerva”. Vol. VII, No. 4, Summer 1969. (Wyd. Macmillan, Londyn, 1969).

MATEJKO (Aleksander). *Some Sociological Problems of Socialist Factories*. The international Scene: Current Trends in the Social Sciences. Nadbitka z Social Research, Vol. 36, No. 3, Autumn 1969. Str. 448-480.

MATEJKO (Aleksander Dr.). *Can Social Systems Mature?* Str. 68 (powielacz). 7th World Congress of Sociology, Working Group 2. Modification of Social Relations in Social Change. (Wyd. University of Alberta, Alberta).

MATEJKO (Aleksander Dr.). *Institutional Conditions of Scientific Inquiry*. Research on Organizational Research Units in Poland. Str. 46 (powielacz). 7th Congress of Sociology, Varna, Bulgaria, September, 1970, Research Committee on Sociology of Work and Organization. (Wyd. University of Alberta, Edmonton, 1970).

WULF (Joseph). *L'Industrie de l'Horreur*. Str. 410 i 2 nlb. (Wyd. Fayard, Paris, 1970).

MORETO (Augustin). *El lego del Carmen San Franco de Sena*. Str. 141 i 3 nlb. (Wyd. Florian Śmieja — Ed. Anaya, S.A., Salamanca; 1970).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-8-70

Małgorzata Szpakowska i Maria Tworkowska, skazane w tzw. „procesie taterników”, zostały przedterminowo zwolnione.

16-8-70

W Moskwie rozpoczął się światowy kongres historyków. Wśród 3.000 uczonych z całego świata bierze udział 200 naukowców z Polski, w tym 35 wojskowych.

18-8-70

Wspólne manewry armii Czechosłowackiej i centralnej grupy wojsk sowieckich zakończyła defilada w Karlovych Varach.

19-8-70

Wybitny pisarz i historyk Paweł Jasienica (Lech Beynar) zmarł w Warszawie w wieku lat 60. W pogrzebie wzięło udział ponad 1.000 osób, a Jerzy Andrzejewski wygłosił przemówienie, w którym stwierdził prześladowanie Jasienicy przez władze w ostatnim okresie. ■ Prasa francuska podaje, iż pod koniec wojny zaginęło na froncie wschodnim 2.250.000 żołnierzy Wehrmachtu. W okresie późniejszym zwolniono 520.000, zmarło w łagrach 550.000, uznano za zaginionych 1.180.000. Jeśli idzie o ludność cywilną na wschodnich terytoriach niemieckich to zaginionych było 1.100.000. W okresie późniejszym zarejestrowano: 124.000 zmarłych, 520.000 repatriowanych ze Wschodniej Europy, w trakcie repatriacji jest 240.000, osób dotąd nieodnalezionych 175.000. ■ Krzysztof Kryński zmusił samolot LOT-u do lądowania w Danii na wyspie Bornholm. Po lądowaniu Kryński poprosił o azyl polityczny.

20-8-70

W Moskwie odbyło się zebranie pierwszych sekretarzy partii komunistycznych, szefów rządów i ministrów spraw zagranicznych siedmiu krajów paktu warszawskiego. Przedmiotem obrad była sprawa stosunków z Niemcami Zachodnimi.

26-8-70

Miała miejsce próba porwania samolotu LOT-u kursującego między Katowicami a Warszawą. „Pirat powietrzny” próbował skierować samolot do Wiednia. Na skutek wybuchu prymitywnie sporządzonej bomby sprawca porwania został ciężko ranny i samolot mógł wylądować z powrotem w Katowicach. Jest to piąty wypadek porwania samolotu w Polsce w ostatnich trzech miesiącach. ■ Poeta rosyjski Aleksander Ginzburg, autor „Białej księgi” o sprawie Siniawski-Daniel, który był skazany w 1968 roku na 5 lat przymusowych robót, został przeniesiony z łagru do więzienia we Władimirze, jednego z najcięższych więzień w Związku Sowieckim. Powodem tej dodatkowej kary był udział Ginzburga w nagraniu radiowym Williama Cole, korespondenta amerykańskiego w Moskwie. ■ Władze czechosłowackie rozwiązały organizację harcerską „Junak”. ■ Niemiecki Czerwony Krzyż donosi, że w demokracjach ludowych, z wyjątkiem Wschodnich Niemiec, zgłoszono 600.000 podań obywateli pochodzenia niemieckiego, pragnących wyjechać do Niemiec Zachodnich. W ciągu ostatnich 15-tu lat 570.000 Niemców wyjechało z demokracji ludowych do Republiki Federalnej, z tego 363.000 z Polski, a 22.000 ze Związku Sowieckiego. ■ W Uniwersytecie Warszawskim rozpoczął się międzynarodowy kurs pogłębienia znajomości języka polskiego dla 150 sławistów z 22 krajów. ■ 5 młodych ludzi sterroryzowawszy załogę trawlera polskiego wylądowało na wyspie Bornholm i zwróciło się do władz duńskich z prośbą o azyl.

27-8-70

Sąd w Brnie (Morawy) skazał grupę studentów na kary więzienia od 3 lat do 9 miesięcy za rzekome należenie do tajnej organizacji „Kajman”, mającej na celu walkę z okupacją Czech przez wojska paktu warszawskiego.

29-8-70

Władze czeskie pozbawiły obywatelstwa Artura Londona, b. wiceministra spraw zagranicznych Czechosłowacji, autora głośnej książki „L'aveu”. London przebywa w Paryżu. ■ Antonin Mozzr znany sportowiec czeski poprosił o azyl w Niemczech Zachodnich.

1-9-70

Z dniem 1 września wprowadzone zostały pewne korekty wywozowej taryfy celnej. Wywóz niektórych artykułów żywnościowych i wyrobów przemysłowych będzie wymagał zezwolenia urzędu celnego. Dotyczy to: mięsa i przetworów mięsnych, czekolady i wyrobów czekoladowych, kawy, ekstraktów kawowych, herbaty, kakao, wyrobów porcelanowych, naczyń i wyrobów ze szkła kryształowego, dywanów, kilimów, makat, narzut, kap, pledów, koców, portier, serwet i serwetek dekoracyjnych, bielizny pościelowej i stołowej, ręczników, odbiorników tranzystorowych z UKF oraz wyrobów ze srebra. Przy wywozie przekroczenie limitów wymaga zezwolenia, a cło będzie wyznaczone do 200 % ich ceny. Zaś przy wysyłkach — dla każdej ilości i każdorazowo — wymagane będzie zezwolenie a cło będzie wynosić 200 % ceny towarów. ■ Ukazało się wydawnictwo GUS poświęcone rozwojowi spółdzielczości mieszkaniowej. W ciągu ostatnich 10 lat, od chwili realizacji nowej polityki mieszkaniowej, liczba członków spółdzielni wzrosła z 35 tys. do 885 tys. W ub. roku spółdzielczość oddała do użytku 97,7 tys. mieszkań. Przeciętny okres oczekiwania na mieszkanie wynosi 8,5 roku. W kolejce po klucz czeka obecnie 394 tys. członków spółdzielni i 490 tys. kandydatów. ■ Odwiedziło Polskę w tym roku 1.300 tys. cudzoziemców, o 10% więcej niż w tym samym okresie ubiegłego roku. Prym wiodą goście z krajów socjalistycznych: obywatele NRD przyjechało 280 tys., CSRS — 200 tys., ZSSR — 180 tys. Z krajów zachodnich przyjechało 164 tys. osób. Natomiast władze warszawskie zawieszają z początkiem przyszłego roku wyjazd grupowe turystyczne do Jugosławii i Czechosłowacji. ■ W nowym roku szkolnym będzie o 106 tysięcy uczniów mniej niż w roku ubiegłym. Różnice dotyczą głównie klas od I do IV. Są to roczniki niżej demograficznego. W niektórych dzielnicach wielkomiejskich — np. w śródmieściu Warszawy, Łodzi i Gdańska — klasy najmłodsze wręcz wyludniają się. W osiedlach zamieszkałych przez ludzi młodych — nadal panuje w szkołach tłok. Natomiast katastrofalnie przedstawia się sprawa podręczników szkolnych. Brak jest ponad 2 mln. egzemplarzy i deficyt jest znacznie większy, gdyż kalkulowano nakłady poniżej istniejącego zapotrzebowania. Braki papierowe i przeciążenia drukarni nie pozwalają przypuszczać, iż sytuacja znormalizuje się w najbliższych latach. ■ W Polsce w okresie letnim przebywały liczne grupy młodzieży z całego świata biorąc udział w Międzynarodowych Hufcach Pracy, zatrudnionych przy budowach różnych obiektów specjalnych i gospodarczych. Najliczniejszą grupę stanowiła młodzież z krajów socjalistycznych: młodzi uczniowie, studenci jak również robotnicy i rolnicy. Np. w nadleśnictwie Brojce pracowali Węgrzy, w nadleśnictwie Kargowa — Jugosłowianie, a w nadleśnictwie Bogdaniec — Wietnamczycy.

5-9-70

Radio Warszawa donosi o odkryciu w Motławie w Gdańsku setek ton importowanej pszenicy, niszczonej w ten sposób przez wyższych urzędników gospodarczych celem ukrycia nadużyć. ■ W Wilnie toczą się obrady między dele-

gacją Uniwersytetu Jagiellońskiego a Uniwersytetem Wileńskim w sprawie podpisania wieloletniej umowy o współpracy między tymi uczelniami.

#### 7-9-70

W Moskwie rozpoczął się proces przeciw A. J. Makarence, kierownikowi artystycznego klubu w *Akademgorodku*. Jest on oskarżony o „antysowiecką działalność”. Antysowieckość, polegała na tym, że Makarenko zapraszał na występy pisarzy i artystów czy urządzał wystawy malarzy źle widzianych przez władzę, a nawet zachodnich. Klub i należąca do niego kawiarnia były tak atrakcyjne, że uczęszczała do nich dosłownie cała ludność miasta.

#### 10-9-70

W Moskwie toczą się rozmowy, poświęcone koordynacji planów gospodarczych na lata 1971-1975. W okresie tym Związek Sowiecki zobowiązuje się dostarczyć Polsce m.in. 48,5 milionów ton ropy naftowej, 7,5 mld. metrów kubicznych gazu, 30 mln. ton rudy żelaza, 11 mln. ton żelaza i 8 mln. ton surówki. ■ Szósta runda rozmów między Polską, a NRF ulega opóźnieniu. Minister Spraw Zagranicznych, Walter Schell, uda się do Warszawy na początek listopada br.; daty rozmów polsko-niemieckich na szczelbu wiceministrów jeszcze nie ustalono. ■ W Budapeszcie rozpoczęły się rokowania handlowe między Węgrami, a NRF w sprawie zawarcia długoterminowego układu handlowego. ■ Wł. Gomułka stwierdził w czasie uroczystości dożynkowych, że w porównaniu z rokiem ubiegłym w br. nastąpiło zmniejszenie przeciętnych plonów zbóż w skali ogólnokrajowej o około 1 q. z hektara. Pociągnięto to za sobą znaczne zwiększenie importu zbóż zza granicy. Ma miejsce również bardzo znaczny spadek pogłowia bydła i trzody chlewnej. ■ 9 młodych misjonarzy Zgromadzenia Słowa Bożego w Polsce uda się w najbliższym czasie do Ghany, Argentyny, Brazylii, Paragwaju, Indonezji, i Nowej Gwinej. ■ Zmarł w Budapeszcie Noël Field, w wieku 67 lat. Będąc wysokim urzędnikiem amerykańskim zajmował się on szpiegostwem na rzecz Związku Sowieckiego, w 1949 roku przybył do Pragi, był czołowym świadkiem w procesach Rajka na Węgrzech i Slansky'ego w Czechosłowacji, sam został później uwięziony jako agent amerykański i rehabilitowany w 1954 roku.

#### 12-9-70

Julij Daniel — pseudonim Mikołaj Arżak — został zwolniony po 5 latach, na które został skazany za publikowanie swych tekstów literackich na Zachodzie. Jego opowiadania były drukowane w *Kulturze* („Ręce” *Kultura* Nr 167 (1961), „Człowiek z Minapu” *Kultura* Nr 179 i „Mówi Moskwa” *Kultura* Nr 172 (1962), „Odkupienie” *Kultura* Nr 198 (1964). W roku 1965 w ramach „Biblioteki Kultury”, t. 70-ty, ukazały się one w wydaniu książkowym pt. „Odkupienie i inne opowiadania”. Instytut Literacki jest właścicielem świątynnych praw autorskich Daniela. Jego opowiadania były tłumaczone na większość języków światowych. Żona J. Daniela została zesłana za protest przeciw okupacji Czechosłowacji. ■ Zmarł w Krakowie, w wieku 66 lat, poeta i satyryk Jan Sztudynger.

#### 14-9-70

Samolot linii rumuńskiej „Tarom”, który kursował na linii Bukareszt-Praga via Budapeszt, został zmuszony do lądowania w Monachium przez trzech Węgrów, którym towarzyszyła kobieta i dwoje dzieci. Wsiadli oni do samolotu w Budapeszcie. Piraci — którzy są robotnikami — zwrócili się do władz niemieckich z prośbą o azyl. Jest to 155 porwanie samolotu w bieżącym roku. Ta nowa fala terroryzmu dotknęła linie lotnicze 48 krajów i ponad 15 tys. pasażerów 84 narodowości.

#### 15-9-70

Na podstawie amnestii umorzono dochodzenia przeciw płk. J. Grzędzińskiemu (pięćdziesiąt przestępstw). Jednak nie przywrócono mu emerytury. ■ Ryszard St. Dobrowolski, autor książki-paszkwiłu „Głupia sprawa” jest bojkotowany w środowisku literackim. ■ Chiny rozpoczęły produkcję samolotów zdolnych do transportu bomby atomowej. Bombowiec chiński jest ulepszoną wersją sowieckiego Tupolewa 16 (Badger wg. nomenklatury NATO). Szybkość bombowca przekracza 700 km na godz. a zasięg — 6000 km. Produkcja wynosi 4 do 5 samolotów na miesiąc. Chiny posiadają obecnie około 150 bomb atomowych o sile 20 kiloton. Zasięg nowego bombowca obejmuje Związek Sowiecki, Japonię i Indie.

### ZACHÓD — EMIGRACJA

#### 15-8-70

Wydział Stanowy Kongresu Polonii Amerykańskiej w Illinois w uznaniu zasług Dr. Józefa Wytrwałego jako pedagoga, autora, historyka i publicysty nadał mu doroczną nagrodę „Heritage Award”. ■ W Detroit odbył się 3-dniowy „Festiwal Polski” z udziałem 100 tys. osób, w tym kilka tys. Amerykanów polskiego pochodzenia, stojących z dala od życia polonijnego. Prasa tłumaczy ich zainteresowanie tym, że polska grupa etniczna w Detroit awansowała społecznie, zdobywając urząd mayor'a miasta oraz wiele stanowisk miejskich i stanowych. Fakty te uatrakcyjniły polskość wielu Amerykanom polskiego pochodzenia.

#### 16-8-70

Na terenie Nowego Jorku istniało niegdyś 5 dużych polskich bibliotek, liczących razem kilkadziesiąt tysięcy książek. Obecnie czynna pozostała jedynie biblioteka parafialna przy kościele Św. Stanisława Kostki w Greenpoint. Redakcja *Nowego Świata* apeluje, by w miarę możliwości zabezpieczyć te „umarłe biblioteki”. ■ Popularna w okresie międzywojennym aktorka polskiego filmu, Jadwiga Smosarska, mieszkająca od wojny w USA, powraca do Polski. ■ Z opublikowanych urzędowych danych wynika, że polonijne organizacje społeczno-ubezpieczeniowe straciły w okresie 1959-1969 łącznie 10.300 członków. ■ Na skutek trudności finansowych rozwiązano korporację, stworzoną kilka lat temu dla prowadzenia muzeum polonijnego w Chicago; Związek Polski Rzymsko-Katolicki, który to muzeum założył, zamierza je przekazać do Orchard Lake. Mówi się również iż *Dziennik Chicagowski* ma być w najbliższym czasie przekształcony na tygodnik. ■ W Chicago zakończyła się 8 Konwencja Kongresu Polonii Amerykańskiej. Powołano nowy Zarząd KPA na 2-letnią kadencję w starym składzie. W Konwencji KPA wzięło udział ok. 500 delegatów, reprezentujących oddziały KPA z 15 stanów. Natomiast 17 oddziałów stanowych KPA nie wysłało swoich delegatów do Chicago na Konwencję. Konwencja uchwaliła szereg rezolucji patriotycznych i postanowiła zlikwidować, założony przy KPA, Komitet Odszkodowań dla Ofiar Hitlerowskich w Polsce. Uchwała mówi, że KPA „nie widzi możliwości uzyskania od rządu USA odszkodowań dla obywateli naturalizowanych, którzy przeszli przez obozy hitlerowskie”. ■ Stefan Mierzwa, prezes i założyciel Fundacji Kościuszkowskiej, na skutek choroby zrezygnował ze swego stanowiska. Następcą został prof. Eugene Kusielewicz. P. Mierzwa założył Fundację dokładnie 50 lat temu.

#### 22-8-70

W drugą rocznicę najazdu wojsk Paktu Warszawskiego na Czechosłowację, w Sztokholmie odbył się wiec, zorganizowany przez komitet współpracy uchodźców z Europy Wschodniej. Na wiecu przemawiali przedstawiciele młó-

dzieży estońskiej, polskiej, czechosłowackiej i in. Przemawiali również działacze szwedzcy. Po wiecu 1000-osobowy pochód udał się głównymi ulicami miasta pod ambasadę sowiecką, celem złożenia protestu przeciwko tłumieniu wolności w Związku Sowieckim i krajach zależnych. Policja nie dopuściła do złożenia memoriału.

**26-8-70**

W Quebecu na Uniwersytecie Laval rozpoczęła się międzynarodowa konferencja poświęcona teorii prof. Kazimierza Dąbrowskiego. Prof. Dąbrowski jest autorem kilkudziesięciu prac z dziedziny psychologii. Jego pierwsza praca miała tytuł: „Les conditions psychologiques du suicide”.

**31-8-70**

Fundacja Kościuszkowska w Nowym Jorku planuje utworzenie w siedzibie fundacji stałej galerii malarskiej. ■ Senat Uniwersytetu Tel-Awivskiego przyznał dr. Samuelowi Sandlerowi tytuł profesora nadzwyczajnego literatury polskiej.

**2-9-70**

Zmarł w Londynie płk Mieczysław Nadratowski w wieku lat 80. ■ Ks. Prałat Powisz (Michigan USA) został mianowany przez Papieża biskupem. Jest to ósmy biskup pochodzenia polskiego w Stanach Zjednoczonych. ■ W Polskim Londynie się mówi, że prez. A. Zaleski postawił amb. E. Raczynskiemu, jako warunek zjednoczenia, zobowiązanie stwierdzające, że zjednoczenie nie korzysta z subwencji amerykańskich.

**5-9-70**

W Buffalo odbył się VIII Światowy Zjazd Lotników Polskich. ■ O 10 % (czyli o 30 tys.) zmniejszyła się liczba zapisów uczniów do szkół katolickich w diecezji chicagowskiej, także do szkółek polskich.

**8-9-70**

W Durbanie, w galerii Natal Society of Art, odbyło się otwarcie wystawy obrazów Michała Makowskiego z Pretorii.

**10-9-70**

W Londynie rozpoczęły się prace pierwszego polskiego Kongresu Kultury i Nauki Polskiej na terenie Wielkiej Brytanii. ■ Adam Tarn, b. redaktor *Dialogu*, który obecnie jest profesorem dramaturgii na uniwersytecie w Calgary (Kanada), pracuje obecnie nad stworzeniem periodyku francusko-angielskiego, poświęconego sprawom teatralnym. A. Tarn nie bierze udziału w życiu polskiej emigracji.

**15-9-70**

Polski Uniwersytet na Obczyźnie w Londynie zakończył 20 rok pracy. Uniwersytet liczy obecnie 71 studentów. Skład władz uniwersyteckich jest następujący: redaktor prof. dr Tadeusz Sulimirski. Senat: dziekan wydziału humanistycznego prof. dr J. Bujnowski; dziekan wydziału nauk technicznych prof. inż. arch. S. Połujan; dziekan wydziału prawa i nauk politycznych prof. dr B. Hełczyński; dziekan wydziału ekonomicznego prof. dr Z. Stahl; dziekan wydziału przyrodniczo-matematycznego prof. dr J. Rzóśka; delegaci wydziału humanistycznego profesorowie M. Kukieł i J. Pilatowa; delegaci wydziału nauk technicznych profesorowie R. Wajda i Tchórzewski, oraz sekretarz uniwersytetu prof. dr J. Gawenda. ■ Grupa dziennikarzy i literatów z nowej emigracji w Szwecji planuje wydawanie periodyku literackiego w Lund. Pismo ma podobno korzystać z pomocy szwedzkiej partii socjal-demokratycznej.

## Humor sowiacki

### ODPOWIEDZI RADIA „ERYWAN”

*Zapytują nas:* Kiedy bolszewikom zaczęły wyrastać skrzydła — prawe i lewe, Stalin natychmiast je odrąbał. Teraz, pod hasłem walki z rewizjonizmem z prawa i z lewa, Breżniew zaczął taką samą operację. Czy to znaczy, że komuniści świadomie starają się być bezskrzydłymi?

*Odpowiadamy:* Jako przekonani ateści boją się oni, że na Zachodzie mogą być porównani do aniołów.

— Czy w Związku Sowieckim czyta się utwory Sołżenicyna?

— Czytają je tylko ci obywatele, którzy dobrze władają angielskim lub niemieckim.

— Czym reklama kapitalistyczna różni się od propagandy komunistycznej?

— Niczym. Od obu nie ma dokąd uciec.

— Czy można w ZSSR utrzymać się z podstawowej płacy?

— Nie wiemy. Nie próbowaliśmy.

— Czym opowiadki sowieckie różnią się od angielskich?

— Angielskie zaczynają się od słów „było to”, a sowieckie od słów „będzie to”.

— Dlaczego powstała długa przerwa w waszych audycjach?

— Czytając przed mikrofonem zdanie „socjalizm jest głupstwem w porównaniu z komunizmem”, nasz speaker zrobił zbyt długą pauzę po słowie „głupstwem”.

— Jak ludzie będą mogli dowiedzieć się, że komunizm został już w ZSSR zbudowany?

— Z równoczesnych doniesień w gazetach i w radio. Nie wiadomo jeszcze, czy nadane będą programy telewizyjne.

— Czy to prawda, że mur berliński zbudowano po to by odseparować Zachód od Wschodu?

— Nieprawda. Mur zbudowano po to, żeby odseparować Wschód od Zachodu.

— Czy to prawda, że Kanał Sueski wykopano po to, żeby połączyć Morze Śródziemne z Czerwonym?

— Nieprawda. Wykopano go po to, żeby oddzielić Izrael od Egiptu.

— Jakie nowe artykuły codziennego użytku planuje się do produkcji pod koniec następnej *piatiletki*?

— Nylonowe onuce i łapcie na wysokich obcasach.

— Czy to prawda, że każdy żołnierz sowiecki marzy o tym, by zostać marszałkiem?

— Żołnierze sowieccy nie są w ciemną bici. Wiedzą, że ich marszałkowie giną bez wieści nawet w czasie pokoju.

— Co zrobić, jeśli zostanie otwarta zachodnia granica ZSSR?

— Uciekać natychmiast na Sybir. Żeby nie uciepieć w tłoku.

— Czy to prawda, że w ZSSR korespondencja prywatna podlega cenzurze?

— Nic podobnego! Po prostu listy o treści antysowieckiej nie odnajdują swoich adresatów.

— Czy w ostatniej fazie komunizmu uchowa się milicja?

— Oczywiście że nie. Do tego czasu wszyscy obywatele nauczą się sami siebie aresztować.

— Co zrobić jeśli nieznajomy, przysiadłszy się w piwiarni do waszego stolika, zacznie ciężko wdychać?

— Zażądać żeby natychmiast przerwał antysowiecką propagandę.

— Dlaczego mówi się, że Węgrzy kochają Rosjan a nienawidzą Amerykanów?

— Rosjanie pomogli Węgrom uwolnić się od jednego reżymu totalitarnego, Amerykanie zaś nie pomogli im uwolnić się od drugiego.

— Jak najprościej objaśnić człowiekowi słowo „komunizm”?

— Za pomocą pięści.

— Czy istnieje wyjście z bezwyjściowej sytuacji?

— Oczywiście. Wychodzi się wtedy którąś się weszło.

— Co to takiego sumienie?

— Jest to taka rzecz, której z punktu widzenia podwładnych nie posiada naczałstwo, a z punktu widzenia naczałstwa nie posiadają podwładni.

— Czy można w socjalizmie planować rodzenie się dzieci?

— Nie można. W tej dziedzinie wszystkie środki produkcji znajdują się zawsze w rękach prywatnych.

— Czy można owinąć w gazetę słońca?

— Można, jeśli jest to gazeta z przemówieniem Breżniewa.

— Co łączy wodzów komunizmu z bezrobotnymi w krajach kapitalistycznych?

— I jedni i drudzy nie są pewni jutra.

— Jakie słowa Stalina należy uważać za najgenialniejsze?

— „Planować trzeba umiejętnie — uczył on. — Nieumiejętnie nie trzeba planować. A co to znaczy, towarzysze? To znaczy że my, bolszewicy, nie powinniśmy planować nieumiejętnie. Jeśli będziemy planować nieumiejętnie, będziemy planować źle. I na odwrót. Jeśli będziemy planować umiejętnie, będziemy planować dobrze!”. Tak uczył wielki Stalin.

— Mówiło się niegdyś, że człowiek człowiekowi wilkiem. Jak się ta sprawa przedstawia dzisiaj?

— Wilki zaczęły się do siebie odnosić bardziej po ludzku.

— Na krótko przed śmiercią marszałka Woroszyłowa pewien młody oficer armii sowieckiej nazwał go „starym durniem”. Tego oficera rozstrzelano. Czy popełnił on aż tak ciężkie przestępstwo, używając słów „stary duren”?

— Tak. Zdradził wojskową i państwową tajemnicę.

— Jak zmieniła się praworządność sowiecka po śmierci Stalina?

— Kategoriecznie zabroniono rozstrzeliwać przed ogłoszeniem wyroku sądowego. Za to pozwolono jeszcze przed zaczęciem śledztwa wsadzać do domu wariatów.

— Co to takiego „wymiana poglądów”?

— Kiedy przychodzi się do naczelnika ze swoim poglądem, a wychodzi się od niego z jego poglądem.

— Lenin mówił, że w okresie walki komunizmu z kapitalizmem głównym problemem jest: kto kogo? Jaki będzie główny problem w razie zwycięstwa komunizmu?

— Kogo gdzie?

— Czym się różni prasa od radia?

— W gazetę można zapakować śledzia, w fale radiowe nie można.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem p. Jarosława Iwaszkiewicza, zamieszczonym w ostatnim numerze *Twórczości*, pragnę zawiadomić Pana i Czytelników Pana pisma, że było wolą Witolda Gombrowicza — jak również jest moją wolą — aby sprawami dotyczącymi jego dzieła, które wymagają znajomości języka polskiego, zajmowała się nasza przyjaciółka, p. Maria Paczowska.

A zatem to za moją zgodą i całkowicie w myśl posiadanych uprawnień p. Maria Paczowska napisała do p. Iwaszkiewicza w sprawie korespondencji tego ostatniego z Witoldem Gombrowiczem.

Proszę przyjąć najlepsze pozdrowienia,

Rita GOMBROWICZ

Szanowny Panie Redaktorze!

Chociaż nie zgadzam się z główną tezą artykułu J. Mieroszewskiego pt. „Futurologia Polski” z czerwcowego numeru *Kultury*, muszę przyznać że postawione w nim przez autora pytanie, jaką drogą po-komunistyczna Polska powinna dążyć do stania się demokracją, jest problemem ważnym, zasługującym na szerszą dyskusję. Mogłaby ona rozszerzyć zakres możliwych na pytanie to odpowiedzi i przygotować ich porównawczą ocenę, co w rezultacie powiązałoby może to przyszłościowe pytanie z teraźniejszością. W tej też myśli — wskazania na możliwość innych odpowiedzi na wysunięte przez J. Mieroszewskiego pytanie — chciałbym przedstawić tutaj zastrzeżenia, jakie budzi we mnie jego odpowiedź.

Też Mieroszewskiego jest, że osiągnąwszy w przyszłości niezbędną po temu wolność polityczną dzięki przewidywanemu osłabieniu Rosji, Polska nie mogłaby stać się demokracją od razu, gdyż Polakom brak podstawowego jej warunku: relatywistycznej postawy w sprawach ideologii politycznej, stąd też demokracja w Polsce mogłaby wytworzyć się jedynie stopniowo, po dłuższym czasie, a najlepsze szanse jej stworzenia miałyby „socjalizm o ludzkim obliczu”, który rozwiniętyby się samorzutnie w miarę odzyskiwania przez Polskę wolności. Powrót do przedwojennego systemu wielopartyjnego — zdaniem Mieroszewskiego — demokracji by nie stworzył, gdyż partie, walcząc ze sobą o wyłączną władzę, doprowadziłyby tylko do powstania jakiegoś nowego despotyzmu, tym gorszego jeszcze, że reakcyjnego.

W rozumowaniu tym dwie przesłanki są niewątpliwie słuszne: że demokracja nie może powstać od razu oraz że system wielopartyjny do istotnej i żywotnej demokracji nie prowadzi — acz właściwe racje tych dwu twierdzeń nie pokrywają się z uzasadnieniem Mieroszewskiego, jak zaraz wykaże.

Niesłusznie, moim zdaniem, usiłuje Mieroszewski sprowadzić istotę demokracji do jakiegoś jednego *principium*, które byłoby zarazem jej warunkiem koniecznym i dostatecznym. Historia uczy, że demokracja jest strukturą złożoną z wielu różnych elementów, której nie da się stworzyć drogą zrealizowania jakiejś jednej prostej zasady. Jest ona w rzeczywistości całym kompleksem splecionych ze sobą i wzajemnie się wspierających instytucji, zwyczajów i postaw, które są przy tym uzależnione od weryfikacji ich celowości i skuteczności w praktycznym działaniu całego ustroju. Treść myślowa całej

tej struktury jak i każdego z jej poszczególnych składników jest też odmienna w każdym systemie.

Odzyskująca wolność Polska nie mogłaby stać się od razu demokracją nie dlatego, by Polakom brakło niezbędnej po temu woli i odpowiedniej, liberalnej, relatywistycznej postawy, lecz po prostu dlatego, że powstanie demokracji wymaga sprzyjających warunków i dłuższego czasu, a ani jednego, ani drugiego w tym stosunkowo krótkim okresie, jaki upłynął od chwili odbudowania naszej państwowości, Polska nie miała, i nic nie zapowiada, by je mieć mogła w przewidywalnej przyszłości. W okresie, zbyt niestety krótkiej, naszej niedawnej niepodległości nie w tym tkwiła u nas główna do demokracji przeszkoda, że partie przybierały postawę fanatyczną i antagonizującą i że dążyły do wyłącznej władzy. Zło polegało głównie na tym, że tych partii było za dużo, że paraliżowały one wolę społeczną zamiast ją scalać, że podzielał ich nie odpowiadał potrzebom dalszego rozwoju narodu świeżo zjednoczonego po długotrwałym rozczłonkowaniu pod zaborami i zapóźnionego w swym rozwoju społeczno-gospodarczym. Niewątpliwie też brakło im wyrobienia politycznego i sztuki współdziałania, lecz pod zaborami nabyć ich nie mogły, a ledwie odbudowane własne państwo samą możliwość współdziałania dopiero dla nich otwierało. Można się więc było spodziewać, że z czasem zdolność współdziałania będą rozwijać. Niesłusznie też zarzuca im Mieroszewski antagonizm i dążenie do wyłącznej władzy, skoro — jak wszystkie partie we wszystkich demokracjach — władzę tę chciały zdobyć drogą osiągnięcia większości w wyborach, a więc właśnie drogą demokratyczną. Jak w innych demokracjach każda z nich w walce o tę większość usiłowała przekonać wyborców, że ona wyłącznie ma rację, że wyłącznie jej ideologia i program są słuszne. Ich większy może niż gdzieindziej fanatyzm był też, poza brakiem wyrobienia politycznego, wynikiem tego, że w systemie wielopartyjnym żadna partia nie osiągała ani większości, ani wyłącznej władzy, a tylko sprawowanie wyłącznych rządów mogło być nadać ideologii partyjnej bardziej pragmatyczny charakter. Do zniszczenia swych rywali żadna partia nie dążyła, zostały też one zlikwidowane w Kraju nie przez siebie nawzajem, lecz przez partię komunistyczną, partię innego niż one typu, partię, która i w swej doktrynie i w swej praktyce przejawiała w całej pełni też właśnie cechy, jakie — wedle Mieroszewskiego — miały przeszkadzać wszystkim partiom polskim w tworzeniu demokracji. Była ona bowiem i pozostała antyliberalna, fanatyczna, nie relatywistyczna, lecz absolutystyczna. Tępiąc swe rywalki, osiągnęła trwały monopol władzy, oparty o przemoc obcą i własną. Mimo to wszystko Mieroszewski uważa, że po odpowiednim przeobrażeniu się ta właśnie partia mieć będzie największe możliwości wytworzenia w Polsce prawdziwej demokracji.

Oczywiście nie można wykluczyć, że gdyby Rosja z musu lub dobrej woli pozostawiła Polsce więcej wolności, PZPR dla utrzymania się przy władzy mogłaby chcieć się przeobrazić w partię socjalizmu o ludzkim obliczu. Trudno jednak z góry przewidywać, że próba taka osiągnęłaby wysokość tego określenia. Jakże tu łączyć wszystkie nadzieje na stworzenie w Polsce demokracji z taką właśnie próbą? Dlaczego mielibyśmy wyrzekać się innych dróg czy możliwości, Dlaczego mielibyśmy z góry zakładać, że żadna inna siła do demokracji zmierzająca, jaka by się w przyjmowanych przez Mieroszewskiego warunkach wolności politycznej w Polsce przejawiała, nie miałaby realnych szans stworzenia z czasem demokracji?

Realizm w przewidywaniach nakazywałby uwzględnienie dwóch różnych sytuacji, w których powstałyby warunki dla rozwoju demokracji w Polsce: sytuacji, gdy Rosja tolerowałaby tylko pewną liberalizację reżymu, ale nie dopuszczała do odebrania partii komunistycznej monopolu władzy, oraz sytuację, gdy i to byłoby możliwe, więc gdy jakieś inne siły polityczne mogłyby objąć rządy lub być do udziału w nich dopuszczone. Gdyby ta druga sytuacja

stała się faktem, czyż nie należałoby jej w pełni wykorzystać? Byłoby to przecież pożądane już dla samego tylko wyjaśnienia, jaka jest sytuacja! Wydaje się, że nie należy wykluczać takiej alternatywy i związanych z nią różnych dróg działania.

Obrońcy socjalizmu o ludzkim obliczu mogliby tu powiedzieć, że dopuszczają on właśnie istnienie innych partii oraz ich udział w rządach. Wydaje się jednak, że w argumentacji tej tkwi wielkie nieporozumienie, a może nawet antynomia. Albo — albo. Albo te inne partie nie byłyby socjalistyczne, lecz w takim razie system jako całość przestałby być socjalizmem. Albo mielibyśmy współrządy dwóch lub więcej partii socjalistycznych, lecz wówczas dla zabezpieczenia monopolu władzy takiego socjalistycznego konsorcjum konieczne byłoby stosowanie środków przymusu, co wkrótce odebrałoby takiemu wymuszonemu socjalizmowi jego ludzkie oblicze, a tym samym i jego szanse wytworzenia demokracji. Zastrzeżenie monopolu władzy partiom socjalistycznym miałoby ten skutek, że inne siły polityczne albo przybierałyby pozory socjalizmu, albo zwracałyby się przeciwko niemu. W pierwszym przypadku po dopuszczeniu ich do władzy system traciłby istotnie socjalistyczny charakter, co powracałoby nas do pierwszej alternatywy. W drugim — siły odrzucone pobudzałyby opozycję społeczną i zmuszały reżym do coraz ostrzejszych represji obronnych. W rezultacie powtórzyłaby się historia „odejścia od października” bądź też socjalizm uległby rozkładowi, a dążenia demokratyczne musiałyby szukać sobie innego oparcia.

Pozostaje pytanie, czy takie dążące do demokracji siły mogłyby powstać poza socjalizmem o ludzkim obliczu. O ile dobrze rozumiem Mieroszewskiego — nie wyklucza on tego, ale nie jest tego pewny. Tymczasem rozwój w Polsce sił takich nie jest dziś tylko jakąś przysłążą możliwością czy nadzieją, lecz niewątpliwym faktem dokonany. Istnienie swoje i nie byle jaki dynamizm oraz świadomość polityczną przejawiały one w pełni w ruchu studenckim roku 1968, którego charakter i siłę znamy nieźle z materiałów wywieszonych z Kraju na Zachód przez jego przedstawicieli i ogłoszonych w dwóch publikacjach *Kultury*: pt. „Wydarzenia marcowe 1968” oraz „Polskie przedwiośnie”. W zaimprovizowanym kierownictwie tego ruchu silne były, jak wiemy, wpływy lewicowe, ale uchwały studenckie o socjalizmie wspominały tylko ogólnikowo i nie rozwijały nowej ideologii „socjalizmu o ludzkim obliczu”, lecz właśnie tylko i wyłącznie ideologię demokracji, wysuwając konkretny program reform demokratycznych dla wszystkich dziedzin życia społecznego, gospodarczego, kulturalnego i politycznego. Słowo „socjalizm” pojawiające się niekiedy w tych uchwałach nie otrzymuje w nich żadnej specyficznie socjalistycznej treści i wyraża tylko ogólną ideę wspólną wszystkim ruchom demokratycznym na całym świecie, że organizacja społeczna winna służyć indywidualnym i zbiorowym potrzebom ludzi w społeczeństwie, nie zaś ich eksploatacji lub realizowaniu narzuconej przez reżym utopii. W tym sensie nabiera też ono w tych uchwałach cech wyzwania pod adresem reżymu: Bądźcież socjalistami, a wtedy może się spotkamy! Lecz w uchwałach tych pojawia się też żądanie oddania władzy *siłom nowym* (vide „Polskie przedwiośnie” str. 24).

Z pewnością nie należy lekceważyć tych szans czy możliwości, jakie kiedyś przynieść mógłby socjalizm o ludzkim obliczu, ale nie można zapominać, że z pewnością nie mniejsze szanse rosnąć mogą poza nim lub bez niego. Największe jednak szanse rozwoju demokracji dawałoby bodaj współdziałanie obu tych sił, bo ułatwiłoby ono uporanie się z reakcją. Trzeba też pamiętać, że „socjalizm o ludzkim obliczu” to jak dotąd tylko obietnica, która niestety nie doczekała się pełnej próby.

Wydaje mi się, że problematyka ta zasługuje na dalszą analizę i dyskusję.

Łączę wyrazy wysokiego poważania,

Jan OSTASZEWSKI

Berkeley, Calif., 4 września 1970.

Drogi Panie Redaktorze,

W związku z listem p. Józefa Garlińskiego (*Kultura*, wrzesień br.) wyjaśniam:

Z mojej winy wypadł przy przepisywaniu na maszynie krótki ustęp tej treści:

„Niektóre głosy na emigracji o książce Mackiewicza mało się różnią, niestety, od treści i tonu artykułu p. Romana Korab-Zebryka”.

Dopiero po tym zdaniu szło zakończenie: „Swoją swajego poznau”.

Z powyższej poprawki wynika, że nie miałem zamiaru oskarżać p. Garlińskiego o „kłamstwa i oszczerstwa”.

Dodam, że nie odpowiadałem na list w tej sprawie p. Gronowskiego (*Kultura*, lipiec-sierpień br.), czekałem bowiem na głos „poszkodowanego” nie chcąc odpowiadać na głos „advokata”.

Łączę serdeczne pozdrowienia,

Michał K. PAWLIKOWSKI

Nowy Jork, 12 lipca 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł p. R. Barwicza (*Kultura* nr 6/273) stanowi bardzo kompetentną analizę „współpracy” polsko-sowieckiej. Autor daje wyraźnie do zrozumienia, że tak jak kiedyś, tak i teraz „doradcy” sowieccy są ważnym elementem rzeczywistości polskiej; jak dawniej „zainteresowania” ich są bardzo rozległe i nie ograniczają się wyłącznie do działalności polskich organów bezpieczeństwa. Jest to z pewnością jeden z powodów, dla których serwilizm polskich przywódców wobec Rosji przybiera coraz bardziej widoczne, nie maskowane już kształty. Przypomnijmy tu, chociażby, klasyczny już w tej chwili przykład — sprawę gen. bryg. Czesława Mankiewicza i innych wyższych oficerów WP przeniesionych do rezerwy, bądź na inne mało ważne stanowiska po wojnie izraelsko-arabskiej w 1967 r. Wydarzenie to „dziwnie” zbiegło się z przejściem do rezerwy „na własną prośbę” wieloletniego wiceministra Obrony Narodowej, piastującego również przez wiele lat stanowisko Szefa Sztabu Generalnego, a przed „emeryturą” Głównego Inspektora Szkolenia — gen. broni Jerzego Bordziłowskiego oraz byłego długoletniego komendanta Wojskowej Akademii Technicznej, ostatnio pełnomocnika ministra Obrony Narodowej do spraw szkolnictwa wojskowego — gen. dyw. prof. dr. Michała Oweczynnikowa. Odejście tych dwóch, często wymienianych przez prasę, wojskowych odbyło się bardzo cicho, prawie nie zauważone. W kilka miesięcy później, uważni czytelnicy prasy polskiej mieli możliwość zauważenia skromnej notatki obwieszczejacej przybycie delegacji generałów sowieckich z „braterską” wizytą. Wśród wymienionych nazwisk figurowały dwa wspomniane wyżej.

Niektóre uwagi p. R. Barwicza, zwłaszcza te dotyczące ostatniego okresu, wymagają chyba pewnych wyjaśnień. Trudno zgodzić się np. z twierdzeniem, że „żmudne, szeroko zakrojone prace nad 'zdekonspirowaniem' setek czy tysięcy Żydów posługujących się 'polskimi papierami'” trwały kilka lat. W praktyce społeczność żydowska w Polsce była „pod opieką” Komitetu Centralnego partii i organów bezpieczeństwa od momentu powstania Polski Ludowej. Z tym, że po powrocie Gomułki do władzy ciężar całego przedsięwzięcia spadł na barki Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (materiały dotyczące polskich Żydów napływały jednak nadal do KC, chociażby przez



Zakład Historii Partii, Wydział Organizacyjny, ale nie tylko przez nie). Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce podporządkowane zostało wtedy Urzędowi do Spraw Wyznań i od tego czasu kontrola działalności tej organizacji podległych jej placówek przybrała charakter bardziej oficjalny i systematyczny. Nie było w tym, zresztą, nic nadzwyczajnego. Gomułka uzyskując zgodę Kremla na sprowadzenie do Polski przedstawicieli „JOINT”-u (organizacji „zdemaskowanej” jeszcze w 1938 roku przez stalinowską służbę bezpieczeństwa) i „ORT”-u zdawał sobie sprawę z delikatności tego przedsięwzięcia. Zysk polityczny był jednak niewątpliwy, a ryzyko, praktycznie biorąc, żadne. Tak więc, władze polskie nie musiały czekać na specjalną „zachętę” ze strony „przyjaciół” sowieckich odnośnie inwigilacji środowisk żydowskich. Oczywiście dla nich również była potrzeba „kontroli” środowisk inteligentnych. Gomułka nie od dziś znany jest ze swej niechęci do intelektualistów. Tym, którzy o tym nie wiedzieli, lub nie pamiętali, zaprezentował on swoje stanowisko w 1957 roku likwidując *Po prostu* i nakazując brutalne rozpedzenie demonstrantów protestujących przeciwko tej decyzji. Dodajmy, że już wtedy postanowił on skorzystać z usług tzw. aktywu robotniczego.

Wydarzenia marcowe 1968 roku, chociaż były prowokacją, nie mogą obciążać wyłącznie konta organów bezpieczeństwa i „partyzantów”. I nie chodzi tu wcale o rehabilitację Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ważne jest przecież uzyskanie możliwie obiektywnego obrazu tego co się wydarzyło. W związku z tym warto przypomnieć, że kierownictwo partyjne postanowiło już przed czwartym zjazdem partii „uporządkować” skład narodowościowy władz partyjnych (pisać o tym Andrzej Werblan). Akcja ta nie była spowodowana naciskiem ze strony organów bezpieczeństwa. W latach 1967-1968 wśród aktywistów partyjnych często mówiło się, że Gomułka już w pierwszych latach po wojnie sprzeciwiał się niesłusznej polityce kadrowej w stosunku do osób pochodzenia żydowskiego (twierdzenie to można było również znaleźć w artykułach prasowych z okresu wydarzeń marcowych). Traktowanie tego twierdzenia wyłącznie jako posunięcia strategicznego, skierowanego przeciwko grupie Moczara, byłoby dużym uproszczeniem.

Nie zapominajmy, również, że kampania antysyjonistyczna rozpoczęła się po powrocie Gomułki z Moskwy w czerwcu 1967 r., a ściślej po zwołanej przez niego naradzie pierwszych sekretarzy wojewódzkich partii. Nie ulega żadnej wątpliwości, że Gomułka konsultował się w tej sprawie z kierownictwem KPZS i otrzymał „zielone światło”. Sygnał dany przez Gomułkę wcale nie oznaczał, że od tej pory cała akcja będzie pozostawiona organom bezpieczeństwa. Byłoby to zbyt ryzykowne ze względu na ambicje Moczara i jego zwolenników („moczarowcy” nie zasypiali jednak gruszek w popiele i próbowali „niezależnej” działalności). Instrukcje dotyczące sposobu przeprowadzenia kampanii wychodziły z komitetów partyjnych, a pierwszy sekretarz KW partii — Józef Kępa — konsultował się w niemal każdej sprawie osobiście z Gomułką, bądź z jego pełnomocnikami. Przypomnijmy, także, że pierwszym etapem akcji przeciwko „syjonistom” i rewizjonistom była wymiana legitymacji partyjnych, zwana również weryfikacją kadr partyjnych. Organizacje partyjne opierały swoje decyzje przede wszystkim na donosach własnych informatorów, chociaż w niektórych wypadkach nie pogardzały one i danymi uzyskiwanymi za pośrednictwem MSW. Innym ważnym posunięciem władz partyjnych była instrukcja rozesłana do wszystkich instytucji centralnych (ale nie tylko), nakazująca utworzenie zespołów do spraw syjonistów i rewizjonistów. Akcji tej sprzyjał okres tzw. dyskusji przedzjazdowej (przed V zjazdem partii) nad tezami wysuniętymi przez kierownictwo partyjne. Wspomniane wyżej zespoły utworzono wraz z innymi „tradycyjnymi” komisjami, których zadaniem było przedstawienie dzielnictwom władzom partyjnym wniosków w zakresie usprawnienia pracy i działalności politycznej

w poszczególnych zakładach pracy. Wprawdzie działalność zespołów do spraw syjonistów i rewizjonistów nie zawsze doprowadzała do zwalniania Żydów i innych „podejrzanych” osób (kierownictwo niektórych zakładów pracy nie tylko, że nie zgadzało się na ich zwalnianie, ale i niejednokrotnie przyjmowało do pracy w swoich instytucjach osoby zwolnione gdzie indziej), zawsze jednak wzbogacała ona odpowiednie kartoteki KC i MSW.

Wspominając prowokację MSW w gmachu Cenzury p. R. Barwicz komentuje ją jako akcję skierowaną przeciwko inteligencji. W rzeczywistości, miała ona uderzyć i to bardzo silnie również w rodzimych „syjonistów”, których „kwatery główna” — Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce — była w tym czasie atakowana przez środki masowego przekazu, i której gmach bardzo blisko sąsiadował z Cenzurą.

Odnośnie gen. bryg. Artura Jastrzębskiego, znany jest on nie tylko jako „Niemiec”, ale również jako stary działacz komunistyczny, który w czasie okupacji był blisko związany z kierownictwem PPR (więziony był na Pawiaku razem z Pawłem Finderem). Przed objęciem stanowiska attaché wojskowego we Włoszech był on zastępcą dowódcy Warszawskiego Okręgu Wojskowego do spraw politycznych. Obecnie przygotowuje do druku swoje wspomnienia. Fragment ich dotyczący jego pracy w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, drukowały warszawskie *Perspektywy*.

Z poważaniem,

*David S K A W A*

P. St. Zarzewski (Londyn) polemizuje z J. Mieroszewskim twierdząc, że nie ma sensu w chwili obecnej „wprowadzać formalistycznego rozróżnienia pomiędzy Rosją a Związkiem Sowieckim”.

P. Piotr Laskowski (Hanower) ostro polemizuje z listem p. J. Haraszewskiego (*Kultura* 9/276), krytykującym książkę gen. Abrahama, uważając, że deca plutonu nie może zarzucać ignorancji deca brygady.

Wychodzący od 1932 roku

## ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich. artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

## OD REDAKCJI

W związku z ogromnym wzrostem cen drukarni, opłat pocztowych i papieru oraz zapowiedzią nowych podwyżek od 1 stycznia 1971 roku zmuszeni jesteśmy podwyższyć prenumeratę KULTURY na rok 1971. Staraliśmy się obniżać ceny prenumeraty tak, aby we wszystkich krajach kosztowała mniej więcej jednakowo.

Podajemy zasadnicze stawki dla poszczególnych krajów, szczegółowy wykaz znajdują Czytelnicy w KULTURZE styczeń/luty 1971 roku.

## Ceny KULTURY na rok 1971

	Prenumerata roczna	Prenumerata pół-roczna
Austria .....	Sch. A. 380,00	Sch. A. 200,00
Belgia .....	FB 750,00	FB 400,00
Francja .....	F. 75,00	F. 40,00
Holandia .....	Fl. 54,00	Fl. 28,00
Kanada .....	\$ Can. 15,00	\$ Can. 8,00
Niemcy .....	DM. 55,00	DM. 30,00
Szwajcaria .....	F. szw. 65,00	F. szw. 35,00
Szwecja .....	Ks. 75,00	Ks. 40,00
USA (oraz wszystkie kraje, w których abonament opłacany jest w \$ Am.) .....	\$ USA 15,00	\$ USA 8,00
Wielka Brytania .....	£ stg. 6.00.00	£ stg. 3.10.00
Włochy .....	L. it. 9.000,—	L. it. 4.600,—
Wszystkie kraje zagraniczne opłacane we Fr. F. ....	FF. 82,00	FF. 45,00
Prenumerata ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH pozostaje w roku 1971 bez zmiany i wynosi: dla prenumeratorów KULTURY: F. 35,00 lub \$ 6,00 — lub równoważność; dla nieprenumerujących: F. 40,00 lub \$ 8,00.		

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI  
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK  
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte  
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 4<sup>e</sup> Trimestre 1970.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krollkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg .....	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25. ....	6,00 F	35,00 F	66,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Dakling House, Rawson Place, Sydney .....	\$ US 1,25	\$ US 7,00	\$ US 12,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....		160 szyl.	310 szyl.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Caskey, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23.	60,00 P. b.	350,00 F b.	600,00 F. b.
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Gulara 143, villa Pompela, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	6,00 F	32,00 F	60,00 F
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wellingenlaan 6, Vliasingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Dabicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel.: 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Mallinowski, 261 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel.: 586-3825; Józef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301 Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikieluk, 8 München 45, Gablonzerstr. 1/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Mos. ...	6,50 F	35,00 F	66,00 F
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 12.14431 .....	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor	88,00 Kor
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Duderaw-Ossatynski, 1603 N <sup>e</sup> Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dzierzykowski, 2402 Chareмова Av., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dzielanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Gallinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 374 Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346; Polish Amer. Book Co., 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave, Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wejtek, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol	12,00 dol
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7. ....		£ 2.07.00	£ 4.10.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241 .....	750 L	3.800 L.	7.500 L

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 3 F półrocznie i 6 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,50 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Masnill-la-Rol,  
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 187 — ALEKSANDER SOLŻENICYN

### KRĄG PIERWSZY

Głośna powieść rosyjskiego pisarza. Tłumaczył z rosyjskiego  
*Michał Kaniowski. Całość w dwóch tomach.*

T. I. str. 400.

T. II. str. 304.

Cena I/II F. 60 (dol. 12; £.6)

TOM 188 — SŁAWOMIR MROŻEK

### DWA LISTY

I INNE OPOWIADANIA

Pierwsze wydanie książkowe opowiadań znanego pisarza

Str. 192.

Cena egz. F. 18,50 (dol. 4; 32 sh.)

TOM 189 — WITOLD GOMBROWICZ

### PORNOGRAFIA

Tom III-ci DZIEŁ ZEBRANYCH (pierwsze wydanie „Pornografii”  
ukazało się w r. 1960 jako tom 54-ty Biblioteki „Kultury”)

Str. 168.

Cena egz. F. 15; (dol. 3,75; 31 sh.)

TOM 190 — SERIA „DOKUMENTY”

ANDREJ AMALRIK

### CZY ZWIĄZEK SOWIECKI PRZETRWA DO R. 1984 ?

wraz z trzema listami Amalrika i listem Piotra Jakira.

Przedmowa *Adama Kruczką*

Str. 89.

Cena egz. F. 10 (dol. 2,25; 18/6)

TOM 191 — WITOLD GOMBROWICZ

### KOSMOS

Tom IV-ty DZIEŁ ZEBRANYCH (pierwsze wydanie „Kosmosu”  
ukazało się w r. 1965 jako tom 111 Biblioteki „Kultury”)

Str. 160.

Cena egz. F. 15; (dol. 3,75; 31 sh.)

**Cena 6,00 F**